

✝ ODPUŚĆ NAM NASZE WINY ✝



GRZESZNA ANTOLOGIA

D. ADWENTOWSKA P. BOROWIEC
P. CIELICZKO P. KARBOWSKI
A. KWIATKOWSKA O. ROT M. ZYCHŁA

HISTERIA
Wydawca w nie 1 27

MAGAZYNHISTERIA.PL

† ODPUŚĆ NAM
NASZE WINY
†



Warszawa 2015

I ODPUSĆ NAM NASZE WINY
Copyright 2015
All rights reserved

Redakcja i korekta
Dagmara Adwentowska

Okładka
Dawid Boldys

Ilustracje
Dawid Boldys

Skład
Błażej Jaworski
Maciej Zawadzki

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań są własnością ich autorów:

Copyright © Paweł Cieliczko, Królewski grzech, 2015
Copyright © Przemysław Karbowski, Traktat Gaetano Enzoli, 2015
Copyright © Agnieszka Kwiatkowska, Tańczące nimfy, 2015
Copyright © Piotr Borowiec, Modernista, 2015
Copyright © Dagmara Adwentowska, W malinowym chruśniaku, 2015
Copyright © Marek Zychła, Mulo, 2015
Copyright © Olga Rot, Między innymi lenistwo, 2015

Magazyn Histeria
magazynhisteria.pl
Warszawa 2015

SPIS TREŚCI:

KRÓLEWSKI GRZECH	P.Cieliczko	8
TRAKTAT GAETANO ENZOLI	P.Karbowski	32
TAŃCZĄCE NIMFY	A.Kwiatkowska	53
MODERNISTA	P.Borowiec	75
W MALINOWYM CHRUŚNIAKU	D.Adwentowska	104
MULO	M.Zychła	114
MIĘDZY INNYMI LENISTWO	O.Rot	147
Notka o autorach		166

PYCHA



KRÓLEWSKI GRZECH

Paweł Cieliczko

Klątwa zdradzonego księcia

Wielu zaś pierwszych będzie ostatnimi, a ostatnich pierwszymi.

Ewangelia Mateusza 19,30

Leszek Biały, wnuk Bolesława Krzywoustego, dumny książę krakowski, leżał nagi w brunatnej kałuży krwi, na skraju traktu z Gąsawy do Marcinkowa. Wielkopolski książę Władysław Odonic zbliżył się do niego na czele grupy zbrojnych. Wolno zsiadł z konia i pochylił się nad przebitym włócznią, broczącym krwią władcą. Dotknął jego szyi, jakby chciał sprawdzić, czy pulsuje jeszcze w nim życie. Serce krakowskiego księcia biło ostatkiem mocy, z trudem tłoczyło krew, tętno było coraz słabsze, ledwie wyczuwalne. Odonic przycisnął szyję kuzyna, drugą ręką zasłonił mu usta, by ten nie krzyknął. Leszek poderwał się resztką sił, otworzył szeroko oczy, jakby chciał przekazać coś ważnego, wyjawić najbardziej skrywany sekret. Odonic zawahał się, ryzyko było niewielkie, wśród pobitewnego zgiefku nikt i tak nie usłyszałby rzeżenia umierającego. Zdjął dłoń z twarzy Leszka. Ten łąpczywie pochwycił powietrze, słycać było, jak zaświszczało. Obaj wiedzieli, co to oznacza. Płuca Leszka były dziurawe jak rzeszoto. Krew przesączała się przez nie. To były jego ostatnie hausty, ostatnie oddechy, ostatnie tchnienia. Książę krakowski raz jeszcze wciągnął powietrze. Sprawilo mu to wyraźny ból. Spojrzeniem przywołał Władysława. Ten pochylił się nad umierającym i wówczas usłyszał jego ostatnie słowa.

– Zdradziłeś mnie. Przeklinam ciebie i cały twój ród. Niechaj już nigdy ojciec nie ujrzy syna. Przepadnij ty i cała twoja dynastia. – Ostatnich słów konającego Odonic się tylko domyślił, jego silna dłoń zacisnęła się na szyi Leszka, któremu przekleństwo uwięzło w miażdżonym gardle.

– Co ci tam jeszcze wyszeptał ten pyszałkowaty białas, zanim wyzionął ducha? – zapytał Władysława pan Sędziwój Zaręba, gdy jadąc stępa, powoli oddalali się do Marcinkowa.

– Ot, takie tam majaczenia umierającego. – Odonic machnął niedbale ręką i splunął w kierunku zwłok zamordowanego księcia owiniętych tylko brudną derką i przerzuconych przez grzbiet luzaka.

Sędziwój Zaręba uśmiechnął się pod wąsem. Zwołanie zjazdu książąt w Gąsawie to był wszak jego pomysł. Wnukowie Bolesława Krzywoustego byli już bliscy porozumienia, coraz bardziej sobie ufali, chcieli ze sobą współpracować, połączyć swoje księstwa, występować wspólnie. Byli już o krok od wybrania spośród siebie seniora, a ten zaraz by się koronował. Królestwo Polskie powstałoby na nowo, a każdy z książąt rządziłby swoją dzielnicą jako lennik nowego polskiego króla. Piastowie przestaliby się wybijać w bratobójczych walkach, a szeroko rozrodzeni, objęliby wszystkie najważniejsze urzędy w państwie. Dla ambitnych ludzi – takich jak Sędziwój Zaręba – nie byłoby już miejsca na szczycie państwowej hierarchii. Dlatego zjazd w Gąsawie musiał zakończyć się katastrofą i właśnie on sprawił, by tak się zakończył. Teraz, gdy Leszek krakowski zginął, Henryk śląski był ciężko ranny, Konrad mazowiecki ledwie umknął z zasadzki, Władysław wielkopolski (zwany Laskonogim) ostrzeżony nie przyjechał, Świętopełk pomorski napadł na zgromadzonych, zaś Władysław Odonic posprzątał pobojuwisko, zaufanie pomiędzy Piastowiczami zostało bezpowrotnie zniszczone. Wydarzenia w Gąsawie musiały doprowadzić wkrótce do wojny domowej. Wojna domowa zaś rujnuje władców, a na szczycie wynosi tych, którzy są ambitni, odważni i bardzo chcą te szczyty zdobyć. Sędziwój Zaręba był bardzo ambitnym człowiekiem.

Trapił się tylko treścią przepowiedni, jaką usłyszał od dziewiczej wieszczki z kaźmierskiej świątyni starych bogów. Wypowiedziała ona słowa, których znaczenia nijak nie potrafił rozszyfrować – „Twój syn będzie starszym bratem króla, a wyjdzie z łona kobiety, co jest najbliższej ciebie”.

Nie rozumiał tej przepowiedni, a wiedział, że wieszczka nie mogła się mylić. Wydarzenia tych dni też przewidywała. Nie pojmował tych tajemnych mocy, które ją wspierały, ale nie próbował z nimi walczyć. Traktował je jak siły natury, jak żywioły. Wiedział, że śmiertelnik nie może ich pokonać. Tylko głupi człowiek walczy z żywiołami,

mądry dostosowuje się do nich, sprawia, że działają na jego korzyść i wspierają go swą mocą. Sędziwój Zaręba był bardzo mądrym człowiekiem.

Jadąc, rozmyślał nad przeszłością. W historii szukał wróżby na przyszłość – i zawsze trafiał na imię Władysława. Księcia Władysława, zwanego Hermanem, w rządach zastępował wielki palatyn. Księcia Władysława, zwanego Wygnańcem, młodszy braci z Polski przepędzili. Książę Władysław, zwany Laskonogim, także nie był wybitnym władcą. Książę Władysław Odonic był jednak chyba najgorszy z nich wszystkich. Władysław. To było imię słabego władcy. Taki władca nie był najdoskonalszym wyborem dla państwa, ale był najlepszym wyborem dla przyszłego palatyna, kalkulował Sędziwój. Sędziwój Zaręba był bardzo pysznym człowiekiem.

Minęło dwanaście lat od śmierci księcia Leszka Białego, gdy oczy zamknął wreszcie jego morderca Władysław Odonic. Długo udawało mu się rządzić całą Wielkopolską, jednak gdy umierał, jego władztwo ograniczało się tylko do dziedzicznej ziemi ujskiej. Jego synowie – Przemysław i Bolesław – w niczym nie byli podobni do ojca. Współpracowali zgodnie, jednali sobie sąsiadów, stali się na powrót panami całej dzielnicy wielkopolskiej. Zgodnie podzielili się wtedy władztwem. Przemysław objął część zachodnią z Poznaniem, a Bolesław wschodnią, na stolicę obierając Kalisz. Przekleństwo rzucone przez umierającego Leszka Białego miało jednak wciąż wielką moc. Żaden nie mógł się doczekać dziedzica, a w zamkowych kołyskach pojawiały się kolejne dziewczynki. Księżna Elżbieta powiła Przemysławowi: Konstancję, Eufrozyję, Annę i Eufemię, a księżna Jolenta Bolesławowi: Elżbietę, Jadwigę i Annę. Nie pomagały modlitwy, posty, msze, wota, fundacje ani egzorcyzmy odprawiane przez biskupów. Klątwa wciąż działała, a ród wielkopolskich Piastów zdawał się wygasać.

Przepowiednia pogańskiej wieszczki

Przed porażką – wyniosłość, duch pyszny poprzedza upadek.

Księga Przysłów 16,18

Czarny płaszcz z kapturem okrywał jeźdźca, który na cisawym rumaku galopował poznańskim gościńcem ku zachodowi. Trzy godziny jazdy od Poznania, niedaleko wsi Kaźmierz, na skarpie nad rzeką Samą, stał kamienny kościół zbudowany przez Bolesława

Chrobrego dla italskich zakonników, którzy mieli szerzyć łacińską kulturę w jego państwie. Budowy świątyni nie skończono, bo pięciu mnichów zamienionych zostało przez tubylców w pięciu męczenników. Zamiast szerzyć nową wiarę, sami stali się przedmiotem kultu – świętymi Kościoła Katolickiego.

W Kaźmierzu, zaledwie kilkanaście mil od katedry poznańskiego biskupa, pogańskie wierzenia nadal były tak silne, że wydawać się mogło, iż jego władztwo tutaj nie sięga. Dwadzieścia mil dalej zaczynały się siedziby pogańskich Pomorzan; zaden biskup ani książę nie chciał narażać na szwank swego skarbcza i autorytetu, budując sanktuarium w miejscu, w którym byłoby wkrótce zniszczone. Niedokończony kościół z czasów wielkiego Bolesława i rozpadające się zabudowania klasztoru porzucone wśród lasów i bagien aż nadto dobitnie pokazywały bezsens takich działań. Ruiny kamiennej świątyni objęte zostały przez starowierców, którzy w tym miejscu od stuleci czcili swoje pogańskie bóstwa. Teraz cześć oddawali im nie w świętym gaju, a w kamiennych murach wzniesionych przez łacinników.

Kruczowłosa kobieta siedziała na pniaku przed ozdobnym portykiem i drewnianą kopyścią mieszała w kociołku kołyszającym się nad ogniem. Konsystencji ani przeznaczenia bulgoczącej cieczy przybysz nawet nie chciał się domyślać. Dziewczyna zmierzyla jeźdźca wzrokiem, pokiwała z rezygnacją głową i niechętnym ruchem wskazała mu kłodę, na której ma usiąść.

– Co sprowadza? – zapytała bezosobowo.

– Po pomoc przybyłem – rzekł podróżny.

– Trudna to pomoc? – zapytała.

– Klątwę zdjąć trzeba – rzucił krótko.

– Ciebie przeklęto? – zdziwiła się.

– Na mego ojca i jego ród rzuconą.

– Ksiądz zdjąć nie potrafił? – W jej głosie wyczuł drobne szyderstwo.

– Ani ksiądz, ani biskup, ani nawet arcybiskup – odparł szybko.

– I słaba kobieta ma zdjąć urok, któremu tacy mocarze nie podołali?

– Mówili mi ludzie, że tylko ty możesz pomóc. Tylko w tobie nadzieja.

– Jaka to klątwa? Przez kogo rzucona? W jakiej godzinie?

– Umierający ksiądz, zdradzony przez mego ojca, przeklął nasz ród – wyjaśnił gość. –

Powiedział, że nigdy już ojciec nie ujrzy w nim syna.

– Straszna przesadnie ta klątwa nie była – fuknęła gniewnie. – Córki wam się rodzą i patrzeć na nie sobie do woli możecie.

– Tylko syn może przejąć dziedzictwo. Tylko syn może być wielkopolskim księciem. Tylko syn może zostać królem Polski – rzucił, zrozumiawszy, że już i tak odgadła, kim jest.

– Tylko córka może być królową albo żoną przyszłego króla i to nie tylko Polaków, ale Czechów, Skandów czy Rusinów – odpowiedziała. – Nie miłość do kraju przez ciebie przemawia, mój księżę, ale pycha. Ród swój chcesz synem wywyższyć ponad inne.

– To nie pycha, moja pani – prychnął gniewnie. – To tylko polityka. Przyszedłem do ciebie po pomoc, nie na dysputy – zamknął dyskusję.

– Dobrze – odparła pojednawczo. – My tu pragniemy spokoju, a ty swą księżęcą mocą nam go gwarantujesz. Wypal, księżę, fajkę zieleń prawdy. – Podała mu kamienny cybuch z drewnianą rurką. – A jak już wypalisz, wypowiedz wyraźnie swoje życzenie.

– Pragnę... – zaczął księżę, wzięwszy fajkę z jej rąk.

– Zamilcz! – skarciła go. – Zapal. Nasyć swe płuca dymem. Otwórz swe serce i wtedy dopiero powiedz, czego naprawdę pragniesz.

– Pragnę – zaczął raz jeszcze, gdy minęło tyle czasu, że zieleń w cybuchu zamieniło się w popiół. – Pragnę, by zdjęta została klątwa i abym mógł zobaczyć syna swego, który będzie krwią z krwi mojej i kością z mej kości.

– Grzechu ciężkiego zdrady i morderstwa dopuścił się twój ojciec. W pysze swej chciał posiąść królewską koronę, mordując tych, co stali mu na drodze i byli godniejsi od niego. Jego grzech spadł na twoje barki, wraz z ojca dziedzictwem.

– Chcę odpokutować za grzech ojca. Chcę wyzwolić siebie i mój ród z mocy klątwy. Nie ma we mnie pychy ojca mego. Chcę tylko mieć syna – wyrzucił z siebie księżę.

– Jeśli taka wola twoja, mój panie. Jeśli tylko syna mieć pragniesz. – Czarodziejka przenikała go spojrzeniem czarnych oczu. – Chodź za mną! – Gestem nakazała, by ruszył w głąb opuszczonej świątyni.

Przechodząc pomiędzy kamiennymi kolumnami, widział, jak przyroda zwycięża i opanowuje dzieło rąk ludzkich. Rośliny wdzierały się wszędzie. Zieleń kaskadami pięła się po murach. Zarysy kościoła znikwały, wewnątrz wyglądało bardziej na otwartą grotę niż chrześcijańską świątynię wzniesioną przez człowieka. Słońce prześwitywało między liśćmi. Kręciło mu się w głowie. Obrazy wirowały. Wieszczyca zatrzymała się i odwróciła się ku niemu. Patrzyła głęboko w jego chabrowe oczy. Szaty same zsunęły się z jej ramion. Stała przed nim młoda, naga, piękna, świeża, o sprężystym ciele, gotowa przyjąć go i ugościć. Wodził po niej błędnym wzrokiem. Nie wiedział, czy to jeszcze fragment rytuału, czy już próba uwiedzenia, czy po prostu sprawdzian jego postawy. Spojrzał na jej jędrne piersi ze sterczącymi sutkami, na łabędzią szyję, na delikatne ramiona, spojrzął wreszcie niżej i nagle

przystało go interesować, w jakiej intencji go tu sprowadziła. Wiedział, że musi ją posiadać. Natychmiast.

– Grzech grzechem zwalczyć trzeba – wyszeptał, nauczony przez wychowawców, że księżę nawet swym chuciom powinien nadać uniwersalne znaczenie.

– To nie grzech, księżę – odparła. – To rozgrzeszenie. Wszystko, co dobre, przyjemne i innych nie krzywdzi, podoba się naszym bogom. A gdy wiele dobra sobie wzajem czynimy, to i bogowie nam sprzyjać będą i obdarzą nas szczęściem.

– Dziwni ci wasi bogowie – rzucił, zdejmując ubranie.

– Dobrzy to bogowie – odparła. – Nie chcą cierpienia swych dzieci, nie chcą, by się umartwiały, pragną tylko ich szczęścia. Jak kochający rodzice. Jak kochający rodzice – wyszeptała jeszcze, gdy jej usta gniecione były pocałunkami księcia.

Nie rozróżniał już słów, a tylko słyszał dźwięk jej głosu. Wziął ją w ramiona, uniósł lekko i położył na wysokim łożu stojącym wśród zieleni i kościelnych murów. Jej nogi znalazły się na jego ramionach, stał wyprostowany, gdy wszedł pomiędzy jej uda, patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się do siebie. Chrześcijański księżę złączył się z pogańską wieszczką, sacrum złączyło się z profanum, a łożnica stała się ołtarzem ich miłości.

Nie wiedział księżę, jak niezwykła to była łożnica. Powstała ze świętego dębu, który przez setki lat wzrastał otoczony powszechnym kultem wyznawców. Chrześcijanie go ścięli i uczynili zeń święty ołtarz. I ten właśnie katolicki ołtarz zrobiony ze świętego drzewa był teraz łożnicą pogańskiej czarodziejki i chrześcijańskiego władcy. Nie wiedział księżę, że osłaniające ich przed słońcem korony drzew to magiczny, słowiański gaj, który odrósł na miejscu Bolesławowego karczowiska, nie bacząc na kościelne mury i kamienne posadzki. Byli w niesamowitym miejscu, miejscu kultu, miłości, kaźni i śmierci. Teraz w tym miejscu powstawało nowe życie, nowa moc. Życie, które miało pogodzić stare i nowe czasy, pogan z chrześcijanami. Uczynić kraj wspólnym dla wszystkich go zamieszkujących.

Księżę Przemysł obudził się na posłaniu wśród zielonych pnączy. Niewiele pamiętał z wydarzeń wieczora i nocy, ale był dziwnie lekki i bardzo szczęśliwy. Po raz pierwszy od wielu lat nie czuł na sobie brzemienia klątwy rzuconej na jego ród. Nie wiedział, że noc spędzona z pogańską wieszczką uchyliła także inne, jeszcze starsze klątwy, jakie na jego przodków miotali kapłani starych bogów, paleni przez Mieszków i Bolesławów. Wieszczka spoglądała na ubierającego się Przemysła z tkliwością, jakiej się po niej nie spodziewał.

– Przybądź dokładnie za rok o tej porze, mój księżę – rzekła, gdy siodłał konia. – Wtedy wypełni się czas i klątwy znikną. Wszystkie klątwy. Jeśli tylko tego zechcesz i przyjmiesz to, co ofiarują ci bogowie.

Rok minął niepostrzeżenie, a na poznańskim zamku nie pojawił się tak oczekiwany dziedzic książęcej korony. Po roku książę Przemysł – tak jak nakazała wieszczka – ponownie przybył do kaźmierskiego chramu. Napotkał ją przed świątynią, gdy w kamiennym moździerzku gniotła zioła, które zamykała w glinianych flakonach. Spojrzała na niego i nie przerwała swojego zajęcia.

– Pojawiam się znowu – zaczął książę. – Wciąż nie mam syna. Moce twe i twoich bogów na nic się jak widać nie zdały. Co na to mi odpowiesz?

– Mylisz się, książę – powiedziała cicho. – Moce naszych bogów sprawiły, że masz syna – dodała, podniosła się i ruszyła ku wejściu do opuszczonej świątyni. W ocienionej kołysce leżało dziecko. Uniosła je, rozwinęła płótno i podała księciu. Na rękach trzymał swego pierworodnego syna.

– Nie wiem, czyje to jest dziecko – wyszeptał tylko zbielełymi wargami i oddał niemowlę w ręce wieszczki.

– Nie obrażaj mnie, książę, i nie obrażaj naszego syna – rzekła, a jej czarne oczy zwęziły się groźnie.

– Nie takie było moje życzenie. Chciałem dziedzica królewskiej korony, a nie książęcego bękarta – zakończył twardo.

– Chciałeś mieć syna, godnego twego dziedzictwa. Krew z krwi i kość z kości, rzekłeś. Syn się tobie urodził. Ujrzałeś go. Klątwa została zdjęta.

– Chcę syna narodzonego z łona mej żony, który obejmie moje dziedzictwo, zostanie księciem, a potem królem polskim – stanowczo powiedział książę.

– Skoro tego pragniesz, mój panie... – zaczęła smutno wieszczka.

– Tego właśnie pragnę – powtórzył ostro.

– Stanie się tak jak sobie życzysz, będziesz miał dziedzica. Tylko pamiętaj. Klątwa wówczas powróci i nikt nie uchroni już ciebie i twego rodu przed jej mocą.

– Chcę królewskiej korony dla mojego potomka – powtórzył twardo Przemysł. – Nic więcej mnie nie obchodzi.

– Dobrze więc, książę. Skoro gardzisz naszym synem, dziedzicem starych i nowych czasów, i chcesz spłodzić potomka w swym książęcym łożu, pomogę ci w tym. Tylko pamiętaj, tutaj moc starych bogów mogła cię uchronić przed wypełnieniem się klątwy, gdy syn twój spłodzony zostanie na poznańskim zamku, nie będzie dla ciebie ratunku. Nie

zobaczysz nigdy następcy twego tronu. Jesteś gotów poświęcić własne życie dla swego dziedzica i królewskiej korony?

– Jestem gotów poświęcić wszystko, nawet własne życie, aby na skroniach mego syna spoczęła korona polskich królów! – wykrzyknął książę z przekonaniem.

– Dobrze – rzekła wiedźma. – Chciałam cię uchronić, ale skoro tego naprawdę chcesz, to nie mogę ci przeszkodzić. Słuchaj więc, książę. Twoja żona jest brzemienna – rzekła cicho, a widząc zdziwione spojrzenie Przemysła, dodała: – Przy następnej pełni księżyca nadejdzie czas, kiedy bogowie decydują, czy urodzi się syn, czy córka. Jeśli chcesz mieć syna, to weź bukłaczek tego napoju. Dokładnie za miesiąc o północnej godzinie rozlej go do dwóch kielichów, jeden niechaj wypije twa żona, a drugi sam wypij. Magiczny napitek spowoduje, że z łona twej żony narodzi się nowy Przemysł, ale sprawi też, że stary Przemysł odejdzie, nim nowy pojawi się na świecie.

– A jeśli nie wypijemy twego napoju? – zapytał.

– Wówczas żona urodzi ci córkę, a ty żył będziesz do późnej starości.

– Będę miał syna pogrobowca – wyszeptał smutno książę – który zostanie królem?

– Albo córkę, którą wychowasz na królową.

– Nie mam żadnego wyboru. – Książę sięgnął po bukłak z magicznym napojem.

– Każdy ma wybór, mój panie. Tylko serca i rozumu pytaj, a nie swej dumy.

– Za późno już – rzucił, wsiadając na konia. – Decyzja zapadła.

– Pycha u ciebie, książę, już iście królewska – wyszeptała, gdy spał konia ostrogami.

Rozpląkała się, a potem przeklęła go.

Książę Przemysł I zmarł nie dożywszy nawet czterdziestu lat. Cztery miesiące po jego śmierci na poznańskim zamku narodził się jego syn, pogrobowiec, któremu nadano imię ojca i oznaczono numerem drugim.

Podczas uroczystego chrztu w poznańskiej katedrze obecny był wiekowy pan Sędziwój Zaręba, a jego żona niosła przy piersi małego chłopca, ich wnuka. Wielu mawiało, że to nie jest dziecko syna pana Sędziwoja, który zginął w walkach z Wioletami, ale dziecko-dar, dziecko-niespodzianka. Nie wiedzieli tylko, czyj to podarunek – nieba czy piekiel. Plotka między ludem krążyła, że malec przyplłynął rzeką w plecionym koszyczku jak Mojżesz. Miał na szyi medalion uczyniony ze złamanej, starożytnej złotej monety. Nikt nie

wiedział, kim byli jego rodzice, ale wszyscy mówili, że kiedyś znajdzie się ktoś, kto będzie posiadał drugą połowę medalionu.

Przemko i Ludgarda

A gdy ją ujrzał, spodobała mu się jej osoba. I tamże w kraju wspomnianego księcia Barnima, w mieście Szczecinie pojął ją za żonę. A stało się to, gdy kończył szesnasty rok życia.

Kronika wielkopolska

Księżę Przemysław II, dziecko zrodzone na przekór klątwie Leszka Białego, dorastał w zdrowiu. Wychowywany był przez matkę, a gdy nadszedł czas przejścia z kręgu kobiet pod opiekę mężczyzn, ta nie potrafiła znieść jego braku i wkrótce zmarła z tęsknoty. Chłopiec miał wtedy ledwie lat dziesięć. Wychowaniem i kształceniem księcia zajął się jego stryj Bolesław, zwany Pobożnym, który był także regentem poznańskiej dzielnicy bratanka. Gdy Przemysław miał lat piętnaście, stryj pasował go na rycerza, a gdy skończył szesnasty rok życia, postanowił go ożenić, co było ostatnim warunkiem objęcia przez młodego księcia ojcowskiego księstwa.

Bolesław chciał, by ukochany bratanek poślubił księżniczkę Ludgardę. Jej ojciec – Henryk I Pielgrzym – nie wrócił z Ziemi Świętej, matka – Anastazja – była regentką Meklemburgii, a dziadek – Barnim Szczeciński – księciem pomorskim. Małżeństwo Przemysła z Ludgardą ubezpieczałoby księstwo wielkopolskie od północy i zachodu, a z czasem – marzył Bolesław – dzieci Przemysła i Ludgardy mogłyby zasiąść na tronach Wielkopolski, Pomorza i Meklemburgii, gdzie jeszcze niedawno władali połabscy Obodrzyce i ludność z radością przyjąłaby powrót słowiańskiego władcy. Przemysław II rozumiał te strategiczne kalkulacje, ale nie chciał, by swatano go tylko dla politycznych korzyści. Osobiście ruszył ku Szczecinowi, by pokłonić się księciu Barnimowi, zawrzeć z nim sojusz, a jeśli Ludgarda znajdzie uznanie w jego oczach, to poprosić o rękę dwunastoletniej panny.

Wzorem swoich dalekich przodków, młody książę wraz ze drużyną wsiadł na długą łódź, na której dziobie umieścił jednak nie smoka, ale orła z rozłożonymi skrzydłami. Rozwinęli białe żagle i popłynęli z biegiem Warty ku Odrze, a potem Odrą ku Bałtykowi. Gdy zarzucili cumy przed szczecińskim zamkiem, na brzegu tłoczyły się tłumy mieszkańców. Wyszedł także książę Barnim z całym dworem.

Przystojny poznański książę od pierwszego wejrzenia spodobał się Ludgardzie, a jej dziewczęca uroda go zachwyciła. Uklęknął więc Przemko przed jej opiekunami i poprosił o wydanie mu księżniczki za żonę. Kilka dni później urządzono na szczecińskim zamku uroczyste zrękowiny. Książę popędził po nich do Poznania, bo jako niemal małżonek objąć mógł wreszcie ojcowską dzielnicę, a Ludgardę chciał powitać w swej stolicy jako książę. Stryj przekazał bratankowi władztwo i urządził mu królewskie wesele. W asyście biskupów, zakonników, rycerstwa oraz mieszkańców, nowy książę objął swój kraj oraz pojął Ludgardę za księżęcą małżonkę.

Trzeciego dnia uroczystości weselnych zorganizowano wielki turniej rycerski. W szranki stanęło kilkudziesięciu rycerzy. Od początku dwóch spośród nich wyraźnie się wyróżniało. Złoty Rycerz oraz Czarny Rycerz znosili wszystkich przeciwników już przy pierwszym starciu. Nikogo nie zdziwiło, że to właśnie oni dwaj zmierzyć się mieli w finale. Stanęli do ostatniego pojedynku z opuszczonymi przyłbicami, przypatrując się sobie przez wąskie szpary w blasze. Widzowie domyślali się, że w złotej zbroi ściera się książę Przemko, kogo kryje czarna zbroja, nie mieli pojęcia.

Na znak księżnej jeźdźcy ruszyli ku sobie z wyciągniętymi kopiami. Obaj siedzieli mocno w siodłach, żaden nie zwalniał tempa, pędzili ku sobie i niemal równocześnie ich piki uderzyły o tarcze. Książę czuł, jak zagruchotały mu kości w krzyżu, Czarny Rycerz dysponował niepospolitą siłą, musiał jednak – podobnie jak książę – odczuć efekt pierwszego starcia. Książę chciał sięgnąć po drugą pikę, ale czarny rycerz nie brał drugiej, tylko wyjął miecz. Ucieszyło to Przemka, pika to broń ryzykowna, przy dozie szczęścia i nowicjusz może rzucić za jej pomocą najbardziej znamienitego rycerza. Miecz był bardziej sprawiedliwy, tutaj trudniej był oszukać, a w fechtunku książę nie miał sobie równych.

Starli się, uderzając tradycyjnie – raz z góry, raz z dołu – o tarcze. Konie tańczyły wokół siebie, kładły uszy przerażone hałasem walki, ale żaden z rycerzy nie ustępował. Przemko uderzył czubkiem miecza i rozbił tarczę Czarnego Rycerza. Nie wykorzystał jednak swej przewagi, odrzucił tarczę i starli się znowu. W powietrzu rozchodziły się metaliczne dźwięki, a głównie ich mieczy skrzyły się w słońcu. Odjechali, zmierzyli się wzrokiem, odrzucili miecze i każdy z nich wziął drugą pikę. Teraz mieli na siebie natrzeć, nie używając tarcz, ta runda musiała rozstrzygnąć o zwycięstwie. Cwałowali ku sobie, celując w opancerzone torsy. Metr, może dwa metry przed zderzeniem, Czarny Rycerz opuścił

czubek piki i sprawił, że weszła ona pod stalową okrywą, wyrywając księcia z siodła. Czarny Rycerz zwyciężył. Nikt – poza pokonanym – nie dostrzegł nieuczciwego manewru, jakim tak zręcznie się posłużył.

– Pokaż nam swoje oblicze, rycerzu – zwróciła się do zwycięzcy księżniczka Ludgarda.

– Otom ja – odparł wojownik i zdjął czarną maskę. Okazał się nim Dobiesław, młodzieniec usynowiony przed laty przez Sędziwoja Zarębę.

– Jako zwycięzcy wręczam ci ten pierścień – rzekła księżniczka. – Byś go nosił jako pamiątkę tego turnieju i twojego w nim zwycięstwa.

– Będę go nosił, księżniczko – odparł głośno Dobek – jako symbol mojej miłości do ciebie i dowód tego, że na zawsze pozostanę twoim paziem. Zechciej mnie przyjąć w swoje służby, najjaśniejsza pani – powiedział i pochylił przed nią głowę.

– Przyjmuję cię w moje służby – odrzekła i położyła drobne dłonie na czarnej czuprynie Dobka, a jego hełm ozdobiła swoją czerwoną wstążką. – Będiesz odtąd zawsze moim pierwszym paziem.

– Ja też ci gratuluję zwycięstwa, Dobiesławie – powiedział głośno książę Przemysł. – Chcę, żebyś wiedział, że nie mam żalu do ciebie. Ty wszak dostałeś jeno pierścień i wstążkę, a ja najwspanialszą nagrodę – rzekł, przyciągając ku sobie Ludgardę.

– Nie wiedziałem, że z tobą się ścieram, najjaśniejszy panie – odparł Dobiesław.

– Walczyłbyś wówczas inaczej? – zapytał chytrze książę.

– W walce skorzystałem tylko z doświadczeń twych książęcych poprzedników... Czyż to nie Lestek wygrał wyścigi rydwanów dzięki podstępowi i został księciem...

– W rzeczy samej – przerwał mu Przemysł. Jego twarz stężała. Czuł, że Dobek nie cofnąłby się przed przypomnieniem innych przewin jego przodków. Zwycięstwo w turnieju nie dawało mu prawa do takiego pysznienia się. Nie mógł go jednak ukarać, bo każdy ze zgromadzonych uznałby, że czyni to z zemsty za przegraną walkę.

Dobiesław z rodu Zarębów często odtąd pojawiał się na poznańskim zamku. Dwornie pozdrawiał księcia, ale specjalne hołdy składał księżnej, damie swego serca. Miał też dla niej zawsze jakieś specjały – bakalie, daktyle, suszone figi oraz inne słodkości, z rzadka przywożone na tutejsze jarmarki przez ormiańskich kupców. Dostawał je od starej wieszczki mieszkającej w kaźmierskiej świątyni. Książę widział, jak rycerz pochłania wzrokiem jego młodą małżonkę, jak śledzi każdy jej krok. Czuł, że nie jest to zwykły zachwyt pazią damą serca. Czuł, jak w młodym rycerzu narasta niechęć do władcy, jak rzuca na niego nienawistne spojrzenia i krnąbrnie nie spuszcza wzroku przed karcącym spojrzeniem księcia. Nie mógł

jednak podzielić się z kimkolwiek swoimi obawami. Każdy by uznał, że wciąż nie przeboleł swojej porażki na turnieju i szuka pomsty na wasalu.

Dobiesław nie był jednak tym, kto martwił księcia najbardziej. Najbardziej smuciła go Ludgarda. Po sześciu latach małżeńskiego pożycia ciągle nie dała mu potomka, nie urodziła mu nawet potomkini.

Nie przypuszczał książe jednak ani przez chwilę, że oba jego zmartwienia ściśle się ze sobą wiążą. Powodem braku dziecka nie była wcale jakaś szczególna niemoc księcia czy księżniczki, ale Dobiesław, a raczej jego słodycze, które wieszczka z pogańskiej świątyni zaprawiała takimi dekoktami, że zabijały płód, gdy tylko zaczynał się zagnieżdżać w łonie młodej matki.

Zdrada w Sądowlu

Lepiej być skromnym pośród pokornych, niż łupy dzielić z pysznymi.

Księga Przysłów 16,19

Mawiają niektórzy, że to nie dzieci do rodziców, a wnukowie do dziadków najbardziej są podobni. Prawda ta potwierdziła się w osobie Dobiesława, który dziedziczył krew po dziadku swym – Władysławie Odonicu, a nazwisko po dziadku, co go adoptował – Sędziwoju Zarębie. Dziadowie jego zorganizowali zamach na księcia Leszka w Gąsawie, Dobiesław zaś podtrzymał ich niechlubne dziedzictwo podczas zjazdu w Sądowlu.

Nakłonił Henryka Probusa, księcia wrocławskiego, by do pogranicznej kasztelanii nad Baryczą zaprosił księcia głogowskiego i legnickiego oraz Przemysła wielkopolskiego. Dobiesław, jako lennik Przemysła i przyjaciel Henryka, czuwać miał nad bezpieczeństwem zgromadzonych. Gdy tylko panowie opróżnili puchary, zaś ich słudzy antańki z okowitą, hajducy Zaręby pojмали gości, a ich poczty wymordowali. Osadzeni w kasztelańskim lochu panowie mieli oczekiwać na przybycie Henryka. Książe Henryk Probus zwlekał jednak z przyjazdem.

Dobiesław czekał na niego noc całą i dzień następny, a nie doczekawszy się, pozostawił w końcu jeńców pod strażą, a sam pognął do Poznania. Największym jego marzeniem nie było bowiem namiestnictwo nad dzielnicą wielkopolską, a uporczywa myśl o tym, by wreszcie osiąść księżniczkę Ludgardę. Zajechawszy dwa konie, stanął wieczorem przed jej obliczem i powiadomił, że książe został napadnięty przez bandę raubritterów, którzy go zamordowali, a ciało jego uwięzili, na dowód czego okazał złamany miecz Przemysła.

Księżna, słysząc te wieści, omdlała, a dwórki nie potrafiły jej ocucić. Dobiesław przyglądał się ich staraniom, a sam nalał jej wina do kielicha, dosypując ukradkiem nieco proszku ze skrytki pod sygnetem. Pokojowa księżniczki – Brunhilda – dostrzegła te zabiegi, podeszła do stołu i podniosła kielich.

– To dla twojej pani! – skarcił ją Dobiesław.

– Pani nie pije tak mocnego wina – odparła służka. – Pójdę do alkierza rozcieńczyć. Poszła ku sąsiedniej komnacie, a nie mogąc bez zwrócenia uwagi wylać zawartości kielicha, sama ją wypila, a do kielicha nalała świeżego wina i rozcieńczyła z wodą.

– Napij się, pani – zwróciła się do księżnej. – To specjalne wino od rycerza Dobiesława.

Patrzyła, jak księżna wolno pije wino i jak rycerz się temu uważnie przypatruje, jak kot, który patrzy na mysz, którą za chwilę schrupie. Nie wiedziała, co planował, wiedziała jednak, że musi chronić swoją panią.

Dobiesław natomiast miał bardzo ścisły plan. Uwięził księcia, opanował miasto, chciał teraz osiąść księżniczkę, by w pełni objąć władztwo nad Wielkopolską i ostatecznie pognać księcia. Czarny Rycerz przemknął zamkowymi korytarzami, wszedł do wieży i stanął pod drzwiami sypialni księżnej. Noc mu sprzyjała, księżyc był w nowiu, a do tego schowany za chmurami. Lekko nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Podeszedł ku łożu księżniczki, usłyszał jej oddech i zakrył jej usta.

– Milcz albo zginiesz – wyszeptał. Poruszyła głową, potwierdzając, że rozumie jego polecenie. Zdjął rękę z jej twarzy. Nie wydała żadnego dźwięku. Rozpiął pas, zrzucił opończę i nagi wszedł do książęcej łóżnicy. Łóżnicy, która to jemu się należała z prawa pierworództwa.

– Dlaczego, mój panie? – wyszeptała tylko, gdy rozerwał jej koszulę. Nie odpowiedział, ona zaś umilkła, czując żelazny ucisk jego dłoni na swej szyi.

– Urodzisz mi syna, przyszłego księcia, pogrobowca Przemysła, mojego następcę – rzucał urywane słowa. Gładził jej delikatne ciało, gniótł piersi, wreszcie wszedł pomiędzy alabastrowe uda i wygodził sobie, a potem jeszcze drugi raz, i trzeci, i czwarty. Poddała się mu, oddychała tylko szybciej, nie broniła się, nie sprzeciwiała.

Uwięził księcia, teraz po wielekroć posiadał księżnę, a po zgładzeniu księcia pojmie ją za żonę – postanowił – i będzie miał ją każdej nocy. Ta myśl spodobała mu się bardzo i wygodził sobie jeszcze dwa razy. Gdy wychodził z komnaty, pierwsze kury już piały i szarzało na dworze. Szedł w opończy narzuconej na nagie ciało, a na ramieniu niósł pas i spodnie. Nie przejmował się tym, że ludzie go widzą, że domyślają się, skąd wraca. Cieszył

się tym nawet – to on był teraz panem Poznania, tej nocy objął w posiadanie księżną, za kilka dni obejmie także jej księstwo.

Pachołek o blond włosach schowanych pod lisią czapą pędził tymczasem na białym dzianecie gościńcem na Wschowę. Nikt mu nie towarzyszył, tylko jasny księżyc oświetlał drogę. Jeździec nie miał żadnej broni, a jeno sakiewkę z monetami. Liczył, że gdy napadną go zbójcy na trakcie, uda mu się wykupić. Od wilków i niedźwiedzi chronić go miał szkaplerz z włosem świętej Jadwigi Śląskiej i śmigły dzianet, najszybszy koń w stajni księcia Przemysła.

Wiść o pojmaniu księcia poruszyła mieszkańców poznańskiego grodu, pozamykali swoje kramy, pozabijali okna deskami, myśleli o ucieczce. Od czterdziestu lat byli miastem książęcy Przemysłów I i II, teraz miało się to zmienić, a zmiany zwykle niosą ryzyko.

Dobiesław tymczasem, wprost z książęcej łożnicy, udał się do zamkowej łaźni, przyodział się w świeże szaty i z poczem ruszył ku katedrze na Ostrowie Tumskim, a potem do ratusza. Zaproponował, że uda się do księcia Henryka Probusa z propozycją objęcia władzy nad pozbawioną dziedzicznego władcy dzielnicą, a siebie zaproponuje na książęcego namiestnika. Kapituła i magistrat przyjęły jego plan z wielką ulgą. Dawał im nadzieję, że ochroni ich przed wojną domową, zamieszaniami i zniszczeniami. Do wieczora katedralny pisarz oraz ratuszowy skryba wyrzuchtowali pisma upoważniające pana Dobiesława do występowania przed księciem śląskim w imieniu władz kościelnych i miejskich. Zbliżał się wieczór.

Dobiesław postanowił wyruszyć rankiem, uśmiechnął się do myśli o kolejnej nocy, jaką spędzi z Ludgardą w książęcej łożnicy.

W czasie, gdy Zaręba wychodził z ratusza w Poznaniu, przed wrocławskim ratuszem przejeżdżał strudzony pacholek na dzianecie. Nie udał się jednak ani do władz miejskich, ani do katedry, ani do księcia, a skierował się do wieży książęcego alchemika Silesiusa Angelusa. Gdy stanął przed jego obliczem, zdjął lisią czapę, a wówczas ukazały się długie blond włosy. Astrolog zobaczył, że to kobieta, rozpoznał w niej księżnę Ludgardę, którą spotkał, gdy był goszczony wraz z wrocławskim księciem na poznańskim zamku.

Wartownicy przed wejściem do wieży poznańskiego zamku, w której znajdowała się książęca łożnica, stali na warcie, tak jak ich Dobiesław pozostawił rankiem.

– Czy księżna pani miała jakieś specjalne życzenia? – rzucił.

– Żadnych – padła krótka odpowiedź.

– Ktoś do niej był dopuszczony?

– Łaziebna i kuchcik ze strawą – odparł słuźbiście halabardnik.

Gdy Dobiesław wszedł do komnaty, stała twarzą do okna. Nie odwróciła się. Zbliżył się do niej.

– Ludgardo – zaczął niepewnie, bo nie wiedział, jak ma się do niej zwrócić, była jego księżną, damą jego serca, a teraz nałożnicą. – Ukochana – dokończył nieśmiało.

– Zgrzeszyłam – wyszeptwała cicho. – Ciężko zgrzeszyłam i przyjdzie mi ponieść za to ciężką karę.

– Ludgardo, miłości moja. Na swoje barki wezmę ten grzech – zapewniał. – A gdy tylko przeminie żaloba po mężu twym, pojmę cię uczciwie za żonę przed Bogiem i ludźmi.

– Zgrzeszyłam – wyszeptwała. – Zgrzeszyłam, bom chronić pragnęła, ale zgrzeszyłam też, bom pyszna i myślałam, że mogę być jak księżna – dodała.

– Ludgardo – zaczął Dobiesław, objął ją w pół i odwrócił ku sobie, by pocałować. Zamarł w pół ruchu. Nie Ludgarda stała przed nim. Rozpoznał ją. Służka Brunhilda patrzyła mu w oczy. – W nocy... – wyszeptał zbielełymi ustami. – W nocy to byłaś ty? – dokończył.

– Tak – rzuciła krótko i nim zdążył zacisnąć dłonie na jej gardle, wbiła mu kuchenny nóż, pozostawiony przez kuchcika, w szyję. Jego krew zalała jej twarz, rozlała się na ustach metalicznym smakiem. Była to ostatnia rzecz, jaką poczuła, zanim skręcił jej kark.

Angelus Silesius stał przed księciem Henrykiem Probussem i przekonywał go, iż koniunkcje planet układają się doskonale dla poznańskiego księcia i każdy, kto stanie przeciwko niemu, straci wszystko. Biskup wrocławski Tomasz, który śnił o koronie arcybiskupa gnieźnieńskiego, krzychał, że to brednie, a czarownik powinien płonąć na stosie, a nie stać przed księciem i prorokować. Alchemik mówił o wojskach Mściwoja pomorskiego, spieszących, by uwolnić lub pomścić Przemysła, o śmierci Dobiesława, o klęsce wrogów księcia, o dzielnej księżnej, która ściągnie posiłki z rodzinnej Meklemburgii i Pomorza.

Biskup zaklinał się na wszystkie świętości, że Dobiesław leży w łożnicy z księżną, a cała dzielnica, biskupi, miasta i sama księżna uznali już w nim namiestnika księcia Henryka. Na to właśnie czekał czarownik. Nie przebrzmiały jeszcze słowa biskupa, gdy drzwi sali audiencyjnej otworzyły się i stanęła w nich Ludgarda.

Broczący krwią Dobiesław wytoczył się z książęcej komnaty. Zdążył jeszcze wysłać pogoń na trakty prowadzące ku Kaliszowi, Czarnkowowi i Gnieznu. Uznał, że księżna uciec mogła do drugiego najważniejszego miasta w księstwie; udała się pod opiekę arcybiskupa lub pognęła dalej, ku domenie pomorskiego księcia Mściwoja albo też ku księstwu swego dziadka Barnima. Siebie kazał czym prędzej wieźć ku kaźmierskiej świątyni. Tylko stara wieszczka mogła go uratować.

Angelus Silesius po raz kolejny pokonał biskupa Tomasza i zyskał jeszcze większe zaufanie księcia Henryka, którego ocalił przed podjęciem tragicznej decyzji. Henryk uwolnił Przemysła w zamian za przekazanie mu ziemi wieluńskiej łączącej jego Śląsk z senioralną Małopolską. Umówili się także, że ten, który będzie żył dłużej, przejmie dzielnicę zmarłego. Ludgarda zaś otrzymała od astrologa eliksir, który miał sprawić, że powije wreszcie księciu tak oczekiwanego dziedzica.

Śmierć Ludgardy

*Każdy bowiem, kto się wywyższa, będzie poniżony,
a kto się poniża, będzie wywyższony.
Ewangelia Łukasza 14,11*

Gdy wrócił książę Przemysł do Poznania, połączył się w łożu z księżną Ludgardą. Tak, jak obiecał alchemik, stała się ona brzemienna, nie chciała jednak mówić o tym księciu, by nie budzić w nim przedwczesnej nadziei.

Tymczasem do uszu księcia dochodzić zaczęły głosy o zdradzie księżniczki, jej romansie oraz spisku z Dobiesławem. Książę miał dać im odpór, słuchał złych podszeptów,

czyniąc tym księżnej wielką niesprawiedliwość. Duma własna księcia przeważyła nad jego miłością do żony. Biskup Jakub Świnka zaproponował, by księżna przybyła do Gniezna i tam złożyła uroczystą przysięgę przed relikwiami świętego Wojciecha, by zadać ostateczny kłam wszelkim pomówieniom i przy kościach świętego męczennika zapewnić o swej uczciwości małżeńskiej.

Książęca kolasa powiozła księżniczkę ku Gnieznu. Strudzonej podróżą przygotowano łaźnię. Weszła do niej Ludgarda, zrzuciła wierzchnie szuby i przeszła do sali tonącej w mlecznych oparach. Służki patrzyły na nią w milczeniu. Księżna zdjęła swe szaty i pozostała tylko w białej, jedwabnej sukni, ściśle przylegającej do ciała. W tej właśnie sukni, bosa, z rozpuszczonymi włosami, złożyć miała w świątyni przysięgę.

Przez salę przeszedł szmer i westchnienie przerażenia. W parnym pomieszczeniu zawisła groza. Nie można już było nie zauważyć ciąży księżniczki. Skoro tak długo ją ukrywała, nikt by nie uwierzył, że ojcem jest książę Przemysł. Naga Ludgarda ruszyła ku szerokiej ławie. Położyła się na niej, a jej wydęty brzuch sterczał wyraźnie. Przywołała przerażone służki. Wzięła od jednej z nich szczotkę i zacisnęła na niej zęby.

– Wyciskajcie – wyszeptwała.

Służki zaczęły masować brzuch i krocze księżniczki, by w ten sposób pozbyć się płodu, niezbitego dowodu zdrady małżeńskiej. Coraz mocniej naciskały ją, rozszerzały nogi, by rozewrzeć krocze, płód się poruszał, jednak nie przesuwał ku wyjściu. Starsza służąca, mająca doświadczenie w pomaganiu akuszerkom, podeszła z pogrzebaczem służącym do przesuwania węgla w palenisku. Umyła go w wodzie i wraziła w łono księżniczki. Ludgarda wyła z bólu. Jedna ze służek usiadła na jej brzuchu. Starsza ciągnęła, młodsze wyciskały, księżniczka traciła przytomność z cierpienia, bólu i przerażenia. Wreszcie dwie służki napały na brzuch księżniczki, akuszerka szarpnęła i płód wystrzelił, rozrywając krocze matki. Płowowłosy człowieczek wielkości małego gołębia ześliznął się z pogrzebacza i łagodnym łukiem opadł na węgle żarzące się pod kotłem z wodą na kąpiel księżniczki. Przeważenie ścisnęło gardła służek tak mocno, że żadna nie wydała dźwięku, tylko przerażonymi oczami patrzyły na płonące żywym ogniem dziecko.

– Księżniczka! – obudziła się z letargu najstarsza. – Ratujmy księżniczkę!

Nie było to łatwe, krew lała się spomiędzy ud Ludgardy, a ona – biała jak pergamin – leżała bezwładnie z zębami zaciśniętymi na szczotce.

– Musi wypchnąć łożysko – zakomenderowała akuszerka. – Ciśnijcie.

Służki ponownie z dwóch stron przymierzyły się do naciśnięcia brzucha, a stara manipulowała pogrzebaczem, by zahaczyć nim łożysko. – Ciśnijcie mocno! – wykrzyknęła.

– Boli! – krótki okrzyk księżniczki zabrzmiał w zamkowych łaźniach. Łożysko przeszło przez jej rozerwane łono. Silne praczki zbyt mocno jednak na nie napały i zapadły się w delikatnym ciele, gruchocząc jej zębra.

– Boli – zagulgotała jeszcze księżniczka, bo krew z przebitych płuc lała jej się już przez usta. Nikt nie mógł jej uratować.

Książę Przemysł wyprawił Ludgardzie uroczysty pogrzeb. Nie dowiedział się nigdy, że była brzemienna. Nie dowiedział się nigdy, że jego podejrzliwość pozbawiła go syna. Okazał się kolejnym pysznym, piastowskim księciem. Tak jak wcześniej jego ojciec oraz dziad, nie potrafił zdjąć klątwy ciężącej nad jego rodem.

Gdy sprzątano łaźnię, w której zmarła księżniczka, zobaczono, że drewniana płyta, na której leżała, tak bardzo przesiąkła jej krwią, że karminową czerwień zabarwiła nawet kamienie, na których leżała. Czerwone od krwi głązy ustawiono w katedrze gnieźnieńskiej, gdzie lud cześć im oddawał jako relikwiom związanym z Ludgardą.

Opowiadali ludzie, że to kamienie młyńskie, w których zły książę kazał zmielić ciało swej niewinnej żony, by wszelki ślad po niej zaginął. Ludzie prości bowiem kochali księżniczkę i sławili ją w pieśniach. Nie wierzyli w moc klątwy rzuconej na ród poznańskich Piastowiczów, a tylko w pychę władców, którzy wyżej cenili swój honor niż szczęście i życie wiernej żony.

Królewski kat

Obrzydłe Panu serce wyniosłe, z pewnością karania nie ujdzie.

Księga Przysłów 16,5

Minęło dziesięć lat od śmierci księżniczki Ludgardy. Książę Przemysł II dobrze rządził swoimi posiadłościami i powiększał je z roku na rok. Mądry ten władca, tak jak jego ojciec i stryj, nie walczył, jeżeli nie był do tego zmuszony, a starał się zwyciężać dyplomacją, układami i przyjaźnią. Swą dzielnicę wielkopolską powiększył, po śmierci Mściwoja

przyłączył do niej Pomorze, a zdobywszy Kraków uwiózł z niego klejnoty koronacyjne. Po śmierci Henryka Prawego miał po nim przejąć Śląsk. Był najpotężniejszym piastowskim księciem i postanowił koronować się na króla Polski. Dzięki niemu, po prawie dwustu dwudziestu latach, Polska znów miała mieć króla.

Potęga księcia poznańskiego nie podobała się jednak wielu, a najbardziej Dobiesławowi. Przemko pozbawił go ojca, ukochanej kobiety, księstwa, a teraz jeszcze korony, której czuł się bardziej godny. Nie miał już Dobek Zaręba oparcia w żadnym polskim księciu, knuć zaczął więc z Brandenburczykami. Potrafił znieść, że jest władką zamiast księciem, pokajał się przed Przemysłem i ten mu wybaczył, jednak bycie rycerzem, gdy ten miał zostać królem, było ponad moc jego charakteru. Wiedział, że szczęśliwy będzie tylko, gdy Przemko zejdzie z tego świata. Po raz kolejny pycha przeważała nad lojalnością.

W zapusty Przemysł przybył do królewskiego grodu w Rogoźnie nad Wełną, zaproszony przez Dobiesława, dzierżące tamtejsze ziemie Zarębów oraz ziemie książęce, które otaczały ten gród. Stoły uginały się od jadła, a pacholkiwie co rusz wytaczali z piwnicy świeże beczki wina i antałki okowity. Goście raczyli się trunkami, zapomnieli o bezpieczeństwie, nikt nie rozstawił straży. Rycerz Dobiesław ściągnął na zamek nie tylko trubadurów i cyrkowców, ale także wesołe dziewczki z katowskiego burdelu. Rycerze rozpierzchli się po komnatach, stryszkach i spichrzach, gdzie legli obok panien lekkich obyczajów bez broni i bez czucia.

Stara wieszczka z kaźmierskiej świątyni zaciągnęła się dymem z magicznego ziała. Przed oczami stanął jej pan Sędziwój Zaręba, któremu przed sześćdziesięciu laty wywróżyła syna, który będzie starszym bratem króla, a urodzi się z łona najbliższej mu kobiety. Nie domyślił się nigdy ten mądry pan, że wróżąca mu dziewczynka była najbliżej i była już kobietą. Zaciągnęła się raz jeszcze i poczuła błogość nocy spędzonej z księciem Przemysłem. Przypomniała sobie ból rozrywanego krocza, kiedy przeciskała się przez nie główka dziecka. Mijało czterdzieści lat, gdy pożegnała księcia Przemysła, który dumnie oddalał się od jej chramu, wiedząc, że spłodzi dziedzica, ale wiedząc też, że nigdy go nie ujrzy.

– Ni ty, ni żaden mężczyzna w twym rodzie nie przeżyje lat czterdziestu – przeklęła go wtedy. Zapomniała, rzucając klątwę, że jej Dobek jest naturalnym synem księcia, należy do jego rodu. Złe przeczucie targnęło sercem matki. Zabrała sakiewkę, do torby wrzuciła flakony z leczniczymi dekoktami i czym prędzej ruszyła ku pobliskiej wsi. Po godzinie

dosiadała już chłopskiej chabety, na której zmierzała ku Rogoźnu. Myślała o słowach, które wypowiedziała, żeby powstrzymać ich obu, żeby pogodzić ich i ocalić przed bratobójczą śmiercią. Śmiercią, która nieść będzie jeszcze większe przekleństwo. Zmierzchało już, gdy dotarła do rogozińskiej warowni nad jeziorem. Powoli wjechała na opuszczony most, żadne straże jej nie zatrzymały, niepodkute kopyta wiejskiego wałacha zastukały po belkach.

Zatrzymała się na zamkowym dziedzińcu. Nie krzatali się po nim żadni ludzie, nawet zwierzęta i ptactwo gdzieś znikło. Jeśli dostrzegała człowieka, to takiego, który spał nieprzytomny od alkoholu. Ruszyła powoli w kierunku murowanej wieży. Przed nią leżeli dwaj wojowie w książęcych barwach. Nie zasnęli jednak odurzeni alkoholem. Z ich piersi sterczały strzały. W bramie ujrzała przebitego włócznią króla Przemysła. Przymknęła powieki i zobaczyła jego ojca, księcia Przemysła I. Patrzyła tak przed laty na jego śpiące oblicze oświetlane tylko księżycowym blaskiem, prześwitującym przez dach świątyni, która nigdy nie powstała. Jego syn spał spokojnym snem, snem wiecznym, błąd w srebrzystym świetle księżyca, a wokół niego rozlewała się kałuża stężałej krwi.

Rozejrzała się po sali, dostrzegła kilku martwych rycerzy, którzy nawet nie zdążyli podjąć obrony. Spojrzała na nagą dziewczkę leżącą na skraju komnaty. Dojrzała wreszcie i Dobiesława, który spoczywał na podłodze zasłonięty przewróconą ławą. Dłoniami ścisnął piersi, ale pomiędzy palcami przesączała się bordowa krew. Wiedziała, że to jego ostatnie chwile.

– Zdradzili – wyszeptał, gdy zbliżyła się do niego. – Zdradzili, podstępne Brandenbury – powtórzył cicho.

– A księżę?

– Pomściłem. Pomściłem Ludgardę – wyszeptał. – To on ją zabił, to on ją kazał zabić. To nieprawda że ją kochał. To nie prawda, że zmarła przy porodzie. On jej nigdy nie kochał. Tylko ja ją naprawdę kochałem.

– Dlaczego mu nie wierzysz? – zapytała, tłumiąc łzy.

– Nigdy mu nie wierzyłem. Nigdy. Zawsze go kochałem, ale i nienawidziłem. Zawsze mu zazdrościłem. Zawsze myślałem, że jestem lepszy, że to ja powinienem być księciem.

– Miałaś rację – wyszeptała. – To ty powinieneś być księciem. – Rozpięła mu kubrak, sięgnęła do jego szyi i wyciągnęła łańcuszek, na którego końcu wisiał medalion z rzymskiej monety. Sięgnęła do sakiewki i przyłożyła do niej brakującą część.

– Skąd to masz, wiédźmo? – wycharczał.

– Jesteś moim synem – powiedziała, waząc każde słowo. – Jestem twoją matką.

– A ojciec? – padło niepewne pytanie.

– Ojciec... – Sięgnęła ponownie do sakiewki i wyjęła z niej pierścień, na którym wyżłobiony był znak orła. – Twoim ojcem był książę Przemysł.

– Jestem synem księcia? – wyszeptał.

– Pierworodnym – uzupełniła.

– Dlatego zawsze tak bardzo pragnąłem tronu, korony, władzy – zaczął. – Dlatego tak bardzo kochałem księcia Przemysła, a zarazem go nienawidziłem. Był moim bratem. Młodszym bratem – wysapał bezgłośnie.

– Zostałbyś księciem – wyszeptala – gdyby nie twoja niecierpliwość i pycha. Król nie mógł mieć syna. Król musiał umrzeć za kilka lat. Zostałbyś opiekunem jego córki, regentem królestwa.

– A ja chciałem być królem – wyszeptał.

– Zostałeś królobójcą.

– Kto będzie teraz królem? – zapytał.

– Każdy – przypomniała sobie słowa, jakimi przed laty przeklęła Przemysła – Czech, Niemiec, Rusin, a nawet karzeł.

– Karzeł – powtórzył cicho. – Nawet karzeł zasiądzie na moim tronie. Taki Łokietek.

Chłopski wałach wolno ciągnął wózek. Na koźle siedziała wieśniaczka. Na wozie wiozła zielone nadrzeczne łozy, które posłużyć miały jakiejś zamkowej koszykarce do wplecenia koszyków. Przed czterdziestoma laty w koszyku wplecionym z takiej nadrzecznej łozy puściła go na wodę, by dopłynął do zamku pana Sędziwoja Zaręby, który uznał to za znak od Boga i chłopca usynowił. Teraz, ukryty pod mokrymi łożami, powracał tam, gdzie się urodził i skąd wypłynął.

Minęła ją drużyna rycerzy ze znakami Zarębów, zmierzająca ku rogozińskiej strażnicy. Dobiesław nie chciał śmierci księcia, chciał mu jedynie pokazać, jak bardzo jest mu niezbędny, zyskać jego zaufanie i przywileje. Ludzie Zaręby mieli przybyć pierwsi i rozbić Brandenburczyków. Margrabiowie przejrzeni jednak jego plan. Przybyli przed umówionym czasem i zamordowali króla. Zmierzający do Rogoźna rycerze z Szamotuł jeszcze o tym nie wiedzieli.

Nigdy nie znaleziono ciała Czarnego Rycerza. Jeden z tych, co mimo ran przeżyli, wspominał, że był umówiony z Brandenburczykami, ale że nie pozwolił im, by zabili księcia jak wieśniaka z kuszy. Natarł na niego z mieczem, krzycząc, że to odpłata za śmierć

Ludgardy. Opowieść podchwycił gmin i wśród ludu rozpowszechniły się pieśni o dumnym i pysznym księciu Przemyśle, który nakazał zamordowanie swej żony Ludgardy, bo nie mogła dać mu syna. Po latach Długosz zapisał ją w kronice.

Rycerz Dobiesław, syn pierworodny króla Przemysła I, spoczął w bezimiennej trumnie w podziemiach kaźmierskiej świątyni. Obok tych, co bronili świętego gaju przed chrześcijanami i zakonników, którzy bronili ołtarza przed poganami, położony został ten, który mógł budować królestwo polskie wraz z bratem, ale pycha tak go zaślepiła, że zabił swego brata, a siebie skazał na wieczne potępienie.

CHCIWOŚĆ



TRAKTAT GAETANO ENZOLI

Przemysław Karbowski

Cały Mediolan wył.

Ze szczęścia, z euforii, z radosnego podekscytowania. Pogrzeby poległych pod Carcano zamieniły się w uroczyste manifestacje. Łzy rodzin, których członków wziął do niewoli Rudobrody, wysychały, gdy tylko zaczęto zliczać sumy, jakie spłyną w okupie za pojmany rycerzy cesarza. Doczekał się wyklęty Fryderyk. Szalał, plądrował i niszczył, aż dumni Lombardzcy pokazali mu, gdzie jego miejsce. Uciekał jak pies z podkulonym ogonem przed synami Mediolanu i Brescii, ścigany najwymyślniejszymi wyzwiskami.

Cały Mediolan wył.

Ale było to tylko złudzenie. Zwycięską bitwę celebrowała po prawdzie tylko *militia*, dumni mieszczenie-rycerze, konnica nieustannej wojny, kawaleria grabieży i zdobywania łupów, gdzie się tylko dało. Oni to właśnie, całkiem słusznie, zawłaszczyli wiktoryę, i oblewali ją w każdej karczmie i gospodzie w mieście. Triumf pod Carcano opijał również arcybiskup Oberto da Pirovano i jego stronnicy. Cicho siedziała część szlachty senioralnej i miejski lud, mniej lub bardziej świadomie przeczuwając, że cesarz nie wybaczy i powróci. I okrutnie się zemści...

Umberto Fulci z niewielkim oddziałem pachołków przemierzał uliczki zapchane pijanymi *milites*. Z niesmakiem lawirował, żeby przez skromny kordon nie przepchnął się ku niemu któryś z rozradowanych opojów, nie zbrukał jego szaty albo, co gorsza, nie zwymiotował na pierwszego lichwiarza Mediolanu. Tu i ówdzie trwały już podlane winem i piwem porachunki, wychodziły na wierzch międzyrodowe niesnaski, niespłacone hazardowe długi, uliczne bójkę o wszeteczne dziewczki i pojedynki na śmierć i życie. Gdzieniedzie

z okien na piętrach leciały kamienie, choć arcybiskup specjalnym edyktem zabronił tej śmiercionośnej metody rozwiązywania sporów.

Jak ja ich dobrze znam, myślał Fulci z obrzydzeniem. Zawsze stać ich na obrok dla wierzchowca, który niesie ich do bitwy, ale bywa, że do garnka nie mają co włożyć... Jutro pod kantorem będzie kolejka aż do kościoła świętego Ambrozego. Kilku spłaci długi, ale reszta ocknie się, że jeszcze zalegają z płatnościami za uzbrojenie, którym gromili Rudobrodego, że przepili wszystko, co zagrabili, że ci znamienici jeńcy to jakieś piąte z kolei dzieci poślednich wielmożów, którzy raczej cieszą się, że latorośle zażywają teraz mediolańskiej niewoli i nie trzeba ich karmić, niż myślą o zbieraniu pieniędzy na okup...

Jako człowiek przeklętego, choć dochodowego interesu, Umberto Fulci wcale się nie radował. Myślał przyszłościowo. Co mu przyjdzie z kolejnych przejętych majątków niewypłacalnych dłużników, skoro te cymbały, nie bacząc na okoliczności, drażnią cesarza? Który, gdyby nie to, że rozpuścił do domów trzy czwarte wojska, zgniótłby ich pod Carcano jak wszy? Cesarscy żołnierze wrócą i co wtedy? Deklaracja, że on, Umberto Fulci, zawsze był stronnikiem cesarza Fryderyka i papieża Wiktora, może nie pomóc.

Pełen niewesołych myśli lichwiarz dotarł do domostwa. Wyglądził nieco oblicze, gdy stanął przed komnatą brzemiennej żony. Popchnął drzwi i wchodząc, potknął się o ciało nieprzytomnej służącej. Podmuch z otwartego na całą szerokość okna pogasił wszystkie świece i Fulci zduszonym głosem wezwał przybocznego z latarnią.

W łóżnicy spała Francesca. Snem wiecznym. Unurzana we krwi, patrzyła niewidzącym wzrokiem na swój rozpruty brzuch i leżące obok dziecko. Wyszarpiany z żywota małżonki lichwiarza synek był omotany nie tylko pępowiną. Na małej szyjce nienarodzonego błyszczał naszyjnik ze złotych bizantów...

Umberto Fulci zapomniał o polityce i interesach. W jednej chwili osiwił i stracił zmysły.

Sierzant Spaletti wyciągnął jabłko z ust siniego trupa.

– Mało to wymyślnie... – mruknął. – Że się Bacardi lubował w zbytku i uctach, to zarznąli mu brata, ułożyli jak świnię na półmisku i jeszcze do ryja wcisnęli jabłuszko? Wielkie rzeczy, każdy lubi podeżreć...

Mężczyzna stojący w oknie doglądał, czy strażnicy dostatecznie konsekwentnie rozpędzają zbiegowisko przed domem Bacardich.

– Benedetto! – ryknął. – Zostaw tę babę, dołóż łyseму! No...

Zadowolony z siebie porucznik Otranto odwrócił się do podwładnego.

– Każdy lubi podezreć – powtórzył. – Popić, pochędożyć i w mordę dać też. Ale od tygodnia giną tylko członkowie największych lichwiarskich familii. I to śmiercią jednak dość wymyślną... Przynajmniej wiemy, że to właśnie Bacardiemu skradziono bizanty. Spaletti, kiedy ostatni raz płaciliście bizantem?

– Bardzo pan porucznik pośmiewny. W życiu nie widziałem bizanta. Podobnie jak mój ojciec, dziad i, prawdopodobnie, pradziad...

– No właśnie. I jaki stąd wniosek?

– Zabija bogacz?

– Nie sędzę. Zabija ktoś poważny, kto na poważnie chce coś przekazać. Kto dziurawi złote monety warte kilka folwarków, żeby przystroić nimi płód wyrwany z zarzniętej żony chciwego bogacza. Kto faszeruje Luciano Bacardiego kaszą wymieszaną ze srebrem i jeszcze pakuje mu do gęby... Spaletti, do kroćset, nie zryjcie tego jabłka!

Deputacja czterech lichwiarskich rodzin od południa odgniałała sobie kości na kamiennej ławie w korytarzu arcybiskupiego pałacu. Pałac... U Rosato i Bacardich czeladź miała lepsze warunki, ale Oberto da Pirovano pomieszkiwał skromnie. No i nie byłby sobą, gdyby nie omieszkał ich upokorzyć. W imieniu Fulcich stawił się kuzyn oszalałego Umberto – Luca. Graziano Bacardi w żałobie po bracie trząsł się jak w febrze i kłął pod nosem arcybiskupa. Pietro Rosato, którego rodziców wywabiono do kuźni na przedmieściu i napojono roztopionym złotem, siedział cicho. Złoto, prawdopodobnie użyte do sporządzenia śmiertelnego napitku, ktoś skradł ze skarbcza Gianfranco Vento. Do drzwi skarbcza przybito posrebrzonymi bretnalami dwunastoletnią córkę Gianfranco i Elwiry.

Vento nie oszalał ani nie posiwał. Za trzysta lirów wynajął braci Roncalli, a ci przez dwa dni i dwie noce darli pasy z prawie całej służby, którą Gianfranco posadzał o współudział w zbrodni. Z okrutnie torturowanych nic nie udało się wycisnąć, widocznie byli niewinni. Dzisiaj Vento też miał przy sobie trzysta lirów. Dla arcybiskupa, żeby wstrzymał śledztwo w tej sprawie i nie karał dodatkowo pogrążonego w bólu ojca Mileny.

Gwardziści arcybiskupa uchylili wreszcie drzwi, przeszukali zrozpaczonych pożyczkodawców, zarekwirowali broń i wszystko, co za broń mogłoby ujść, jak złotą zapinkę w kształcie węża należącą do Pietro Rosato. Towarzyszących lichwiarzom pachółków

gwardia przepędziła na koniec korytarza, bo część z nich na siłę chciała wejść ze swoimi panami do sali, w której za stołem czekał już duchowny. Barczysty i siwy, doskonale ukrywający na pobrużdżonej twarzy satysfakcję, że oto ci, których losy od lat krzyżowały się z losem rodziny arcybiskupa, stanęli przed nim, już nie z butą panów życia i śmierci, ale jak liche robaki, na które spadło niewytłumaczalne i przerażające nieszczęście.

To przecież dziadowie Rosato i Bacardiego przed laty omal nie wykończyli przodka Oberto. Tęgie, chciwe łby, które wpadły na szatański pomysł obejścia grzechu lichwy i owszem, pożyczali bez procentu, ale umowy pożyczek opiewały na terminy kilkudniowe, a w skrajnych przypadkach kilkugodzinne. Nie żądali potężnych odsetek, ale dopisywali karę pieniężną. Tym sposobem chcieli uniknąć piekła i wiecznego potępienia. Dziadek arcybiskupa nie miał szans wypłacić się na czas, stracił majątek i dołączył do krzyżowców, z którymi pokłonił się basileusowi Aleksemu w Konstantynopolu, do hańby bankructwa dopisując jeszcze sromotę hołdu dla schizmatyka. Ale przynajmniej odkuł się na krucjacie, z Jerozolimy wracając bogaczem. A rodziny Bacardich i Rosato w międzyczasie nadepnęły na odcisk biskupowi Gilbertowi, który obłożył ich klątwą, jak tylko wyliczył sobie, że musi oddać dwa razy tyle, ile pożyczył. Ekskomunikę rozszerzono na wszystkich lichwiarzy Italii, a ich praktyki na dwie dekady przejęli wyłącznie Żydzi. Pokusa była jednak zbyt silna i w krótkim czasie na nowo odrodziły się fortuny tych, którzy nad zbawienie przedkładali ziemskie bogactwo.

Teraz bili czołem przed arcybiskupem Oberto, czekając, aż łaskawie pozwoli im usiąść po drugiej stronie stołu.

– Za co, arcybiskupie? Za co? – spytał drżącym głosem Luca Fulci. – Czyż nie byliśmy dobrymi obywatelami? Czy nie pomagaliśmy wam przeciwko Rudobrodemu? Czy wspólnie nie pohańbił nas przed dwoma laty, gdy się przed nim ukorzyliście?

– Doigrał się pod Carcano, że tak przypomnę, gdybyście, w szaleństwie po utracie bliskich, tego faktu nie zauważyli – twardo rzekł arcybiskup. – Po drugie, jeżeli sądzicie, że stoję za tymi przerażającymi zbrodniami, to znak, że wasze szaleństwo przesłoniło wam rozum ze szczętem. U żadnego z was nie mam długu.

– Kto zatem? – Vento nerwowo szarpał brodę. – *Militia*? Któryś z konsulów? Na te straszne morderstwa trzeba było ludzi i środków; pieniędzy, by przekupić służbę, dostać się do domu...

– Przecież bracia Roncalli nic z waszej służby nie wyciągnęli? – zadrwił Oberto da Pirovano. – Za liche mieli utensylia do tortur?

Gianfranco Vento zagryzł wargi z wściekłości.

– Na rany Chrystusa... – wycedził. – Nie dworujcie sobie ze śmierci mego dziecka. Moi ludzie mają dla was sześć tysięcy solidów.

– Pięknie mnie wyceniacie – odparował duchowny. – Myślałem, że moje wpływy są warte więcej niż rzeźnickie doświadczenie braci Roncalli.

Vento nie odpowiedział.

– Taka to właśnie choroba, która was toczy – mówił dalej arcybiskup. – Nie tylko że was zaraza chciwości, ale chcecie zarazić jeszcze więcej ludzi, wykorzystując śmierć waszych bliskich. Temu lira, tamtemu lira, dla mnie trzysta, Roncallim trzysta, konsulom też, kilka dla *militēs* i może się wyjaśni, kto się na was zawziął i robi wam krzywdę?

– Nie mieszajcie do tego naszej chciwości – odezwał się Pietro Rosato. – My wszak jesteśmy już potępieni. Chcemy tylko ziemskiej sprawiedliwości dla ludzi, którzy zamordowali naszych krewnych.

– Zamordowali... – powtórzył zamyślony arcybiskup. – A może dali wam znak, że czas najwyższy na zarzucenie grzesznych poczynań i pokutę?

– Nie grajcie tą kartą, arcybiskupie. – Graziano Bacardi trząsł się coraz bardziej. – Zawsze podkreślaliście, że wybraliśmy potępienie i zesmażymy się na dnie piekła...

Oberto da Pirovano walnął pięścią w stół.

– Nie graj kartą waszego potępienia, szanowny Bacardi! Hipokryci... Myślicie, że nie wiem, ile z wszystkimi lichwiarzami Lombardii proponujecie Wiktorowi, aby raczył wypichcić bullę, w której zdejmie z was klątwę? Co, zaniemówiliście? Ale, powiedzmy sobie szczerze, to cesarskie popychadło gównem może, póki co... Przynajmniej wiele się wyjaśniło. Kto popiera Wiktora, popiera Barbarossę i tyle.

Pognębieni lichwiarze spuścili głowy.

– Bo na mój skromny arcybiskupi rozum ten, kto morduje wasze rodziny, chce jeszcze bardziej przeciągnąć was na stronę cesarza. Pamiętajcie o tym! Z mojej strony to wszystko. Aha, szanowny Vento, umorzenie dochodzenia w waszej sprawie będzie wam kosztowało dwanaście tysięcy solidów. Żegnaj panów.

– Czyli nie dostaniemy żadnej gwarancji? – Rosato wstał z krzesła jako ostatni.

– Jakiej gwarancji? – zdziwił się arcybiskup. – Jak powiedziałem: ze zbrodniami nie mam nic wspólnego, zatem nie mogę wam dać gwarancji bezpieczeństwa, to chyba logiczne? Chroncie swoich bliskich najlepiej jak umiecie, a jak przyjdzie do was ktoś z delikatną sugestią, że cesarz z Wiktorem mogą więcej, spuście go ze schodów...

Na błoniach, za murami miasta, w najlepsze trwało *emendatio*. Czteroosobowa komisja złożona z przedstawicieli *militii* i ludu, kancelisty arcybiskupa oraz z *mareschalca*, będącego na co dzień kowalem, wydzierała się na siebie oraz przekrzykiwała z ubiegającymi się o odszkodowanie za zabite i ranne w bitwie pod Carcano wierzchowce *milites*. Skończyła się część oględzin zwierząt ranionych na tyle powierzchownie, że dały się przyprowadzić przed oblicze komisji i zaczęła awantura przy szacowaniu kosztów martwych rumaków. *Balivus* Severino z koniuszym Oldoinim mało nie dali sobie po pyskach, gdy po raz któryś z rzędu pierwszy z nich usiłował ustalić kwotę za zabitego konia znacznie poniżej jego wyceny sprzed starcia z cesarzem Fryderykiem.

– Udław się tymi solidami, kurwi synu! – ryczał reprezentujący interesy *militii* Oldoini. – Co ty sobie wyobrażasz? Że zezarli te konie, a teraz przyszli po rekompensatę?! Po dwóch świadków masz do śmierci każdego wierzchowca!

– Ja do arcybiskupa będę wnioskował... – sapał *balivus* delegowany przez miejski lud.
– Ja petycję napiszę... Skończą się te świadectwa krewnych i znajomych! Oszuści! Naciągacze!

– Krzywoprzysięstwo zarzucasz *militii*, wieprzu nieczysty? A kto twój tłusty zad przed Rudobrodym uratował?

– A z kogo podatki na tę wyprawę zdarliście?

– A w ryj dawno nie dostałeś?

Brodzący w końskich odchodach sierżant Spaletti pomyślał, że ta wymiana uprzejmości byłaby zabawna, gdyby nie słyszał jej po raz dziesiąty, a może i piętnasty w ciągu ostatnich paru lat. Popatrzył, jak *mareschalca* z kancelistą Riminim rozdzielają krewkich krzykaczy, w czym dzielnie sekundowała im gwardia arcybiskupa.

Spaletti odczekał, aż jeden z jego ludzi wygłosi przed komisją przysięgę na Boga Najwyższego, że na własne oczy widział, jak pod męznym Alberto cesarscy zabili jego wiernego wierzchowca.

– Marino, ten Alberto to wasz krewniak? – zapytał niewinnie sierżant, gdy odszukał go w tłumie nieco zezowaty chudzielec.

– Wypraszam sobie. – Krzywo spojrział nie wiadomo na kogo Marino. – Chodźmy na ubocze, na dzisiaj koniec świadkowania.

Przeszli pod mury Mediolanu.

– Co gadają w mieście to wiem. – Spaletti podłubał w nosie. – Wszyscy czekają, aż tajemniczy morderca zajmie się wreszcie starym Ugolinim i jego rodziną. A tu nic... a ty twierdzisz, że już się zajął? To bardzo interesujące...

– Wiem... Za coś pieniądze biorę...

Arcybiskupowi Oberto ani jedna bruzda na twarzy nie drgnęła, choć porucznik Otranto przyniósł nowiny niezwykle ekscytujące.

– Taniej byłoby przekopać piwnicę w domu Ugoliniego – mruknął. – Ale dyskretniej będzie wysłać człowieka do Asyżu, żeby tam powęszył.

– Kawał drogi – zauważył porucznik. – Z drugiej strony śpieszyć się nie widzę potrzeby. Jeżeli pani Ugolini zażywa wywczasu u krewnych, pokój z nią. Jeżeli martwa leży przysypana ziemią, już jej nie pomożemy.

– Nieco to jednak pokrętne... Odkąd Laura zaczęła zdradzać Ugoliniego, odtąd odgrażał się, że ją zabije. No i nadarza się okazja. Ktoś w Mediolanie wziął się za lichwiarskie rodziny, temu ginie córka, tamtemu rodzice, innemu brat, brzemienna żona. Dlaczego nie wykorzystać okazji i pozbyć się niewiernej? Wyłupić jej oczy, w ich miejsce wstawić drogie kamienie, przyprawione rogi oblec kirem i paradować w żałobie z resztą pograżonych w rozpacz chciwców?

– Wzbudziłoby to podejrzenia. Zabójca zna jak własną kieszeń rozkłady domów lichwiarzy, a nie orientuje się, że Ugolini ze śmierci żony ucieszyłby się jak żebrak z solida? Zamordowałby raczej ukochanych synów, przyszłość rodu. Następców.

– Może tak, może nie – zamyślił się Oberto da Pirovano. – Podejrzenia podejrzeniami, ale sędzę, że wykpiłby się bez trudu. A on tymczasem zamiast radować się, że ktoś go wyręczył, w pośpiechu zakopuje trupa, ogłasza, że żona wyjechała do rodziny w Asyżu i sam siedzi cicho jak mysz pod miotłą? Dlaczego to robi?

Porucznik wlał w siebie kubek wina. Spojrzał na arcybiskupa.

– Laura zginęła najpierw. – Otranto z dumą pomyślał, że wreszcie udało mu się wywołać zmianę wyrazu twarzy u przełożonego. – Stary Ugolini nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, że wkrótce cztery rodziny po kolei utracą ukochanych bliskich. Nie dziwota, że spanikował.

– Szczwany lis z mordercy... – W szepcie duchownego zabrzmiała nuta podziwu. – Zyskał rzecz bezcenną. Czas...

– Ale to nie wszystko. Przy trupie Laury znaleziono to.

Porucznik położył na stole zaostrzone gęsie pióro. Fason bardzo dobrze znany arcybiskupowi. Z karbowaną dutką i połową chorągiewki zabarwioną na niebiesko. Dokładnie takich używali pisarze arcybiskupa i on sam.

– Informacja pewna? – Oprócz wyrazu twarzy, duchownemu zmienił się również głos.

– Od osoby zapijaczonej i już martwej, ale pewna. A pióro? Są dwie możliwości. Porzucone albo podrzucone. *Tertium non datur.*

Fortunato Ugolini nie przyjmował nikogo. Nawet dłużników, którzy przyszli spłacić wiarygodności. Zabarykadowany w swojej kamienicy patrzył trwożliwie przez okienko, pod którym służba ułożyła stos kamieni, w razie gdyby przyszło nimi rzucać z piętra na wyimaginowanych napastników. Suto opłacona ochrona lichwiarza, złożona głównie z doświadczonych *milites*, patrolowała ulicę, nie wahając się zatrzymywać i rewidować najbardziej podejrzanych, choć było to bezprawie, co też niejednym z obcesowo potraktowanych w twarz im wyrzaskiwał, grożąc sądem, arcybiskupem, konsulami i Bóg wie kim jeszcze.

Stary lichwiarz popatrywał na dwóch nastoletnich synów, sprawiających wrażenie, że niewiele rozumieją, choć jako nazbyt rozgarnięci, udawali tylko naiwne dzieci, nie chcąc denerwować rodzica. Jednego tylko nie pojmowali. Dlaczego ojciec odwołał wszystkie lekcje z *professores*? Chociaż zawsze powtarzał, że dzień bez nauki to dzień stracony, łożąc na nauczycieli swych pociech potężne kwoty. Jako człek w stanie grzechu śmiertelnego nie mógł ich posłać do szkoły klasztornej ani katedralnej, zabraniały tego papieskie wytyczne, które w swych statutach uwzględnił Oberto da Pirovano. Chociaż kto, do stu diabłów, jest teraz prawdziwym papieżem? Tego Ugolini dokładnie nie wiedział. Podobnie jak tego, co stało się z jego najbardziej zaufanym człowiekiem, wiecznie pijanym Adelmusem, który trzeźwość myślenia tracił tylko wtedy, gdy nieopatrznie wytrzeźwiał.

– Niech pan porucznik spojrzy. – Spaletti z przesadą godną aktora misterium zademonstrował przełożonemu dziurę w kaftanie. – A taki miał być mocny...

– Niepotrzebnie wyprałeś. Kto pojechał do Asyżu?

- Marino. Zbędna wycieczka, ale skoro stary się uparł...
- Nie za dużo zadań jak na jednego człowieka? Utopił Adelmusa, zarznął w lochu braci Roncalli...
- Skoro już tak pięknie się sami wystawili, szkoda byłoby zmarnować okazję. Zwłaszcza że z trzystu lirów od Vento wydali raptem dwadzieścia. Będzie pula na jakąś misję specjalną albo co?
- To oni z taką furą gotówki łazili po Mediolanie?! – Wytrzeszczył oczy Otranto.
- No nie... – Sierżant spojrzął w niebo, czy aby nie zbierają się burzowe chmury. – Ale wyspowiadali się przed śmiercią, gdzie je ukryli...
- Spowiadał Marino, jak sądzę?
- Ba...
- Żeby on z tym zezem nie skręcił czasem do Perugii... Jeden wart drugiego... Wy, Spaletti, nie umrzecie w łóżku.
- Domyślam się, choć, po prawdzie, bym wolał. Na niewieście, pod niewiastą, ewentualnie od niewiasty dupy strony... Za dużo do obgadania, chodźmy na piwo!

Ugolini obudził się z wrzaskiem z poobiedniej drzemki. Przyśniła mu się niewierna Laura. Z rubinem zamiast lewego oka i szmaragdem w miejscu wyłupionego prawego. Taką ją znalazł... Martwą.

- Wzywał pan przez sen małżonkę. – Czuwający przy lichwiarzu sługa rozchylił zasłony łożnicy. – Nic jej nie grozi, jest bezpieczna w Asyżu...
- Nie grozi... w Asyżu... No, jasne, że w Asyżu. Był ktoś do mnie?
- Tylko jeden z nauczycieli, ten z wielkim nosem, jak mu tam?
- Giuseppe?
- O, to, to!
- Co mu powiedzieli?
- Że na razie lekcje odwołane. Na ucieszonego nie wyglądał.

Spaletti gmerał w sakiewce w nadziei, że między denarami zawieruszył się solid. Nic z tych rzeczy. Pożałował, że nie przywłaszczył sobie paru monet z odebranego braciom Roncalli majątku.

– Pogłupieli... – mruknął. – Płatne z góry?

– Jak zawsze przed kryzysem – zauważył porucznik Otranto, moszcząc się na masywnej ławie. – Niby wszystko pięknie, ładnie, a już słysząc, że z urlopów wracają cesarscy żołdacy.

Sierzant zapłacił oberżysie i dopiero dostał dwa piwa.

– Niedobrze... – Spaletti przyssał się do wrębu drewnianego kufła. – Jak do cesarza dołączy jeszcze Henryk Lew, będzie po nas. Nie ma za bardzo z kim się sprzymierzyć. Brescia obrażona, że ich orznęliśmy przy podziale łupów. Jak zwykle. Novara trzyma się strzemięcia Rudobrodego jak pijany płotu... A jak nasz stary? Podobno mało sobie portek nie obsrał, jak mu pan porucznik okazał to pióro?

– Rzeczywiście. Choć nie musi to znaczyć, że i on chędożył świętej pamięci Laure. Raczej wystraszył się, że ktoś chciał na niego rzucić podejrzenie. Ale w to nie wierzę.

– A czemuż to?

– Pomyślcie, sierzancie. Jeżeli całe to zamieszanie wokół lichwiarzy jest symbolem, to i pióra wypadałoby użyć symbolicznie. Wetknąć Laurze w waginę albo tyłek, wcisnąć do ust... To jak napis: „tu byłem – arcybiskup”. Mam rację?

– Jako żywo.

– A według Adelmusa, morderca zgubił to pióro już za drzwiami.

– No tak... W kancelarii Ugoliniego używają piór z Pioltello, a te są z Cusago.

Otranto splunął pod stół drożdżami z dna naczynia. Zamówił następną kolejkę. Szarża ani rozpoznawalność nie pomogła, też zapłacił z góry.

– Kanonicy od świętego Ambrożego także zaopatrują się w Cusago – zaczął referować wyniki śledztwa Spaletti. – Konsulowie Maggiore i Biglia też. No i te przykościelne pierdoły, co płacą księdzu Lovato za dostęp do biblioteki.

– Żebyście wiedzieli, ile oni żądają za prywatne lekcje... – Porucznik uśmiechnął się kwaśno. – Zwłaszcza te udzielane dzieciom lichwiarzy. Dla mnie wszystko jasne.

– Takie to proste? – zdziwił się Spaletti. – *Professores* mordują ludzi? Zarzynają, patroszą i rozpruwają?

– Może nie osobiście, może ktoś czyni to *per procura*, ale pomysł jest za mądry, żeby wpadł na niego byle chłystek, byle półgłówek, byle szurnięty oprawca. Ale ja tych skurwysynów przejrzałem, Spaletti, na wylot ich przejrzałem. Dlatego naciągnij kaftan, zdejmij kaptur, załóż hełm, i idziemy do szanownego Busacci.

– Za proste... – upierał się przy swoim sierżant. – Jak pan porucznik ich przejrzał? No jak? Dowody!

– Ja po prostu za często łapię się na tym, że myślę bardzo podobnie do nich. Mniejsza o szczegóły...

Wyszli z oberży. Porucznik Otranto poprawił pas i ruszył ze Spalettim w stronę kościoła świętej Eufemii z Chalcedonu. I największej w Mediolanie biblioteki, zawiadywanej przez pobożnego księdza Lovato.

Cesare Ugolini spał z głową na dębowym blacie, wymęczony bezczynnością, na którą skazał jego i brata surowy ojciec. Próbowali na własną rękę zaordynować sobie lekcję, ale bez nauczyciela wyszło im to zupełnie komicznie. Jak tu prowadzić dysputę, gdy nie ma instancji rozstrzygającej w postaci mistrza? Więcej w tym było głupiego żartu, niż rzetelnej nauki.

Młodszy brat Cesare – Matteo, nie wytrzymał. Złamał ojcowski zakaz i uchylił okiennicę. Zaciągnął się zwykłym fetorem mediolańskiej ulicy, przez który nieśmiało przebijało świeże powietrze. Uradowany wykonał ożywczy wdech i runął na podłogę trafiony bełtem między nos a kość policzkową. Łoskot upadającego ciała obudził starszego brata, a ten, przerażony, zaalarmował cały dom.

Gdy Fortunato klęczał w kałuży synowskiej krwi, przeklinając Boga i wszystkich świętych, siebie, swoje lędźwie i łono Laury, które wydało na świat Matteo; gdy lżył papieża i cesarza, arcybiskupa i konsulów, zapłakany Cesare oglądał wyciągnięty z głowy brata pocisk. Na promieniu bełtu był napis. Niewyraźny, rozmazany krwią, ale dający się odczytać. *Semper avarus eget.*

– Co ja mam z tym zrobić? – Pobożny ksiądz Lovato patrzył na miedziaki, które wręczył mu Spaletti. – Jak was nikt jeszcze dzisiaj nie znieważył i nie opluł, to spróbujcie je rzucić żebrakowi...

- Opłata za skorzystanie z biblioteki – zimno wycedził sierżant.
- Co wyście? Nawet nie umiecie czytać...
- Pisać nie umiem – sprostował Spaletti. – Czytać w bólach podołam... No, nie drażnijcie mnie, księżulku. W razie czego powiadomcie arcybiskupa, żeście jego uniżonemu słudze przeszkadzali w wykonywaniu obowiązków służbowych.
- Ale w bibliotece jest szacowny Busacca!
- Tym lepiej – ucieszył się Otranto, naciągając na dłonie nabijane ćwiekami rękawice.
- Razem sobie coś poczytamy... Prowadź, dobry ojczel!

- Znowu się zaczęło... – szepnął Graziano Bacardi, drąc skrawek pergaminu z wiadomością od rodziny Rosato.
- Co takiego? – Zdyszany posłaniec nie zrozumiał.
- Dopadli Ugolinich...

- Professore* Busacca patrzył kpiąco znad księgi na nieproszonych gości.
- Porucznik Otranto, sierżant Spaletti. – Oficer arcybiskupa Oberto da Pirovano przedstawił siebie oraz przybocznego.
 - Kto wam nadawał stopnie? – spytał z przekąsem Busacca. – Aleksander?
 - Grzeczniej, gryzpiórku, grzeczniej! – Spaletti demonstracyjnie smarknął na kamienną posadzkę. – Dla ciebie to jest prawowity papież, Jego Świątobliwość Aleksander III!
 - Podobno już spakowany do Francji? Prawowitą to on jest obłożony ekskomuniką...
 - Tyle warty ten synod w Pawii, co zlot wiejskich głupków – parsknął Otranto. – A wyklęci to raczej Rudobrody z Wiktorem.
 - Z papieżem Wiktorem – poprawił *professore*.
 - Rzymski papa jak w mordę strzelił... Co to jeszcze z pałacu na rzymską ulicę nie wyrzał, żeby nie oberwać w łeb nocnikiem albo chociaż jego zawartością...
 - Aleksander za to co dzień wyglądał, aż go mieli dość i wygnali, że ledwo tyłek uratował... Gościnną francuska ziemia już czeka.
 - Na Wiktora też czeka. Niepoświęcona.

Zapadła cisza. Godni siebie uczestnicy pyskówki nabrali w płuca powietrza do kontynuacji werbalnego starcia. Ale Busacca poddał się.

– Czemu zawdzięczam wizytę unizonych sług arcybiskupa? – spytał, próbując przybrać ton całkiem poważny. Nie wyszło.

– Teraz mówisz do rzeczy. – Porucznik puścił mimo uszu niezbyt zawołowaną drwinę nauczyciela. – No to krótko i węzłowato. Kto zabija rodziny mediolańskich lichwiarzy?

– A skądże mi to wiedzieć? Zabija ich chciwość, żądza posiadania więcej i więcej.

– Porzuć kaznodziejską manierę, szacowny *professore*. To samo można by powiedzieć o każdym z *militii*, każdym konsulu, każdym duchownym, każdym mediolańczyku. Kto ich zabija i dlaczego?

– Albowiem, jako rzecz Izajasz, „podpisali traktat ze śmiercią i zawarli pakt z piekłem”.

– Bardzo ładny cytat – skrzywił się Otranto. – Dobry na każdą okazję. Ale dotyczył, coś mi się zdaje, kogoś innego?

– No tak... – zmarszczył brwi Busacca. – Były kanonik Otranto... Coś wam w głowie zostało...

– Więcej niż wam się wydaje. Ale ja naprawdę nie mam czasu.

Porucznik podszedł do *professore* i trzasnął go w twarz pięścią w ćwiekowanej rękawicy. Chwycił nauczyciela za kołnierz i przeciągnął przez stół, rzucając na posadzkę.

– To gwałt! – splunął krwią Busacca, przerażony takim obrotem sprawy. – To jest zamach na człowieka nauki...

– A czegoś ty się spodziewałeś?! – Otranto kopnął leżącego w brzuch. – Że tu będzie jak w Bolonii? Że Rudobrody wkroczy i założy uniwersytet? Że będzie autonomia dla sukinsynów w profesorskich togach? Niedoczekanie, szacowny Busacca, niedoczekanie...

Nauczyciel łkał cicho, spoglądając z nadzieją na drzwi biblioteki. Żadna pomoc nie nadchodziła.

– A teraz gadaj! – Porucznik zaczął beznamiętnie policzkować ofiarę. – Który z was pisze rozprawę o lichwie? Który szykuje traktat o chciwości? Który to podnieca się zabijaniem niewinnych kobiet i dzieci, a potem na pergamin przelewa swoje uczone spostrzeżenia? Nie chcesz gadać? Dobrze... To teraz zaczynamy serię morderstw na, jak ty to powiedziałaś? Na ludziach nauki? Spaletti, poszukajcie Biblii, wytargajcie parę stron, a martwemu Busacce wciśniemy je do dupy, że oto tam właśnie miał Słowo Boże. Znajdź mi

„Sentencje” Piotra Lombarda, a wepchniemy je panu nauczycielowi w poderżnięte gardło, że oto gębę miał pełną uczonych farmazonów, ale nic mu to nie pomogło... Jeszcze się zeszczął...

Zmartwiały z bólu i strachu Busacca nie utrzymał moczu, woń uryny wypełniła bibliotekę. Spaletti, zupełnie poważnie, rozglądał się po półkach z książkami. A Otranto nie odpuszczał. Kolanem docisnął pierś *professore*.

– Który pisze rozprawę o lichwie? – powtórzył wściekły. – Który?!

– Giuseppe z Padwy... – wyrzeźbił nauczyciel. – Naprawdę nazywa się Gaetano Enzola...

Otranto wstał z Busacci. Za późno. Skrzypnęły zawiasy. Spaletti zdążył dobyć miecza, ale na nic się to zdało. W drzwiach stanął czarnowłosy mężczyzna z wielkim nosem. Nie przyszedł z pustymi rękami. Z kuszy mierzył w porucznika.

Poseł Fryderyka Barbarossy do arcybiskupa da Pirovano – palatyn Otton z Wittelsbach, postawił na stole niewielki kuferek.

– Cóż to? – spytał zaintrygowany duchowny.

– Potwierdzenie, że cesarz wie wszystko, i że nie rzuca słów na wiatr. Przemyślcie, arcybiskupie, to, co wam przekazałem.

– Nie umocnię schizmy, nie uznam Wiktora. – Arcybiskup rozłożył ręce. – Nie namówię konsulów i *militii* do przysięgi na wierność Rudobrodemu...

– Już raz przysięgaliście – przypomniał Otton.

– Z nożem na gardle. Czy to coś warte? Cesarz też przysięga i obiecuje. Jednym uczelnię, drugim krucjatę, innym prawo składu.

– Wy mnie naprawdę nie rozumiecie – zniecierpliwiał się poseł. – Chodzi tylko o was i wasz autorytet. Cesarz uratuje was i kilku konsulów. Los Mediolanu jest już przesądzony.

– Mediolan to ja!

– Mocne słowa... – Otton otworzył kuferek, z którego buchnęła fala smrodu. – A co powiecie na to?

Palatyn rzucił na stół okrwawioną głowę. Ta zezowaty i pusty wzrok utkwiała w arcybiskupie.

– Pozdrowienia z Asyżu! – wykrzywił twarz cesarski wysłannik.

Oberto da Pirovano nic nie powiedział. Dał znak gwardzistom, by odprowadzili posła. Audiencja się skończyła.

Sierżant Spaletti w myślach na szybko przerabiał możliwe scenariusze wypadków. Jeśli uda mu się dać nura pod wielki stół, a Enzola chybi, dopadną go z porucznikiem bez trudu. Jeżeli Otranto zginie od beltu, sierżant nie zdąży się wygramolić spod stołu, aby dać skuteczny odpór wielkonosemu Gaetano. Liczyć na to, że ma tylko kuszę i pod czarnym płaszczem nie ukrywa miecza ani sztyletu zakrawało na szaleństwo.

– Poza tym nie zapominajmy – zagrał na czas Spaletti. – Że chodzenie z napiętą kuszą po ulicy, w mieście, jest wbrew prawu tak kościelnemu, jak i...

– Nie marnuj oddechu, dowcipnisiu! – zalecił z uśmiechem Enzola. – I rzuć miecz!

– Belt jest jeden, a nas jest dwóch – odwzajemnił uśmiech sierżant.

– Jeden wystrzelony belt oznacza, że zostanie jeden z was.

– Proszę... – Porucznik Otranto powoli się wyprostował. – Biegły nie tylko w rozważaniach o grzechu i karze... Rachunki i logikę też opanowałeś... Nie wiem, czy na odpowiednim poziomie. Zabijesz jednego z nas, a drugi zabije ciebie. Nie łudź się, że dasz radę się obronić. Człowiek władający na co dzień piórem, a od święta mieczem, zawsze oberwie od tego, który miecza używa codziennie. Proste.

– Wniosek prawdziwy, przesłanki też, tylko nijak się mają do naszego spotkania. Spaletti, rzuć miecz, i obaj ręce do góry. Busacca, leżcie tam, gdzie leżycie i niech wam nic głupiego do głowy nie przychodzi!

Sierżant upuścił miecz i uniósł ręce, wpatrując się w księgę na stole. „Policraticus” Jana z Salisburii. Nic mu to nie mówiło. Ale okucia i łańcuch, którym dzieło mocowano do pochylonych pulpity, działały na wyobraźnię Spalettiego.

– Po co to było? – spytał Otranto. – Jaki sens miały tak straszliwe zbrodnie, *professore* Enzola? Wszyscy wiemy, że chciwość to grzech, że lichwa to grzech śmiertelny, wreszcie wszyscy wiemy, że jesteśmy grzeszni. I wciąż niewiele z tego wynika. Ludzie grzeszą, bo taka ich natura. Grzeszyć będą.

– Ci, których ukarałem, już nie.

– Będą inni. Dziesiątki, setki i tysiące obrzydliwie bogatych lichwiarzy. Domyślam się, że Graziano Bacardi nieprędko zapoda sobie na kolację pieczoną świnie przyozdobioną jabłuszkami, a kiedy jego dłużnik spłaci dług srebrem, dostanie dreszczy. Rosato na widok złota pomyśli o swoich rodzicach. Rodzina Fulcich na myśl o bizancie powoli wpadnie w obłęd. Niemal pewne, że zarzucą lichwiarski proceder i zajmą się zupełnie czymś innym, po tym, co im uczyniłeś. Ty i twoi współnicy.

– Nie mam współników...

– A to ciekawe... – Porucznik zmrużył oczy. – Chcesz mi powiedzieć, że taki gryziپیórek, taki pisarzyna jak ty, taki nauczyciel z bożej łaski, sam urządził tę rzeźnię? Ja, nie chwając się, przejrzałem twoje pobudki, *professore* Enzola. Bo ja też kiedyś chciałem zażyć prawdziwej przygody. Kiedy mnisi naukę pisania zapodawali mi kijem, marzyłem o zabijaniu i oblężeniach, gdy lagą wbijali mi do głowy *trivium*, myślałem o bitwach i łupach. Jako kanonik, studiując Pismo Święte, roiłem o gwałtach na niewiastach. Taki byłem młody i głupi. Rzuciłem to i okazało się, że wszystkie te moje młodzieńcze rojenia były warte tyle co nic. Przy pierwszym zabitym rzygałem do pustości w żołądku, przy drugim i trzecim też. Podczas szarż i oblężeń modliłem się, by nie wysrać kiszek ze strachu. A co do pierwszej zgwałconej, to nawet nie jestem pewien, czy żyła... Taka to była żądza przygód, chciwość wrażeń. A ty chcesz mi wmówić, że prosto z nad „Komentarza do Eklezjasty” świętego Hieronima sam poszedłeś nauczać grzeszników, masakrując ich bliskich? Przy żadnej ofierze nie znaleźliśmy twoich wymiocin, taki jesteś twardy?

– Były kanonik Otranto... – Gaetano Enzola pokiwał drwiąco głową. – Poprawnie wnioskuje, ale wciąż błądzi. Niby przejrzał, a naprawdę oślepl, wszystkich mierząc swoją miarką... Przyjmij do wiadomości, poruczniku, że możliwa jest droga odwrotna. Ja, na polach bitew wyrzynając ludziom flaki, tylko dlatego, że ich pan pokłócił się z moim o jakąś bzdurę, myślałem o tym, jak cudownie byłoby umieć pisać i czytać. Niewoląc kobietę jedną za drugą, marzyłem o studiowaniu Słowa Bożego. A dobywając twierdz i zamków, modliłem się, by oczu nie zalała mi wrząca smoła, abym kiedyś mógł się uczyć i samemu nauczać. Rozumiesz, poruczniku? Pojmujesz, że błądzisz, bo o wszystkich myślisz jak o sobie?

Zakłopotany Otranto zarumienił się.

– Udało mi się – ciągnął Enzola. – Rzuciłem wojaczkę i zostałem nauczycielem, choć kosztowało mnie to tak wiele, że nie jesteście sobie w stanie tego wyobrazić. Pomyślałem w pewnym momencie, że jestem jedyny i wybrany. Że oto Bóg wybrał mnie, abym nauczał nie tylko słowem, ale i czynem, bo władam i piórem, i nożem, i dyskutując, i tnąc mieczem, pisząc i strzelając z kuszy. Po prostu miałem wystarczające umiejętności, by działać skutecznie i sprawnie. To, co uczyniłem lichwiarskim rodzinom, to lekcja i kara. Mały przyczynek do większego dzieła. Traktat, który napisałem o lichwie to tylko wstęp, ale istotny. Bo chciwość jest tak naprawdę grzechem pierwszym i jedynym, wszystkie inne są jego pochodną. Chcemy mieć więcej i więcej bogactw, jak Bacardi i Fulci, choć oni w pewnym momencie nawet nie będą umieli policzyć, ile mają. Ale czy to jedyna forma chciwości? Chcemy najadać się i popijać aż do upadłego, chcemy dawać upust swej chuci,

chcemy paradować w próżnej pysze, chcemy gnić w błogim nieróbstwie i posiadać to, co inni, trawieni zazdrością.

– Mogłeś to tylko opisać – powiedział porucznik i zerknął na Spalettiego. Oby zrozumiał, do czego chcę doprowadzić, pomyślał. Oby wiedział, co czynić. – Mogłeś zrobić karierę w Bolonii i Paryżu. Wolałeś jak rzeźnik porozpruwać Bogu ducha winnych na półtusze i nazwać to dziełem wybrańca Stwórcy? Po prostu dlatego, że nożem władasz lepiej niż piórem. Ludzie zapamiętają tylko, że kiedyś, ktoś tam w Mediolanie mordował rodziny lichwiarzy. Zwykły, niezrównoważony oprawca. Ale nie łudź się, iż będą opowiadać, że to bicz boży – *professore* Gaetano Enzola – nauczał o chciwości jako grzechu najpierwszym i najważniejszym. Nauczał tak pięknie, że ludzie nagle przestali grzeszyć i zapanowało Królestwo Boże na ziemi.

– Ludzie zapamiętają. – Gaetano Enzola mocniej ścisnął w rękach kuszę. – Bo ja też grzeszę chciwością. Chcę być zapamiętany. Z rozważań o lichwie, które przeczyta może pies z kulawą nogą, ale nade wszystko jako ten, który namacalnie wskazywał grzesznikom ich grzech. Tak dosadnie i okrutnie, że grzeszyć śmiertelnie przestali i zwrócili się do Boga. To jest chciwość, którą grzeszę, bo...

Sierzant Spaletti wiedział, co czynić. Wiedział, że to już ta chwila, kiedy Enzola, napawając się brzmieniem swego głosu i wygłaszanym kazaniem, częściowo utraci koncentrację. Porwał ze stołu dzieło Jana z Salisbury i cisnął nim w stronę mediolańskiego bicia bożego. „Policraticus” zawirował w powietrzu i zadzwonił łańcuchem, a Gaetano Enzola popełnił błąd. Odwrócił się z kuszą w stronę nadlatującej księgi i odruchowo nacisnął dźwignię spustową. Bełt brzęknął o okucie tomu, a Otranto wyciągnął miecz i rzucił się na Enzolę. Ten upuścił kuszę i kląc swój moment nieuwagi, spod płaszcza dobył kord i puginał, fachowo blokując dwoma ostrzami atakującego porucznika. Spaletti też nie próżnował. Porwał swój miecz z posadzki i ruszył w sukurs przełożonemu. Osaczony Enzola, choć biegły w fechtunku, nie miał żadnych szans z dwoma przeciwnikami. Sierzant wytrącił mu z dłoni puginał, a Otranto wbił sztych w gardło nauczyciela o wojackiej przeszłości.

– Chciał być zapamiętany... – Porucznik wytarł ostrze w płaszcz Enzoli. – Cholerny Herostrates naszych parszywych czasów. Szacowny Busacca, przynieście mi ten traktat i wszystkie, powtarzam, wszystkie kopie!

Przerażony *professore*, leżący w kącie, gdzie rzucił go Otranto, pozbierał się z zimnych kamieni i obolały ruszył w kierunku ksiąg.

– A jednak się pan porucznik pomylił – stwierdził Spaletti bez satysfakcji.

– Błądzić jest rzeczą ludzką – wzruszył ramionami Otranto. – Teraz tylko trzeba na zawsze wymazać imię tego skurwiela z historii. Moja w tym głowa. Spaletti, co tam się dzieje?

Zza drzwi biblioteki dobiegały rozgorączkowane wrzaski, sierżant wyszedł zobaczyć, o co chodzi. Po chwili wrócił z niewesołą miną.

– Rudobrody ogłosił pełną mobilizację – powiedział Spaletti. – Na nas, psiakrew...

– Panie... – odezwał się Busacca. – Są tylko trzy kopie...

Otranto pokręcił głową nad trupem Gaetano Enzoli, myśląc, gdzie by tu zrobić ognisko z przyniesionych przez Busaccę książek.

Niespełna dwa lata po opisywanych wydarzeniach, w marcu Roku Pańskiego 1162, cesarz Fryderyk Barbarossa, po dziesięciomiesięcznym oblężeniu, wkroczył do Mediolanu z mocnym postanowieniem uniknięcia błędu sprzed lat czterech, gdy tylko przyjął hołd mediolańczyków, zadowolając się ich upokorzeniem, okupem i jeńcami. Aby odcięta głowa mediolańskiej hydry już nigdy nie odrosła, Rudobrody nakazał zburzyć miasto i wygnąć mieszkańców. Od tego czasu przestała mu się śnić klęska i ucieczka pod Carcano. Odzyskał spokój ducha.

W gruzowisku i zgliszczach, które zostały z dumnego miasta, zaginął rękopis „Traktatu o lichwie” Gaetano Enzoli. Wszyscy myśleli, że bezpowrotnie, ale tak się tylko wydawało...

Reginald z wyraźną ulgą prostował zdrętwiałe od pisania palce.

– Na dzisiaj wystarczy. – Uśmiechnął się do sekretarza wielki zakonnik. – A jutro podyktuję wam kilka dodatków do rozdziału o lichwie.

– Przecież już ukończony? – zdziwił się Reginald.

– Niezupełnie. Trzeba go będzie nieco zmienić, przerobić. Bardzo wiele ciekawych uwag znalazłem w tej małej książeczce.

Sekretarz Reginald podniecony zaczął wertować stronicę niewielkiego dziełka.

– Coś takiego! – szepnął. – Enzola! Przeklęty Gaetano Enzola! Skąd to wasza miłość wytrzasnął?

– Odkupiłem od Wilhelma z Moerbecke. – Mnich położył palec na ustach. – Ale nikomu ani słowa.

– Wasza miłość... – Reginald był nieco zakłopotany. – Ja wiem, minęło ponad sto lat, ale... Czy godzi się czerpać z myśli zbrodniarza i przeklętnika?

– Czy wszechmocny Bóg nie może obdarować nieprawego umysłu mocą trafnego wnioskowania? Czy najstraszniejszy grzesznik nie może wykazać się celnym osądem w niektórych kwestiach?

– Macie rację, mistrzu... Jak zwykle...

– Daj spokój, Reginaldzie. – Zwalisty dominikanin z trudem wstał z zydła. – Dobranoc.

Zadumany Reginald nie odpowiedział. Myślał nad słowami mistrza.

– Dobranoc... Jaka znowu noc? – Sekretarz ocknął się po chwili. Był już sam w pracowni. Słyszał, jak za drzwiami Tomasz z Akwinu ciężko stąpa po schodach.

Wstawał świt.

NIECZYSTOŚĆ



TAŃCZĄCE NIMFY

Agnieszka Kwiatkowska

1.

Pierwsza nimfa zatańczyła dla mnie w ogrodzie sąsiadów, gdy miałem kilka lat. Stałem przy ogrodzeniu i patrzyłem przez pręty, zbyt wąskie, aby się między nimi przecisnąć. Ogród w zapadłym już zmroku wyglądał jeszcze bardziej dziko niż za dnia, a ja drżałem z ekscytacji, bo nie wolno mi było samemu wychodzić z domu po ciemku. Wymknąłem się opiekunce, co mi tam gniew ojca i lanie.

Drzewa po zmroku są bardziej poskręcane niż za dnia. Nawet szumią inaczej niż w blasku słońca. Mała nimfa wychyłała zza jednego z nich, powoli i nieśmiało, a ja wstrzymałem oddech i patrzyłem, jak zaczyna tańczyć, biała i gibka, pełna wdzięku i dziecięco radosna, a nie taka, jak za dnia – martwa i kamienna. Patrzyłbym tak do rana, ale wtedy nadeszli rodzice. Nimfa uciekła, a ja wróciłem do domu z piekącym uchem i wśród akompaniamentów krzyków matki dostałem tęgie lanie.

Choć miałem wtedy pięć lat, nie pisałem ani słowa, a ojciec miał ciężką rękę. Pamiętam dobrze, że nie spałem tamtej nocy. Leżałem na brzuchu z szeroko otwartymi oczami, nie bardzo rozumiejąc, co tak naprawdę widziałem.

Cokolwiek by to nie było, chciałem to ujrzyć ponownie.

2.

Ojciec był z postury niepozornym człowieczkiem, ale prowadził dom niewidzialną żelazną ręką. Niewidzialną, gdyż ani razu nie zrobił niczego w domu, nie wydał głośnego polecenia. A jednak było jasne, że wszystko, co się tutaj dzieje, jest spełnieniem jego woli. Wszyscy dokoła żyli, chodzili i oddychali w rytmie życia profesora Alessia Faddy. To była rutyna, ale bez krzyku – ojciec nie zwykł podnosić głosu czy wybuchać. Dla wszystkich było oczywiste, że wszelkie zasady ustala on.

Ojciec zwykle mnie nie dostrzegał. A gdy już patrzył na mnie, robił to tak niewidzącym wzrokiem, że miałem wrażenie, że patrzy nie na mnie, a przeze mnie. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek mnie uściskał.

Gdy poszedłem do szkoły, coś się zmieniło. Ojciec zaczął zadawać mi pytania, sprawdzając me postępy w nauce, wciąż jednak patrząc przeze mnie. „To dlatego, że tatę cały czas pochłaniają myśli” – wytłumaczyła mi raz matka, gdy odważyłem się zapytać o ten niesamowity wzrok. Potem przez długi czas mnie samego dręczyły dziwne myśli, aż w końcu dostałem gorączki i bredziłem w malignie, wyobrażając sobie żarłoczne myśli, które sięgają człowiekowi do oczu i zjadają je. A gdy wyzdrowiałem, pewnego dnia ojciec spojrział na mnie przy śniadaniu i tym razem patrzył badawczo, na mnie, nie przeze mnie. Miał oczy tak czarne, że źrenice zlewały się z tęczęwkami. Wyglądały niczym dwa duże kawałki węgla.

– Za mało ruchu – stwierdził głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym, a jednak na jego dźwięk zamarł cały dom. Zatrzymały się oddechy, zegary, czas. Ojciec przemawiał. – Jesteś zbyt delikatny. Od dzisiaj chodzisz razem ze mną na spacer.

Tego dnia, a była to sobota, połączył nas wspólny rytuał. Codzienny spacer był dla ojca świętością. Świątek – piątek, pogoda czy deszcz, wychodził na spacer, zawsze w tych samych butach i z parasolem. Odtąd chadzaliśmy razem. Opuszczaliśmy dom i udawaliśmy się niespiesznie, zawsze tą samą trasą, do padewskiego Ogrodu Botanicznego. Ojciec nie odzywał się do mnie ani słowem. Sądziłem, że kontempluje uroki przyrody, ale gdy przyjrzałem mu się uważnie, dostrzegłem znów ten niewidzący wzrok. Nie rozumiałem, dlaczego z takim uporem chadzał w to miejsce.

To właśnie tam po raz drugi w życiu zobaczyłem nimfę. Odwróciła głowę i spojrzała na mnie przez ramię, a potem z gracją zsunęła się z cokołu i popłynęła po ścieżce wdzięcznym krokiem, sunąc niemal w powietrzu. W jednej chwili wróciły wspomnienia sprzed siedmiu lat, kiedy mała dziewczęca figurka tańczyła ukradkiem w ciemnym ogrodzie, pewna, że nikt jej nie widzi i dlatego taka śmiała. Ta tutaj wiedziała, że na nią patrzę i teraz istniała tylko dla mnie. Tańczyła, biegła ścieżką, co chwila robiąc piruet i patrząc, czy za nią podążam. Pełne ramiona lśniły bielą w słońcu, upięte na karku włosy rozsypywały się w takt jej kroków, a bosa stopy wzbijały kurz z ogrodowej ścieżki. Biegłem za nią jak nieprzytomny, bo wiedziałem, że mam za nią biec. A potem ona wskoczyła do fontanny i zniknęła pod wodą. Zawyłem, rzuciłem się za nią. Uderzenie głową o kamienną misę na moment odebrało mi świadomość. Pamiętam tylko, że woda zalała mnie całego; nagle ciemność ustąpiła i już byłem na brzegu, ktoś wynosił mnie na rękach.

Leżałem na trawie, nade mną pochylało się niebo. Nagle pojawiły się dwie twarze – nieznanego młodego mężczyzny i ojca. Twarz tego ostatniego, wykrzywiona od furii, przysłoniła cały nieboskłon. Zaciśnąłem powieki i przez chwilę pozwoliłem myślom wirować. Gdy otworzę oczy, znów napotkam gniew ojca, a ja chciałem jak najdłużej zachować pod powiekami obraz mojej nimfy.

– Jak śmiałeś... Publicznie, jak szaleniec, wariat...

– Niechże pan da chłopcu spokój. Rozciął sobie czoło...

Po raz pierwszy widziałem wtedy ojca w pasji. Nie wybuchnął, był w końcu niewzruszonym Alessiem Faddą. Ale moje zachowanie tak nim wtedy wstrząsnęło, że stracił swój spokój i opanowanie; poderwał mnie na nogi i wyciągnął z parku, mimo że kilka osób głośno protestowało. Włókł mnie do domu jak szmacianą kukielkę, dociągnął do gabinetu, rzucił na fotel i stanął nade mną niczym Bóg.

– A teraz – w jego dłoniach pojawił się skórzany pasek – powiesz mi, co miało oznaczać twoje zachowanie.

Na początku nic nie mówiłem. Potem tylko zaciskałem zęby, chcąc za wszelką cenę zachować dla siebie ową tajemnicę i magię. Ale byłem tylko chłopcem i w końcu się zламаłem. Wtedy ręka ojca opadła, a on odsunął się, zgarbił, zmałał, wtopił się w tło. Tamten dzień zapisał mi się w pamięci jako dzień, w którym Alessio Fadda przestał być Bogiem. Stał się małym człowieczkiem z wielkimi ambicjami i wstrętem wobec własnego syna. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co ohydne jest w pełnych ramionach i bosych, drobnych stopach – ja tylko podziwiałem piękno, dzikość i wdzięk. I nadal tego nie rozumiem, choć wiem już, dlaczego budziło to w ojcu takie obrzydzenie.

3.

Alessandra była piękna.

A to, dlaczego pewnego popołudnia została zaproszona na obiad wraz z rodzicami, było dla mnie oczywiste.

Ale była piękna, tego nie mogłem jej odmówić. Po prostu...

Cóż.

Nie mogła wyróżniać się spośród innych dobrze wychowanych panien z dobrej rodziny. Takich kobiet znałem wiele – mijałem je na ulicach, przesuwalem po nich wzrokiem, szedłem dalej. Blondynki, brunetki, rudowłose, młodziutki i dojrzałe. I wszystkie równie

płaskie, jakby wycięte z papieru, wtapiające się w tło, z wiecznie uprzejmymi uśmiechami. Brak konturów, wyrazistości.

Taka też wydawała się być Alessandra. Przywitaliśmy się uprzejmie i potoczyła się grzeczna, towarzyska konwersacja. Na prośbę matki dziewczyna usiadła do fortepianu i w salonie rozbrzmiała cicha, piękna muzyka. Słuchałem z przyjemnością, choć bez oczarowania, bo czułem, że Alessandra gra perfekcyjnie, ale nie wkłada w to, co robi, całej duszy. Przyglądałem się jej starannie ułożonym blond włosom, jasnej cerze, smukłym dłoniom i zastanawiałem się, jaką będzie żoną. Wiedziałem, że ojciec podjął decyzję i nie będzie zwlekał z jej oznajmieniem. Nie zapyta, co o niej sądzę. Wybrał mi narzeczoną – córkę innego profesora – i może okaże łaskę, pozwalając nam się lepiej poznać, zanim poinformuje mnie o dacie ślubu. Wzdrygnąłem się, czując chłód.

Alessandra skończyła grać i zajęła miejsce tuż obok mnie. Wszystko według reguł – teraz młodym wypadałoby się poznać.

Zapytała mnie, jak podobają mi się studia prawnicze. Odparłem, że choć ciężkie, dają mi satysfakcję. Co miałem powiedzieć? Prawdę? Że to ojciec wybrał kierunek, a ja zgodziłem się dla świętego spokoju? Wygłosiłem gładkie kłamstwo i nagle dostrzegłem w oczach Alessandry coś na kształt rozbawienia. Trwało to ułamek sekundy, zamrugnęła, a po chwili jej oczy znowu były uprzejme. Po raz pierwszy tego wieczoru poczułem się zaintrygowany. Dałbym głowę, że mnie przejrzała.

– Czym zajmuje się pan w wolnych chwilach? – zapytała.

– Nie mam wiele wolnego czasu – odparłem. – Ale lubię przyrodę i sztukę. Trochę też maluję.

Nie spodziewałem się, do jakiej katastrofy doprowadzi niewinne pytanie Alessandry i moja odpowiedź. Gdy po raz pierwszy, lata temu, ojciec przyłapał mnie w ogrodzie ze szkicownikiem, spodziewałem się ostrej reprimendy, ale, o dziwo, nie usłyszałem nawet jednego słowa. Ojciec przyjrzał mi się uważnie, po czym odszedł bez słowa. Szkicowałem już coraz śmieiej, świadom, że Alessio Fadda milcząco zaakceptował moją pasję. Byłem samoukiem. Z czasem ręka stawała się coraz bardziej pewna, linie śmielsze, a ja wkroczyłem w świat farb i przestałem tylko odwzorowywać rzeczywistość. Gdy poszedłem na studia, odważyłem się spytać, czy mógłbym przerobić część strychu na amatorską pracownię. Ojciec skinął głową. Nigdy nie zainteresował się, nad czym pracuję; nigdy nie przyszedł, aby oglądać to, co stworzyłem. Nie znał też powodu, dla którego malowałem z taką pasją i sercem.

– Wiem – powiedziała Alessandra. – Widziałam pana kilka razy w Ogrodzie Botanicznym, często chadzamy tam z mamą na spacer. Pan zawsze siedzi tam ze szkicownikiem, taki zamyślony i zatopiony w swoim świecie.

Odruchowo spojrzałem na ojca i na wyraz jego twarzy. Wiedział. W mgnieniu oka pojął, dlaczego chadzałem ze szkicownikiem do Ogrodu Botanicznego, choć nigdy mu o tym nie powiedziałem. Od tamtego pamiętnego dnia nauczyłem się bowiem udawania, że nie ma żadnych nimf, nie było i nie będzie. A widywałem je często, czasem tylko w formie filuternego przechylenia głowy, ale widywałem. W Ogrodzie Botanicznym, na cokołach, nawet przy *Il Santo*. Teraz zdradziłem się przed ojcem. Żaden z nas nie dał po sobie niczego poznać, ale gdy goście wyszli, chwycił mnie za ramię. Miał zdumiewająco silny uścisk.

– Chodź do mojego gabinetu.

Do głowy mi nie przyszło się sprzeciwić. Poszedłem i posłusznie usiadłem po drugiej stronie biurka. Ojciec długo milczał. Gdy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał autorytarnie.

– Ożenisz się z Alessandrą.

Wlepiłem wzrok w blat biurka.

– Nie.

I nagle stało się to takie łatwe. Jedno proste „nie”, którego wystarczyło się trzymać. Pierwsze „nie”, które powiedziałem ojcu.

– Nie pytam cię o zdanie. – Dłoń ojca uderzyła mnie lekko w policzek, zmuszając do podniesienia wzroku. – I nie będę wyjaśniał powodów tej decyzji. Alessandra jest dla ciebie odpowiednia. To świetna partia.

– Nie dla mnie.

– A to dlaczego?

Nie odpowiedziałem. Bo jak to mogłem wyjaśnić ojcu? Co powiedzieć? Że to taka kobieta, o której nigdy nie śnisz. Nie dręczy cię w snach. Nie zwiduje się, nie sprawia, że płoniesz i pogrążasz się w uniesieniu niemal na granicy bólu.

– I właśnie dlatego poślubisz Alessandrę – powiedział ojciec.

Drgnąłem. Czy powiedziałem to na głos?

– Nie – zachrypiął ojciec, a ja poczułem, jakby sięgał w głąb mej głowy. I nagle, przez krótką chwilę, znów poczułem się jak dziecko, dla którego Alessio Fadda był Bogiem, wedle praw którego funkcjonuje cały dom, a więc i świat.

Wtedy zrozumiałem, że nie pozostaje mi nic innego jak ucieczka. Inaczej stanę się częścią jego boskiego planu.

4.

Giovanna była piękna.

Wtargnęła w moje życie z rozwianymi włosami, zupełnie niespodziewanie. Któregoś dnia przyszła do pracowni razem z Pasqualem, moim kolegą po fachu. Zanim odłożyłem pędzel, wytarłem ręce i wstałem, aby się przywitać, ona zdążyła już zapalić papierosa, obejrzeć wiszące na ścianach obrazy, poklepać mnie poufale po ramieniu i stwierdzić:

– Cienko przedziesz, co?

Rzuciłem koledze zirytowane spojrzenie. Ten wzruszył ramionami w geście „a spróbuj ją powstrzymać”.

– Skąd to przypuszczenie? – prychnąłem.

– Bo mam oczy i widzę – odparła, niezrażona moim tonem. – No i byłam kochanką kolekcjonera sztuki. Taki miły staruszek. Co nieco mnie nauczył. Ładne to, poprawnie namalowane, dobra perspektywa. Ale wieje nudą. To się nie sprzedaje.

Wskazała palcem obraz, nad którym właśnie pracowałem.

– Na takie coś miałbyś niezły popyt.

Zjeżyłem się.

– To nie jest na sprzedaż.

– Vanna, *zitta* – burknął Pasquale. O dziwo, usłuchała go i natychmiast zmieniła temat. Pasquale wyciągnął butelkę wina, usiedliśmy przy stole, rozlaliśmy. I choć Giovanna mało się odzywała, coraz bardziej przykuwała moje spojrzenie. Była jak rajski ptak, z burzą czarnych włosów i nienaturalnie czerwonymi ustami. Przysiadła od niechcienia na taborecie, ale jej wzrok co chwila wracał do niedokończonego jeszcze obrazu.

– Gdzieś ty ją poznał? – spytałem półgłosem, gdy dziewczyna wstała i powędrowała wzdłuż ściany.

– Chyba w otchłani głupoty. – Przewrócił oczami Pasquale. – Była moją modelką. Jej kolekcjoner zmarł, potrzebowała pieniędzy, więc wróciła do pozowania. Skończyłem obraz, zapłaciłem jej, a następnego dnia znalazłem ją niezłe zadomowioną u siebie. I tak już została.

– Żyjecie razem? – Poczulem dziwne ukłucie.

– Dopóki mnie nie wykończy. Ładna, zabawna, ale piekielnica. Chcesz, to mogę ci ją odstąpić.

Giovanna wróciła do stołu.

– Wiesz co? – stwierdziła. – Obejrzałam sobie jeszcze raz twoje obrazy. Prawie wszystkie to nudne malowanki dla grzecznych niewiast albo do pokoju dziecinnego. Tylko ten niedokończony ma w sobie coś. Malujesz go dla siebie?

Skinąłem głową.

– Poryw serca. To widać – mruknęła, dolewając sobie wina. – Tęsknota za czymś nierealnym. Nie dziwię się, że nie chcesz go sprzedać. Ale jak nie zaczniesz sprzedawać, przestanie cię być stać na malowanie swoich tęsknot.

– Doprawdy? – zirytowałem się. Giovanna właśnie wypowiedziała na głos moje największe obawy.

– Doprawdy – przedrzeźniła mnie.

– To może niech wielka znawczyni mi powie – wlepiłem w nią wzrok – jak powinienem zacząć sprzedawać?

Pociągnęła łyk wina i otarła usta. Ich czerwień nie była mazidłem.

– Wielka znawczyni powie ci, jak sprzedawać, ale przede wszystkim, jak malować – odparła. – Maluj obrazy dla burdeli.

5.

Trzy dni później wprowadziła się, tak bez słowa. Wróciłem do siebie, a ona już tam była, rozpakowana i tak swobodna, jakby znajdowała się we własnym domu. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę – ja w osłupieniu, ona z uśmiechem – i nie wyrzuciłem jej. Po prostu zdjąłem płaszcz, poszedłem do pracowni i zająłem się obrazem. Z dala dochodziły odgłosy domowej krzątania, potem zapach jedzenia, a następnie w drzwiach ukazała się Giovanna i oświadczyła, że właśnie zrobiła obiad.

Po raz pierwszy od paru lat zjadłem ciepły, domowy posiłek. Przemknęło mi przez głowę, że w domu chyba nie było niczego do zjedzenia, ale nie pytałem o takie szczegóły. Gdy w parę dni później zobaczyłem Giovannę, wracającą z zakupów z koszem przewieszonym przez ramię, zrobiło mi się wstyd. To za jej pieniądze codziennie na stole stał ciepły obiad. Nagle zacząłem dostrzegać, że wszędzie jest czysto, a ubrania są świeże i pachną czystością. Ona zaś nie wspomniała o tym ani słowa.

To wtedy zacząłem malować obrazy dla burdeli.

Na żadnym z nich nie pojawiła się nimfa. One były przeznaczone wyłącznie dla moich oczu. Ale gdy uruchomiłem wyobraźnię i pozbyłem się wstydu, okazało się, że wyuzdane lubieżnice są tym, co udaje mi się sprzedać. To Giovanna przyprowadzała do pracowni

klientów – właściciele przybytków rozkoszy – i to od nich inkasowałem gotówkę. Nigdy nie zapytałem, skąd te znajomości. Po co było pytać, skoro to oczywiste? Taka dziewczyna jak ona musiała mieć bujną przeszłość.

Nie przeszkadzała mi ona. Giovanna była... wyjątkowa.

Na swój sposób miała w sobie coś z nimfy. Nie mogła się z nią równać – nie było w niej tej niewinności – ale dzikość, nieokiełznanie, wdzięk i umiłowanie życia... O, tego miała aż w nadmiarze!

Stanowiliśmy, jak to mawiali znajomi, piękną parę. Wysoki, smukły blondyn i zaokrąglona brunetka. Zawdzięczam jej tak wiele. To dzięki jej inicjatywie zacząłem wreszcie zarabiać. I to jej, jako drugiej osobie w życiu, powiedziałem o nimfach. Fakt, że byłem wtedy nieźle pijany, ale powiedziałem. Spodziewałem się kobiecej awantury i rzucania przedmiotami, ale, o dziwo, Giovanna przyjęła to spokojnie. Przyznała, że nie szuka kochanka, bo tych miała w życiu aż za wielu, odpowiada jej więc obecny stan rzeczy. Bo wbrew pozorom, nie żyliśmy ze sobą. Giovanna nie była nimfą.

Przyjaciółką, owszem, ale nie nimfą.

Raz szliśmy ulicą, gdy natknęliśmy się na mojego ojca. Minęliśmy go obojętnie – Giovanna dlatego, że go nie знаła, ja zaś, gdyż zaskoczenie odebrało mi możliwość jakiegokolwiek reakcji. Ojciec szedł bowiem pod rękę z jakąś kobietą w średnim wieku. Nie dał najmniejszego znaku, że mnie poznaje. Nie zwrócił na mnie uwagi nawet wtedy, gdy przeszliśmy tuż obok niego. Ta kobieta, z którą spacerował tak jawnie... On, ostoja moralności i przyzwoitości? Poczulem obrzydzenie i wtedy właśnie coś we mnie pękło, coś skończyło się bezpowrotnie. Powinienem się cieszyć, że Alessio Fadda stał się obcym człowiekiem, bo to oznaczało definitywne odcięcie się od rodziny i przeszłości. Powinienem. A choć ganiłem się za te myśli, coś mi mówiło, że to spotkanie jest złym omenem.

W kilka godzin później, gdy siedzieliśmy z Giovanną przy kolacji, ta wyznała zupełnie niespodziewanie:

– Chyba zaczynam się w tobie zakochiwać.

Nie protestowałem, gdy usiadła mi na kolanach. Bo w sumie czemu nie? Może czas zmienić dotychczasowe zasady? W końcu miała w sobie sporo z nimfy, chociaż nie była tak doskonała; była tylko człowiekiem.

Gdybym mógł przewidzieć...

6.

– Od tygodnia się do mnie nie odzywasz! – Rozwścieczona Giovanna wtargnęła do pracowni i stanęła w smudze słonecznego światła. Ale nawet światło nie było w stanie złagodzić jej wykrzywionych gniewem rysów.

Tępo gapilem się w płótno, starając się nie odpowiedzieć wrzaskiem. Idź stąd, *via*, myślałem, koncentrując się usilnie na postaci w białym gieźle, wirującej w takt niesłyszalnej muzyki na trawie.

– Paolo znów dziś pytał, co z obiecany obrazem! – krzyczała coraz głośniejsze. – Pyta mnie o to od dwóch tygodni, a co ja mam odpowiedzieć? Że ci się odechciało? Jak nie namalujesz mu dziwki jak należy, nie zapłaci!

– Namaluję. Namaluję, *porca troia*, ale nie teraz, rozumiesz?! – Zerwałem się z taboretu i zacząłem krążyć po pracowni. – Vanna, do diabła, muszę zrobić sobie przerwę od tych burdelowych obrazków!

– Znowu nimfy, tak? – syknęła. – Wiesz co? Maluj je dla siebie, w wolnej chwili, ale na Boga, skończ najpierw ten obrazek dla Paola!

– Nie mogę! – wrzasnąłem. – Spójrz! Spójrz na to! To jest nic, kompletne zero! Nie mogę ich już malować! Ta tutaj nie ma duszy, jest niczym więcej jak posągiem! Straciłem je! – Opadłem na taboret.

Giovanna podeszła do mnie i delikatnie dotknęła mego ramienia. Złość jakby nagle z niej wyparowała. Teraz przemawiała do mnie cicho i łagodnie, jak do małego dziecka.

– Może tak właśnie miało być.

Zamrugalem.

– Co masz na myśli?

– Może te twoje fantazje, nimfy, jak je nazywasz, wreszcie odeszły? Stefano, to były twoje wyobrażenia i marzenia. Nic więcej. Teraz jesteśmy razem. Może to czas, aby pożegnać się ze światem ułudy?

Nie, to niemożliwe. One nie mogą odejść. Nigdy! Dotyk Giovanny wydał mi się nagle nadzwyczaj wstrętny; odepchnąłem ją, chwyciłem płaszcz i wybiegłem, nie zważając na przechodniów, nie patrząc, dokąd idę. Nimfy nie odeszły, nie pozwolę na to! To nie żadne ułudy! Biegłem coraz szybciej, gnany strachem; nogi zanosły mnie wprost do Ogrodu Botanicznego. To tam przychodziło ich najwięcej. To tam szukałem inspiracji i ukojenia. Gdy przyjdę, znowu się pojawią.

Chodziłem po ogrodzie jak błędny, nie zważając na to, że mijający mnie ludzie patrzyli na mnie dziwnym wzrokiem. Siadywałem na ławeczkach, zrywałem się i znowu chodziłem dokoła. Bardzo powoli docierało do mnie poczucie klęski.

Nie przyszły.

Nie pojawiła się ani jedna.

I nagle zrozumiałem, że odeszły dokładnie w tym samym czasie, w którym zacząłem żyć z Giovanną.

Odeszły przez nią. Uznały, że nie są mi już więcej potrzebne. A przecież to dzięki nim żyłem, to one napełniały mnie radością, one, nie Giovanna. To przez nią nigdy więcej ich nie zobaczę. Zostanę sam, z byłą dziwką u boku, pozbawiony prawdziwego piękna.

Plakałem wtedy i wcale się tego nie wstydzę. Bo jak można nie płakać za kims, kogo się bezpowrotnie utraciło?

Gdy wróciłem, było już ciemno. Mając nadzieję, że nie natknę się na Giovannę, skierowałem się ku pracowni. Zanim jeszcze otworzyłem drzwi, dobiegły mnie jakieś hałasy i już wiedziałem, że dzieje się coś złego. Wpadłem do środka, a na widok tego, co ujrzałem, niemal zatrzymało mi się serce. Wszystkie moje piękne obrazy zostały zerwane ze ścian, rzucone na środek i zniszczone. Po cudownych nimfach spływały wielorakie kolory farb; ramy zostały połamane, płótna pocięte. Giovanna uniosła głowę. W dłoni trzymała nóż, którym dokonała dzieła zniszczenia. Na mój widok uśmiechnęła się.

– Koniec z twoimi nimfami – rzuciła zadyszana. Oczy jej płonęły; w uniesieniu była przepiękna. – Dość marzeń na jawie. Zniszczyłam wszystkie, wszystkie, nie będzie więcej malowania wymyślonych przez ciebie wyobrażeń! – Wyprostowała się i cisnęła nóż na ziemię. – Masz mnie, do diabła. Mnie! To ja mogę być twoją muzą!

– Ty?! – Ogarnęła mnie furia. – Muzą?! Miałbym malować *ciebie*?! – Zdradziła mnie! Ta dziwka mnie zdradziła! Dzieła mojego życia, moje skarby, pocięte, zniszczone! Odebrała mi je! Odebrała! Chce zająć ich miejsce?! Nie! Nigdy!!! Nikt tego nie robi, one wrócą, muszą wrócić! Myślałem, a może krzychałem to na głos, chwytając Giovannę za szyję. Gdy osunęła się bez życia, znalazłem świeże płótno, resztki farb i pędzel. Malowałem jak oszalały, ale nie! To wciąż nie było to! Wciąż nie było duszy! Zarysy nimfy na obrazie były zarysami posągu! Nadal mi nie wybaczyły! Wybiegłem z pracowni jak oszalały i zacząłem je wzywać. Nie ma już Giovanny, nigdy jej nie będzie, to był błąd, wybaczone mi!

I wybaczyły! Wynurzyły się z mroku Prato della Valle, nie jedna, ale kilka; ich posągowe ciała rozświetlały noc. Tańczyły boso, wyciągając do mnie ramiona. Chodź, chodź, zdawały się mówić. Więc biegłem za nimi, a one uskakiwały w bok, drażniąc się ze mną na

swój radosny sposób. Ileż było w nich gracji! Ile niewinności! Tańczyły aż do tej szarej pory, gdy noc przechodzi w dzień, a ja razem z nimi. Pierzchły dopiero, gdy wykręcono mi ręce i brutalnie rzucono na ziemię. Wyłem jak zwierzę i walczyłem z napastnikami, patrząc z rozpaczą, jak nimfy znikają, jedna za drugą, za kolumnami i w wąskich uliczkach. Świtało. Postawiono mnie na nogi silnym szarpnięciem.

7.

Żal za utraconym szczęściem był tak ogromny, że doprowadził mnie na skraj obłądu. Proces pamiętam jak przez mgłę; głosy i niewyraźne twarze. Słyszałem także ojca, który przemawiał z niezachwianą pewnością siebie. Opowiadał o nimfach w sposób, za który powinienem go cisnąć na ziemię i zdeptać, ale do tego czasu zdążyłem już zobojętnieć z rozpacz. Gniew przyszedł później, gdy zatrasnęła się za mną ciężka brama, a ja sam utkwilem w murach na wiele lat. To wtedy odzyskałem sprawność umysłu. Zrozumiałem, że aby się stąd wydostać, muszę udawać. Ojciec swoimi zeznaniami wtrącił mnie do zakładu dla obłąkanych. Nie mogłem nikogo przekonać, że nimfy istnieją naprawdę. Pozostawało więc udawać, że z czasem zrozumiałem, iż niczego takiego nie było.

Może kiedyś mnie wypuszczą. Gdy ich przekonam, że nie jestem obłąkany... Czyba nie będą mnie tu trzymać wiecznie?

Tym razem nie zdradzę moich wiernych towarzyszek, jak to było z Giovanną. Poczuły się wtedy odtrącone i odeszły. Ale rozumieją, że zaprzeczam ich istnieniu tylko po to, aby móc się z nimi znowu kiedyś połączyć, na wolności. I rozumiały. Nie opuściły mnie przez lata, przenikając przez mury i tańcząc przede mną, utkane z promieni księżycy i słońca. Tylko one trzymały mnie przy życiu. To dzięki nim przetrwałem poza światem, pozornie spokojny, choć emocje we mnie kipiały.

Początkowo liczyłem dni, które układały się w miesiące, a te w lata. Po ośmiu latach przestałem wreszcie liczyć. To wtedy zaczęła mnie ogarniać przerażająca myśl, która przerodziła się w przekonanie, że tak naprawdę cały czas się łudziłem.

Nigdy mnie stąd nie wypuszczą.

8.

Obudziłem się w środku nocy z uczuciem, że ktoś stoi obok i mi się przygląda. W ciemnościach nie rozpoznałem twarzy. Posadzono mnie jednym szarpnięciem; nim

zaprotestowałem, odchyłono mi głowę w tył, a do ust przytknięto kubek. Coś ziołowego i mocnego spłynęło mi prosto do gardła.

– Pij, oblakańcu – usłyszałem. Głos strażnika. – To twoja przepustka do wolności.

Chyba na tamten świat, pomyślałem i ogarnął mnie strach. Próbowiałem walczyć, ale miałem wtedy tyle siły co kurczak. A strażnicy wiedzieli, jak złamać opornego pacjenta. Powoli ogarniała mnie senność. W uszach dźwięczało wycie szaleńca, który obudził się i wciśnięty w kąt, krzyczał ze strachu. Odpływałem. A potem uniosłem się w górę. Co chwila to traciłem świadomość, to ją odzyskiwałem. Korytarze, schody, po których mnie niesiono. Czy tak wygląda śmierć? Coś chłodnego musnęło mnie po twarzy. Otworzyłem oczy; patrzyłem prosto na księżyc.

A potem ciemność. I kołysanie. Góra-dół, góra-dół. Falowało, tak kojąco, tak ciepło. Żle. Bolało, oczy, tam w środku, oczy skaczą góra-dół, wraz ze światem. Ściany wokół były, ale inne, nie takie. Oczy, zamykam, otwieram. Widzę wreszcie, co się dzieje. Najpierw ciemno, potem plamy i kontury. Światło, za ostre. Niedobrze mi. Patrzą na mnie oczy. Wszechwładny ojciec, tak groźny i surowy. Coś do mnie mówi.

Zamykam oczy, zamykam uszy.

Odpływam.

I znów wyraźniej, teraz pachnie. Czymś. Znam to, ale co to... Nie umiem sobie przypomnieć, nie umiem mówić. Język zupełnie sztywny. Teraz już mniej niedobrze, ale nadal boli. Bili mnie po głowie. Tak samo boli. Ojciec jest obok. Patrzy na mnie. Chcę coś powiedzieć, a nadal nie mogę. On coś mówi.

Jest taki wyraźny. Tu jest ciemno. Ubrany na czarno, stary, bardzo stary. Pokazuje palcem na usta. Więc patrzę.

– Wol... ność.

Słyszę. Wol. Wol. Co to jest? Wolność. Myślę, myślę. To nie mury, jestem... gdzie?

Spać. Tu jest ciepło.

Znów się budzę. Nadal boli mnie głowa i żołądek, ale teraz widzę wyraźnie. Panuje półmrok; z lewej strony, przez zasłonkę, bije światło. Wreszcie jestem w stanie logicznie myśleć. Usta mam suche, z trudem przetykam ślinę. To kołysanie i huśtanie się... jadę. Jestem w powozie. A ojciec...

Odwracam głowę.

Siedział po mojej prawej stronie, w czarnym płaszczu podróżnym. Od razu dostrzegłem, jak bardzo się postarzał. Był zupełnie siwy, a jego skóra pomarszczona jak suszona śliwka. Starzec. Gapiłem się na niego jak oniemiały, pojmując, że skoro ojciec tak się

postarzał, minęło bardzo wiele lat, a zatem i ja... Odruchowo uniosłem dłonie i dotknąłem własnej twarzy. Pod palcami wyczułem skłębioną, brudną brodę.

– Żadnego z nas nie oszczędził czas – stwierdził ojciec. – W twoim przypadku to nic dziwnego. Osiemnaście lat za murami...

Dopiero po dłuższej chwili dotarł do mnie sens tych słów.

– Ile...? – wyszeptałem.

– Zbyt długo. – Ojciec machnął ręką, jak zwykle, gdy ucinał nieistotną dla niego rozmowę. Zawsze zajęty czymś ważnym Alessio Fadda nie zwykł marnować czasu na głupstwa. – Ale już po wszystkim.

Chciałem zadać tyle pytań; cholerny język plątał mi się w gardle.

– Na pytania przyjdzie czas – stwierdził sucho ojciec. – Na miejscu dojdiesz do siebie, odzyszesz i znów staniesz się człowiekiem.

„Dokąd jedziemy?“, chciałem zapytać, ale język znów odmówił mi posłuszeństwa. Kołysanie powozu uspokajało; powieki zaczęły opadać i pogrążyłem się we śnie. Nie wiem, jak długo spałem, ale gdy ojciec mnie obudził, była już noc. Zrozumiałem, że dotarliśmy na miejsce, gdziekolwiek by ono nie było. Drzwi powozu się otworzyły; jakiś postawny mężczyzna chwycił mnie na rękę i nim zdążyłem zaprotestować, wyniósł mnie na zewnątrz. Nie miałem siły walczyć. Pozwoliłem się więc nieść. Na niebie migotały gwiazdy, ciepły wiatr owiewał twarz, a przede mną wyrósł nagle ciemny kontur budynku.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, ale byłem śmiertelnie zmęczony. To nie mógł być kolejny zakład. Ojciec wyciągnął mnie z jednego więzienia nie po to, aby wtrącić do kolejnego. Coś szumiało – wiatr w drzewach, rzeka? – a ja poczułem nagle, że jestem wreszcie bezpieczny. Z tą świadomością pozwoliłem się położyć na miękkim łóżku i zapadłem w sen, nie obiecując sobie niczego.

9.

Niewiele pamiętam z pierwszych dni po przyjeździe. Urywki rzeczywistości przeplatane koszmarami, które budziły mnie ze snu, i dziki krzyk. Mój krzyk. Ciemno, światło, strach. I ściany, które napierały.

Antonio.

Wierny sługa i zarządca. To on pomógł mi zdjąć brudne ubranie, które wżarło mi się w ciało i zaordynował kąpiel. To on starannie mnie ogolił i ostrzygł. I to on przytrzymał mi głowę nad miską, gdy po kilku łykach cienkiej, rozwodnionej zupy zwróciłem wszystko.

– Żołądek się odzwyczaił, proszę pana – powiedział spokojnie. – Bywa. Ale odżywimy pana jak należy.

A potem spojrzałem przez okno, dostrzegłem tańczące w powietrzu liście. Myśli płynęły wolno, spytałem o coś, Antonio odpowiedział. Październik. Siedziałem w fotelu, przykryty kocem. Październik. Powoli pojmowałem, co się wydarzyło. Wracałem do życia, zniszczony, wychudły, mieszkając w murach, które nie dawały ciepła mimo ognia zawsze palącego się w kominku. Dniem i nocą.

Gdy poprosiłem o lustro, dostrzegłem wahanie w oczach Antonia. Domyślałem się powodu i tym usilniej nalegałem, aby je przyniósł. Wreszcie ustąpił. Spodziewałem się, że ujrzę w lustrze wrak człowieka, ale tego, co zobaczyłem, nie byłem sobie w stanie wyobrazić w najgorszych koszmarach. Byłem chodzącym trupem, szkieletem z całkowicie siwymi włosami, zapadniętymi oczami i brudem wżartym w skórę, którego nie była w stanie pozbyć się nawet kąpiel. Gdy rozchyliłem wargi, dostrzegłem, że prawie nie mam zębów; te, które mi pozostały, były szerniałymi pieńkami.

Zdjęło mnie takie obrzydzenie, że rzygałem żółcią, bo już nie miałem czym.

Wyglądałem starzej od własnego ojca.

Ale Antonio nie odpuszczał. Karmił mnie, pielęgnował, pomagał w stawianiu pierwszych kroków. Spacer po pokoju. Wyjście na taras. Każdego dnia o jeden krok dalej. Gdzieś w połowie listopada po raz pierwszy udało nam się dojść do bramy posiadłości. A ja, patrząc na rozciągające się za nią pola, zrozumiałem – po raz pierwszy od wielu lat – że kiedyś stąd wyjdę. Na razie jestem więźniem. Słabym i bezbronnym. Ojciec, ten wszechwładny, czaił się gdzieś w cieniu. Antonio mówił, że przyjedzie na Boże Narodzenie. Ale to było mi obojętne. Wiedziałem, że pewnego dnia muszę się stąd wydostać.

Z kolejnego więzienia.

One dawały mi nadzieję. Me bladolice przyjaciółki, które każdej nocy płały dla mnie tuż pod moim oknem.

10.

Ojciec przyjechał osiemnastego grudnia, gdy wszyscy byli w trakcie świątecznych przygotowań. Nie usłyszałem, gdy wszedł, a jednak podniosłem głowę. Stał w drzwiach. Bezwiednie odłożyłem książkę i również wstałem. Zapanowała ciężka, niezręczna cisza.

– Nie zamierzasz mnie zaprosić do środka? – W głosie ojca pobrzmiwała lekka drwina. – W końcu wyciągnąłem cię z zakładu.

Zacisnąłem dłonie w pięści.

– Do którego mnie wpackowałeś swoimi zeznaniami.

– Do którego cię wpackowałem, abyś uniknął więzienia, z którego byłoby cię znacznie trudniej wyciągnąć.

Ponieważ nie odpowiedziałem, odezwał się zniecierpliwiony.

– Nawet nie myśl, że udałoby ci się uniknąć kary za morderstwo. Swoją drogą, czy myślisz kiedykolwiek o kobiecie, którą zabiłeś? Czy też cały czas w głowie siedzą ci twoje upiorne nimfy? A zresztą nie odpowiadaj. Bądź tak uprzejmy i podprowadź mnie na sofę. Po podróży przyda mi się odpoczynek.

Usłuchałem chyba tylko dlatego, że w głosie ojca nie dźwięczał rozkaz. To była prośba. Zdziwiła mnie ona, gdyż ojciec nie wyglądał na niedołęznego, ale gdy chwyciłem go pod ramię, zwrócił ku mnie twarz i wtedy dopiero zorientowałem się, że jest niewidomy. Jego oczy były wyblakłe i puste.

– No właśnie – powiedział ojciec spokojnie. – Mógłbym wreszcie usiąść? Jesteś aż tak zdziwiony?

Podprowadziłem go do sofy. Długo zbierałem myśli, zanim odpowiedziałem.

– A więc wtedy, gdy minąłeś mnie na ulicy... kiedy szliśmy razem z Giovanną...

– Minęliśmy się? Kiedy? Och, tak, wtedy już rzeczywiście mogłem cię minąć na ulicy i nie zobaczyć.

– Ja myślałem, że...

– Że cię zignorowałem, ponieważ szedłeś z kochanką? I obrzuciłbym ją wyzwiskami? To źle myślałeś. – Ojciec rozsiadł się wygodniej. – Wręcz cieszyłbym się, gdybym mógł ją poznać.

– Nie, myślałem, że ta kobieta, z którą wtedy szedłeś pod ramię, to twoja... – urwałem. – Zaraz, jak to, cieszyłbyś się, gdybyś mógł poznać...

– Przestań powtarzać moje słowa – ofuknął mnie ojciec. – To właśnie powiedziałem. I choć cię teraz nie widzę, domyślam się, że siedzisz z głupią miną i niczego nie rozumiesz. – Westchnął. – Mój błąd. Mój wielki błąd, że cię wcześniej nie powstrzymałem.

Jego głos stał się nagle ostry.

– Czy nadal widzisz nimfy? – spytał.

– Oczywiście, że nie – odparłem urażonym tonem. – To były urojenia, które już dawno minęły. Wreszcie jestem zdrowy i wolny.

To wtedy po raz pierwszy usłyszałem śmiech Alessia Faddy. Nie był to przyjemny śmiech, o nie, nie brzmiał w nim również triumf. To była gorycz.

– Nie jesteś wolny – wychrypiał ojciec. – I nigdy nie będziesz. Źle się stało. Bardzo źle. Jesteś taki jak wielu z nas... nich. – Nagle jego głos stał się napięty i suchy. – Te nimfy to przekleństwo. Skaza, która dotyka wielu mężczyzn z naszego rodu. Nie zadawaj pytań! Sprawdziłem to... Początki tej klątwy datują się na czternasty wiek. Ale wiem, jak z tym walczyć. Twój pradziadek pozostawił po sobie dziennik. Opisał wszystko szczegółowo. Ta Giovanna... była twoją szansą.

Wzdrygnąłem się.

– Te widziadła dają ci złudzenie, że bez nich twoje życie stanie się puste. – Ojciec mówił szybko, z przejęciem. – Obserwowałem cię przez lata. Pozwalałem malować, bo dzięki temu wiedziałem, że cały czas nosisz w sobie skazę. Tak, widziałem wszystkie twoje rysunki. Starannie je chowałeś, ale czy naprawdę sądziłeś, że przechytrzysz ojca?

Upokorzenie. A więc nie udało mi się zachować przed nim żadnych sekretów. On całe życie czytał we mnie jak w otwartej księdze.

– I właśnie dlatego chciałem, abyś ożenił się z Alessandrą – powiedział krótko ojciec. – Człowiek opętany nimfami nie jest w stanie pożądać zwykłej kobiety. Żadna, choćby najpiękniejsza, nie może się równać z tymi marami. Ale może się zakochać. Może po prostu pokochać zwykłą kobietę, a wtedy moc przekleństwa słabnie. Ty zakochałeś się w Giovannie.

Westchnął.

– Gdybym o tym wiedział, przyjąłbym ją z wszelkimi honorami. Miałaś szansę, miałaś Giovannę. Tak zrobił twój pradziadek.

Zerwałem się i podszedłem do okna. Wszędzie pustka i biel.

– Ojczy, czy ty też...?

– Tego nie da się do końca pozbyć, one nigdy nie znikną.

Nie znikną i ja wcale tego nie pragnę, ojczy. Ty wciąż niczego nie rozumiesz...

– Mówisz o sobie, prawda? Czujesz to samo co ja?!

– Wystarczy silna wola – ciągnął ojciec, a ja zrozumiałem, że unika odpowiedzi, i nagle pojąłem, że tak, on również, ale nigdy się do tego nie przyzna. – Możesz nauczyć się je widzieć i pozostawać obojętnym na ich lubieżność. Patrzeć na nie bez wzruszenia.

Tak jak ty w Ogrodzie Botanicznym, przechadzający się tam każdego dnia, udowadniający, jak bardzo jesteś obojętny?! – pomyślałem.

– I udowadniać każdego dnia, że nie mają nad tobą władzy. Twój pradziadek odniósł nad nimi zwycięstwo. Ty też możesz, jeśli tego pragniesz.

Pragnę, oczywiście, że pragnę! Aby znów dla mnie zapląsały, wyciągnęły na taras i odtńczyły swój spektakl.

– Czy kiedykolwiek dotknąłeś nimfy? – spytał ojciec.

Stał tuż za mną, tak blisko, że niemal mnie dotykał. Nie słyszałem nawet, jak wstał. Jego oddech pachniał starością, zapowiedzią zbliżającej się śmierci. Odsunąłem się nieznacznie. Od uporczywego wpatrywania się w śnieżną biel zaczęły mnie szczypać oczy.

– Dobrze wiesz, ojcze, że nie. – Ze złością zasunąłem zasłony. – One kuszą, ale nie pozwalają się dotknąć.

– Boś nigdy nie próbował – sarknął ojciec. – Woląłeś patrzeć na ulotne panny, niż którąś złapać. Bałeś się, że złudzenie prysnie?

– Nie! – odwarknąłem. Pytanie mnie zdenerwowało, choć sam nie wiedziałem czemu. – Po co je łapać? Ja wolę, jak tańczą.

– A nie chciałbyś zatańczyć razem z nimfą?

Powinienem był rozumieć, gdzie czai się pułapka. Powinienem był odmówić i zakończyć dyskusję. A jednak wyobraźnia ruszyła jak szalona i już widziałem zwiewną nimfę w mych ramionach, prowadzącą mnie w szalony taniec. I nagle poczułem nieprzeparłą ochotę, aby chwycić jedną z nich w objęcia, przytulić, dotknąć jej. Skinąłem głową, zapominając, że ojciec i tak tego nie zobaczy.

– A więc chodźmy – zakomenderował ojciec. – Tylko ubierz się ciepło. Zdaje się, że zbliża się zadymka.

11.

Wyszliśmy w milczeniu za bramę. Tam rozciągała się pustka; o ile latem można było cieszyć oczy widokiem bujnej przyrody, tak jesień była paskudna, zwłaszcza w porze dżdżu, zaś zimą czuło się jak na odludziu. Nad horyzontem kłębiły się chmury. Ojciec miał rację. Za kilka godzin nadejdzie zamieć.

– Jak daleko zamierzamy iść? – spytałem. – Równie dobrze możemy stanąć pod tarasem albo pójść do sadu.

– I pozwolić, aby oglądał nas cały dom? – prychnął ojciec. – Weź mnie pod ramię. Daj znać, kiedy nie będą nas już mogli widzieć z domu.

Śnieg skrzypiał pod stopami. Szliśmy powoli, przez pokrytą bielą ziemię. Wszędzie było cicho i pusto. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej; idealne miejsce dla samotnika lub dla więźnia. Wciąż nie wiedziałem, do której kategorii się zaliczam. To, że nie wrócę do Padwy, było dla mnie oczywiste – powrót oznaczałby ponowne uwięzienie. Ale nie byłem pewien, jak długo tu wytrzymam.

– Nie miałem pojęcia, że masz tu dom – powiedziałem.

– Kupiłem go lata temu, na cudze nazwisko, rzecz jasna – odparł ojciec stłumionym przez szalik głosem. – Strasznie mi przykro, jeśli ci się nie podoba, ale nie masz wyjścia. Tu nikt cię nie będzie szukał.

– O ile by w ogóle szukał – mruknąłem.

Ojciec prychnął.

– Zejdź na ziemię! Trafiłeś do zakładu jako morderca, nie jako niegroźny obłąkaniec, którego umieszcza tam rodzina, by mieć problem z głowy! Przetrzepali nam dom w Padwie od piwnicy po strych. Szukali cię również u wszystkich twoich przyjaciół i znajomych. Póki co, musisz tutaj zostać.

– Póki co? A co potem?

– Potem może zagranica. Schwarzwald i okolice. Mam tam przyjaciół. Ale przestań myśleć o tym, co będzie być może za kilka lat – warknął ojciec. – Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Będziemy tak szli aż do Padwy?

Ślepiec miał lepsze wyczucie odległości ode mnie. Odeszliśmy już na tyle daleko, że kontury domu powoli zaczęły się zacierać na tle nieba. Staliśmy na środku śnieżnego pustkowia. Zdałem sobie sprawę, że to już, za chwilę, zdarzy się coś niezwykłego. Ale, o dziwo, oprócz ekscytacji czułem także niezidentyfikowany lęk.

– Gotowy? – Ojciec nie przejmował się drobiazgami. Odsunął szalik z twarzy, zatarł dłonie, przeszedł do rzeczy. – A więc je przywołaj.

Nigdy nie przywoływałem nimf. To one do mnie przychodziły, kiedy i gdzie chciały. Zamknąłem oczy, a ojciec szeptał mi do ucha. Zatańcz z nimi. Bierz je w ramiona. Chcesz tego, prawda? O tak, chciałem, pragnąłem całym sobą. Tańczyłem z nimi tylko raz, wtedy na Prato Della Valle, gdy wyciągały do mnie ręce i prosiły, aby za nimi biec. Jakież byłem głupi! Jaki ślepy! Dziękuję, ojcze, że otworzyłeś mi oczy. Bierz nimfę w ramiona, o tak, tańcz z nią do bladego świtu!

Wyłoniły się ze śnieżnej bieli niczym posągi. Początkowo nieśmiałe, jakby lekko spłoszone; to podbiegały, to odskakiwały. Ale po chwili się ośmieliły. I znów zaczął się szalony taniec, jak ten na Prato Della Valle. Nie pamiętam, kiedy zrzuciłem płaszcz i szalik; po chwili na wpół ubrany wirowałem razem z nimi, a one się cieszyły, radowały, szczęśliwe tak samo jak ja. Ale tym razem mimo ekstazy nie zapomniałem się zupełnie. Tym razem chciałem zatańczyć z nimfą w ramionach.

Były szybkie i zwinne. Nie dałbym rady dogonić żadnej z nich. Czekałem więc na odpowiedni moment i wreszcie jedna z nimf przepłynęła tuż koło mnie, tak blisko, że niemal

się o mnie otarła. Błyskawicznie wyciągnąłem ręce, chwyciłem ją i przyciągnąłem do siebie. Była taka drobna i krucha... Trzymałem ją, a ona wrywała się, ale nie puściłem jej, a ona w końcu znieruchomiła.

– Nie bój się – szeptałem jej do ucha. – Nie bój się mnie. Chcę z tobą tylko zatańczyć.

Ostrożnie musnąłem wargami jej ucho. Zimne. Zimne i nieruchome. Wargi zaszczypały, jakbym dotknął kawałka lodu. I nagle zdałem sobie sprawę, że gibkie, wiotkie ciało pod moimi dłońmi jest sztywne i nieruchome.

Odsunąłem się na długość ramienia. Już wtedy wiedziałem, co zobaczę, choć nie chciałem uwierzyć.

Posąg.

Zimny, marmurowy posąg, tkwiący nieruchomo w śniegu. Delikatne rysy popękanej ze starości twarzy, niegdyś zapewne pięknej, teraz zniekształconej i wykrzywionej. Resztki odlupanego ucha.

I nagle całe pole zaroilo się od posągów.

Rzuciłem się przed siebie, niemal na oślep, zataczając się jak pijany. Potykałem się i przewracałem, biegając od jednego posągu do drugiego, na darmo chwytając je w objęcia, głaszcząc po twarzach, próbując tchnąć w nie trochę życia. Wzywałem moje nimfy, ale na próżno. Nie pamiętam, jak znalazłem się w śniegu, zwinięty w kłębek, z zupełnie suchymi oczami i świadomością, że to, co się stało, jest nieodwracalne. Nie mogłem nawet płakać. Bolało o wiele za bardzo.

– Jak mogłeś...?

Nie chciałem słuchać ojca, który przyklęknął przy mnie i coś mówił. Ale on nie ustępował. Powoli zaczęły do mnie docierać jego słowa.

– ...złudzenia... do tej pory się karmiłeś...

Pomógł mi wstać. Nie wiem, skąd w starym, słabym człowieku tyle siły, ale dźwignął mnie na nogi i podtrzymał, póki nie przestałem się chwiać. Powoli przestałem dygotać. Głos ojca był niezwykle łagodny.

– To już koniec twojej męki, synu. Ujrzałeś swoje pokusy takie, jakimi są naprawdę. Tak samo zrobił twój pradziadek.

Dolna warga szczypała na mrozie. Krew...? Kiedy ją rozciąłem? Całując jedną z... jeden z tych posągów w zimne, obojętne usta? Dlaczego jest tak ciemno? Uniosłem głowę. Na nieboskłonie migotały gwiazdy.

– I to się... skończyło? – Musiałem wiedzieć. Musiałem mieć pewność.

– Tak.

– Nigdy więcej nie ujrzał nimfy?

– Nigdy. Tylko posągi.

A jednak Alessio Fadda był Bogiem, decydującym o ludzkim losie. Zdecydował też o moim, bez pytania o zgodę. Ale wtedy, po raz pierwszy i ostatni w życiu, nasze role się odwróciły.

Wyciągnąłem dłonie, dotknąłem ramion ojca, on chyba myślał, że go obejmę. Jego twarz rozświetlił uśmiech. A ja chwyciłem go za szyję i zaciskałem palce, póki nie umarł, czując, że wreszcie jestem wolny, wolny od przekleństwa, przekleństwa Alessia Faddy, i że wreszcie to ja, JA!, stałem się Bogiem!

ZA ZDROŚĆ

ARTVR OSTAFIL

Poezje

MODERNISTA

Piotr Borowiec

Moment, w którym Michał rozpakował prezent, powinien być najprzyjemniejszą chwilą całego wieczoru. On – zachwycony, przecież mężczyzna, który otrzymuje niezapowiedziany podarunek od swojej żony, zawsze staje się uroczym chłopcem. Ona – dumna z siebie, taka dowartościowana i ucieszona jego szczęściem. A także wszystkimi korzyściami, jakie sprawiona niespodzianka może przynieść. Jednak gdy papier upstrzony infantylnymi motywami gwiazdek i misiów upadł na podłogę, Barbara poczuła zażenowanie. Dopuściła do siebie fakt, który skrywała, zagrzebała pod warstwą solidnych tłumaczeń i racjonalizacji. Przecież to jest żalosne. Przecież, do jasnej cholery, mamy wiek dwudziesty pierwszy, środek cywilizowanej Europy, a ona przekupuje męża podarunkiem. I nie ma tu mowy o „bezinteresowności”, o „ja tylko chcę zrobić przyjemność”, ani o „to nie ma nic wspólnego z...”. Ma, kurwa mać, i to dużo – z jej decyzją o przyjęciu propozycji awansu. Prawda jest taka: Barbara kupiła książkę nie dlatego, że zobaczyła ją przypadkiem na targu staroci. Kupiła ją, gdyż czegoś takiego szukała. A szukała, bo wiedziała, że łatwiej Michałowi przyjdzie zaakceptować jej postanowienie, jeśli dostanie rzecz, która go ucieszy.

A ucieszyła, to fakt.

– Intrygujące – powiedział po dwóch minutach trzymania rozpakowanej książki. Przez ten czas przeczytał stronę tytułową, przejrzał kilka następnych. Skupiony, w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w poźółkłe kartki. Wyglądał jak figura z wosku, bardzo realistyczny posąg, jak zbyt dokładny manekin. Proszę państwa, a ten eksponat to rzeźba „Modelowy redaktor przy pracy”. Patrzcie, dzieci, a tutaj artysta przedstawił nam wizję bibliofila oceniającego antykwaryczną książkę. Co kilka sekund monument poruszał się, przewracając strony wolnym, wystudiowanym ruchem. I dopiero po tych dwóch minutach pomnik Michała stał się znowu Michałem. Zaczął mówić i zadawać pytania.

– Naprawdę intrygujące. Nazwisko poety chyba kojarzę, jednak nie pamiętam z czym. Styl surowy, tematyka typowa dla wczesnego modernizmu. Wydanie dość liche. Skąd to masz?

– Kupiłam na targu na starych koszarach. Jakiś posepny staruszek zakopał trochę papierzysk w stercie pordzewiałych bagnetów i innych pierdół. Leżało tam więcej książek, jednak...

– ...pomyślałaś, że mnie to zainteresuje. No, faktycznie pana... Artura Ostafila w kolekcji nie mam.

– A nadaje się? – zignorowała fakt, że jej przerwał i sam uzupełnił wypowiedź. Zdarzało się to tak samo często, jak na początku ich związku. Trzy lata małżeństwa przekonały Barbarę, że walka z irytującymi nawykami ukochanego jest równie sensowna, co rozbijanie skały łyżeczką do herbaty

– W sensie, czy dobry? A próbowałaś czytać?

Barbara zaprzeczyła ruchem głowy. Miała przy tym nadzieję, że jej gest nie stanie się pretekstem do docinków w stylu: „cóż, głupie pytanie. Wiem, że moja małżonka woli Harlana Cobena od rodzimej poezji”. Michała jednak zbyt zaabsorbowała książka, aby poświęcać czas na małżeńskie docinki.

– Kasprowiczem to ten facet nie był. Ale w tym coś jest. Naprawdę. Posłuchaj:

*Gdybym wziął nóż i na twarz twoją
zasłonę cię bym spuścił
pod siatką blizn tylko ja bym piękno widział
sen o wierności ziścił*

Michał, gdy zakończył odczytywanie fragmentu, zamknął książkę i odłożył ją na krawędź stołu. Jak najdalej od naczyń i świec. Standardowe elementy romantycznej kolacji, jakże niebezpieczne dla papieru. Mężczyzna spojrzał na Barbarę, więc ta mogła dostrzec, że tak, jak najbardziej, obdarowany cieszył się z prezentu. Na swój subtelny i stonowany sposób.

– Wygląda na dość okrutny erotyk – powiedziała Barbara. – Ale fajnie, że cię zaintrygował.

– Oni często pisali o bólu i miłości, albo o śmierci i erotyzmie. Sporo tego było, dzisiaj się pamięta tylko o Przerwie-Tetmajerze, Staffie, Kasprowiczu, tych wielkich.

Literatura i książki, szczególnie stare, antykwaryczne wydania, stanowiły wielką pasję Michała. Uwaga o młodopolskich poetach mogła więc być wstępem do dłuższego monologu. Jednak mąż Barbary nie podejmie go niesprowokowany, nie będzie zanudzał swojej kobiety wykładami w żaden sposób niezachęcony. Kobieta nie podjęła tematu, zajęła się stygnącym posiłkiem. Niesmacznym, w tym tygodniu jej przypadło przygotowanie piątkowej kolacji.

Barbara jako dziewczynka wolała klocki od lalek, jako nastolatka preferowała pomagać ojcu w warsztacie niż matce w kuchni, a jako dorosły człowiek szlifowała zdolności inżynierskie. Kulinarnych nie miała za grosz. Tylko trzymanie się przepisu uratowało posiłek przed kompletną katastrofą.

Michał nie zwracał na to uwagi. W ogóle nie zajmował się ani jedzeniem, ani swoją żoną. W lewej ręce trzymał widelec z wbitym kawałkiem mięsnej podeszwy, prawą natomiast przytrzymywał ponownie otwarty wolumin. Czytanie przy posiłku? Narażenie książki na oblanie sosem? Niespotykane zachowanie męża zdziwiło Barbarę. Ten cały Artur Ostafil chyba jednak był drugim Kasprowiczem, skoro tak zafascynował jej ukochanego.

– Takie to ciekawe?

Brak reakcji. Skupiony wzrok wbity w książkę. Widelec nawet nie drgnął

– Michał?

– Słucham?

– Zaczytałeś się przy kolacji. Kilka minut nic nie mówisz...

– Tak. Faktycznie. – Zamknął książkę, wstał, skierował się do swojego pokoju („gabinetu”, jak nazywał to pomieszczenie), gdzie przechowywał całą kolekcję. Gdy wrócił, zapytał: – A jak u ciebie w pracy? Jakies ciekawe wieści z korporacyjnej linii frontu?

Barbara odłożyła widelec, wstała i sięgnęła po butelkę wytrawnego wina. Gestem zaproponowała trunek mężowi. Drobne rytuały, czynności trwające może sekundę albo dwie. Wszystko po to, aby odwlec moment konfrontacji, chwilę, w której spokojny, przyjemny wieczór przestanie być spokojny i przyjemny.

Dziecinada. Żaloszne. Przecież jest poważną kobietą. Przecież nie boi się męża. Co się stanie? Sfochuje się, zacznie marudzić, będzie jej dogryzał. Nie podniesie głosu ani nie będzie jej ubliżał, co to, to nie. Są setki innych, subtelniejszych sposobów pokazania dezaprobaty wobec decyzji żony.

– Posłuchaj, Michale. Postanowiłam przyjąć propozycję, zostanę zastępcą kierownika produkcji. Już w poniedziałek zacznam szkolenia.

Kontratak nastąpił błyskawicznie. Spokojny i wyważony, mistrzostwo w zachowaniu pasywno-agresywnym.

– Kochanie, przecież rozmawialiśmy o tym. Wydawało mi się, że doszliśmy do pewnego porozumienia, że wypracowaliśmy jakiś kompromis. Ja rozumiem...

– Nie, nie było żadnego „kompromisu”. – Barbara we własnym głosie usłyszała irytację. Jej mąż ukrywał to uczucie znacznie lepiej. Głęboki wdech, potem wydech, potem łyk wina. Uspokoila się, może mówić dalej. – Michał, kurczę. Jeśli nie teraz, to kiedy? Nigdy

nie dostanę już takiej propozycji. Szczególnie jeśli zajdę w ciążę i urodzę dziecko.

– Aha. Więc o to chodzi. Nie dasz się wtłoczyć w rolę wyznaczoną ci przez męża. Dobrze. Rozumiem. Decyduj o swoim życiu. Jasne. Bo to tylko twoje życie.

I to by było na tyle romantycznej kolacji, przyjemnego wieczoru, przejrzanego nastroju. Teraz oboje schowają się za skorupami i okopią na umocnionych pozycjach. Barbara pomyślała, że jest to cholernie smutne. I niesprawiedliwe.

Nie wychodzili ze skorup przez resztę dnia. On – obrażony i zły, traktujący żonę z wyszukany dystansem. Nie ma Basi, jest Barbara. Ona – wściekła i zmartwiona reakcją męża. Także zmęczona. Rozczarowana. To naprawdę niesprawiedliwe, przecież ma prawo decydować o sobie, ma prawo oczekiwać wsparcia od męża, a dostaje fochy. Wieczór zakończyli w małżeńskim łóżu. Nagle okazało się bardzo szerokie, z czego skwapliwie skorzystali, zajmując pozycje po przeciwległych krawędziach. Zaczęli oglądać jakiś film, bzdurną bajkę o wielkich robotach tępiących gigantyczne jaszczurki. Rzadko się odzywali, uważnie omijając drażliwe tematy.

Sen porwał ją szybko miękkimi łapami. Te wciągnęły kobietę do głębokiej dziury, z której Barbara starała się wyczołgać. Jej dłonie czepiały się krawędzi dołu... Mogiły? Przydrożnego rowu? Jednak im mocniej próbowała, tym bardziej opadała z sił. Poczula, że spada, ale swobodny lot w pustkę zakończył się momentalnie. Znajdowała się w ciemnym pomieszczeniu wypełnionym książkami. Stare woluminy pożerały światło. Barbara zobaczyła przed sobą biurko, takie, jakie znaleźć można w publicznych bibliotekach. Mały, tani mebel z lampką. Na blacie leżała książka z czerwoną okładką, stylizowaną na fragment witrażu. Patrzyła z niej twarz z mocno zarysowanymi brwiami. Nie sposób było przeczytać tytułu.

Barbara zorientowała się, że już nie śpi. Koszmar wymęczył ją fizycznie, czuła ból mięśni pleców, jakieś napięcie spinające ciało. Kobieta uniosła się nieco na łokciach, aby rozejrzeć się po pokoju. Pomieszczenie oświetlał wątył blask nocnej lampki stojącej na biurku naprzeciw łóżka. Na wyciszonym telewizorze uśmiechnięty pajac zapraszał do skorzystania z oferty telezakupów. Michała nie było w łóżku. Zimna pościel, specyficzny chłód prześcieradła nieogrzewanego ludzkim ciałem.

Siedział przy biurku. Pochylony nad blatem, w ręku książka. Skupiony, wargi poruszały się bezwiednie, szepcząc czytane słowa.

– Michał? Michał, chodź do mnie...

Odwrócił głowę, spojrzał na nią, jego wzrok nie wyrażał żadnych emocji. Nic, może z wyjątkiem znużenia albo jakiegoś delikatnego przygnębienia. W każdym razie nie było to nic, czym pragnąłby podzielić się z żoną. Nic, co chciałby przynieść do ich łóżka. Zignorował

Barbarę i po bardzo krótkiej chwili wrócił do lektury.

Wracając do domu, Barbara zastanawiała się, czy również dzisiaj mąż zafunduje jej kolejny dzień zgryźliwości, złośliwych uwag, drobnych prowokacji. Od kiedy dowiedział się o decyzji żony, jego zachowanie zmieniło się. Jakby coś w nim pękło, jakby ustąpiła tama wstrzymująca zbierające się od dawna pretensje. Bo przecież to wszystko nie mogło pojawić się z dnia na dzień. Barbara podejrzewała, że sprawa jej awansu stanowiła jedynie pretekst. Negatywne emocje, cokolwiek je powodowało, wzbierały w Michale już wcześniej.

Przykre to. Przedzierając się przez wiecznie zatłoczoną siedemdziesiątka siódemkę, miała prawo oczekiwać spokoju po pracy. Chciałaby wracać do miejsca, gdzie będzie mogła odetchnąć od dusznej, nerwowej atmosfery w firmie. Tak, dostała awans. Hura. Cudownie. Miała za sobą kilka dni na nowym stanowisku, w czasie których dowiedziała się o prawdziwym obliczu obowiązków, którym teraz miała podołać. Szkolił ją odchodzący do centrali poprzednik na tym stanowisku. Pan inżynier Mochnacki nie ukrywał, że z radością oddawał swoje funkcje. Okazuje się, że zastępca kierownika produkcji w zakładach chemicznych ma dość mało wspólnego z produkcją. Nadzór nad personelem, czyli użeranie się z bandą olewających wszystko stażystów i niedouczonej techników. Sporządzanie raportów, a więc konieczność tonięcia w tonach beznadziejnie mętnych dokumentów. Planowanie grafików pracy natomiast przypominało układanie kostek domina z przepaską na oczach.

Przynajmniej parking przed blokiem był pusty. Również samochodu Michała na nim nie było. Oznaczało to, że mąż Barbary nie wrócił z wydawnictwa. To dobrze, jeszcze niedawno, zanim dostali zlecenie od miasta na serię publikacji samorządowych, Michał wychodził do pracy po niej i przed nią wracał. Teraz często musiał zostawać popołudniami, dopilnowywać terminów. Ratusz zaoferował intratny kontrakt, lecz wymagał, aby ulotki promocyjne, przewodniki turystyczne i dotowana przez samorząd antologia prozy miejscowych pisarzy ukazała się bez żadnych opóźnień.

Barbara weszła na klatkę schodową, razem z nią do budynku wtargnęło zimne już, jesienne powietrze. Lato tego roku umarło bardzo szybko, upały błyskawicznie ustąpiły chłodom. Winda nieczynna, konieczny był spacer przez czystą, świeżo odremontowaną klatkę schodową. Zamek w drzwiach mieszkania stawiał opór, Barbara przez sekundę myślała, że

nie dostanie się do środka. Wreszcie w domu.

Tak, nareszcie. Oznaczało to kolejne obowiązki, jednak tym razem mniej stresujące niż początek pracy na wyższym stanowisku. Zgodnie z jedną z wielu niepisanych i niewypowiedzianych umów, jakie regulowały codzienność ich małżeństwa, to z nich, które wróciło szybciej do domu, przygotowywało posiłek. Poza tym należało sprawdzić skrzynkę na listy (jest dobrze, same reklamy, żadnych rachunków), wynieść śmieci (coś ciekło z worka, co to, sok z odpadków?), poodkurzać (silnik odkurzacza wyje, zagłusza nawet puszczone na pełny regulator London After Midnight).

Szwendając się po mieszkaniu, poszukując durszlaka na makaron, sprzątając i gotując, Barbara zastanawiała się, na czym polega subtelna zmiana w jej domu. Czego brakuje lub czego jest za dużo. Może został przesunięty jakiś mebel, albo Michał wyrzucił któreś z oprawionych w ramki zdjęć stojących na szafie. Coś takiego, niby błahego, ledwie zauważalnego, lecz burzącego status quo.

Zauważyć jakieś naruszenie normalnego stanu rzeczy, lecz nie móc go zidentyfikować. Cholernie irytujące, niepokojące, wytrącające z równowagi. Po godzinie Barbara zrezygnowała z prób. Spyta się Michała: „Kochanie, przestawiałeś coś w mieszkaniu?”, obdaruje męża uśmiechem, może tym razem nie nawarczy na nią, nie będzie rzucał jakichś złośliwych aluzji. O co tak naprawdę mu chodzi?

Kobieta usiadła na łóżku w sypialni, zmęczona pospiesznym wykonywaniem domowych obowiązków. To nie tylko zmęczenie, uczucie ciężaru gdzieś w ciele wiązało się z nieprzyjemnym ukłuciem niechęci na myśl, że zaraz będzie musiała spotkać się z mężem. Niech to szlag. Powinna wziąć się w garść, przywitać Michała kolacją i przyjazną rozmową. Więc musi wstać i pójść do kuchni. Nie, nie musi. Zegar na ścianie wskazywał dopiero piątą, ma jeszcze godzinę.

Wzrok Barbary spoczął na leżącej na nocnej szafce książce w szarej oprawie. Artur Ostafil „Poezje”. Od dwóch tygodni, kiedy tylko Michał otrzymał swój prezent, codziennie ją czytał. Niemal obsesyjnie, nie dzieląc się jednak wrażeniami z lektury. Zachowanie niepodobne do niego, zazwyczaj zdawał żonie relację z każdego czytanego dzieła.

Oprawa w dotyku okazała się twardsza i solidniejsza, niż wskazywała na to poszarzała tektura. Kartki, chociaż pozółkłe, również świetnie się zachowały, widocznie wolumin przechowywano w dobrych warunkach, z dala od wilgoci czy kwaśnych substancji. Barbara przypomniała sobie sprzedawcę, jego zapyziały stragan, mizerne wrażenie, jakie wywierały sprzedawane tam bibeloty. Nawet jak na standardy targu staroci oferowane przez niego przedmioty były zaniedbane i zniszczone. Jakaś szabla pokryta śniedzią, porcelanowe lalki

z poszczerbionymi rękami, niekompletny serwis i inne książki, z poplamionymi okładkami, rozpadające się papierowe strzępy. Tylko ta jedna zachowała się w świetnym stanie.

Barbara zaczęła czytać.

*Władca na tronie, jak świnia w koronie
Czarny ryj, tłusty knur
Poddani w pełnym pokory pokłonie
przed nim wznoszą wysoki mur*

Chyba to było naiwne, być może Barbara czytała złą poezję. Nie potrafiła ocenić. Jednak słowa układające się w strofy jakoś ją zaintrygowały. W tych wierszach było dużo złości, pretensji wobec wszystkich i o wszystko. Przemawiały do czytelnika obrazami i skojarzeniami niby oczywistymi, lecz poruszającymi. Żona, brzydka, chociaż gotowa do drogi. Pętla przygotowana dla samobójcy, śpiewająca słodką pieśń. Ostrza, krew zdrady. W tych wierszach było wiele innych podobnych fraz. Kobieta nie mogła uznać, że jej się to podoba, jednak musiała przyznać, że ją te liryki zaciekawiły. Tak jak Michała, on też nazwał je intrygującymi.

*On będzie szukał rany a znajdzie śmierć
ból odmierzony ręką aptekarza
dokładnie, a przy tym spokojnie
obejrzy każdą błahą rzecz*

Miała wrażenie, że czytane słowa usłyszała. Jakby ktoś stał za nią, pochylał głowę i szeptem recytował wiersz. Zimny, intensywny głos. Męski chyba. Upuściła książkę, gwałtownie się odwróciła. I faktycznie, przez ułamek sekundy wydawało się jej, że kątem oka uchwyciła ludzką postać stojącą u wezglowia łóżka. Gra światła, cień rzucany przez krzesło lub sugestia. Nie, nie stał tam żaden wysoki mężczyzna. Jednak ten ułamek sekundy, to złudzenie wystarczyło, aby kobietę solidnie wystraszyć. Zastrzyk adrenaliny, drżenie rąk i gorzki smak strachu. Barbara potrzebowała kilku sekund, aby się uspokoić. I gdy opanowała się, gdy puls powrócił do normy, podniosła książkę i spojrzała jeszcze raz na czytany wiersz.

Ktoś obejrzał każdą błahą rzecz. Szukając zranienia, jakiegoś bólu, jakiegoś mniej lub bardziej konkretnego cierpienia. Podnosił, przypatrywał się, odkładał. Barbara wstała, położyła książkę z powrotem na biurko. Musiała się przejść, zrobić choćby kilka kroków,

pokonać jakiś dystans, nawet tak niewielki jak z sypialni do kuchni. Zawsze tak było, że gdy odczuwała silne, nieprzyjemne a nagłe emocje, dopadała ją potrzeba ruchu. Najpierw strach, a potem wściekłość.

Wiedziała już, coś się zmieniło w mieszkaniu. Wszystko, każda rzecz. Każdy przedmiot został poruszony: otwarto szafy, wysunięto szuflady, książki wyciągnięto z półek, potem na powrót położono tam, gdzie stały. Te kilka pokoi, te sto dziesięć pieprzonych metrów kwadratowych zostało metodycznie przeszukanych. Barbara widziała w tym rękę swojego męża. Michał działał systematycznie i ostrożnie, nawet gdy przeglądał jej rzeczy w poszukiwaniu dowodów urojonej zdrady. Bo przecież taki podtekst miały jego nieprzyjemne uwagi z ostatnich dni.

Zazgrzytał otwierany zamek – oto mężczyzna wracał do swojego domu, do kobiety, która jest jego.

Pewnie Mochnacki był przekonany, że jego uśmiech jest czarujący. Albo uroczy. Bez wątplenia facet wyobrażał też sobie, iż kobietom podoba się jego szarmanckie zachowanie. Pani szanowna! Taka piękna dama! Ach i och, a potem wyszczerz upodobniający nalaną twarz do mordy zadowolonego prosięcia. Świniak, dosłownie. Kolejny grymas, małe oczka zrobiły się jeszcze mniejsze, policzki skurczyły się, grube wargi odsłoniły garnitur nieco wystających zębów.

Siedzieli w sali konferencyjnej, pomieszczeniu, którego nazwa nie była adekwatna ani do rozmiarów, ani do funkcji. Mała klitka, plastikowy stół i kilka składanych krzeseł. W rogu trzy biurka, na nich komputery. Przy jednym z nich siedział Janek, szef IT. Mochnacki stał nad Barbarą z założonymi z tyłu rękami. Poza belfra, który poucza nierozgarniętą uczennicę.

– Czyż nie będzie lepiej, jeśli każdą grupę materiałów w systemie będziesz oznaczać kolejną literą alfabetu, moja droga? Jedną, masz ich do dyspozycji dwadzieścia cztery. Pamiętaj też, że moduły na wyższym poziomie są oznaczane dwoma literami. Pamiętaj, jaki symbol ma kierowanie produkcją?

Oczywiście, że nie pamiętała. Zresztą, nie chodziło tu o znajomość systemu informatycznego przedsiębiorstwa. Mochnacki oczekiwał hołdu, pokornego proszenia się o zdradzenie tajników zarządzania produkcją. Oto władca spogląda na poddaną. Zwykły świniak, z ego rozdętym do granic możliwości. Barbara poczuła falę obrzydzenia, nieprzyjemne uczucie ścisnęło jej żołądek. Wraz z nim nadeszła fala złości, a ta emocja,

w przeciwieństwie do silnej nawet odrazy, musiała znaleźć ujście.

– Mochnacki, daj już spokój, człowieku! Rzygać się chce...

– Ależ, pani szanowna, co się stało?

– Gównu! I przestań już z tą panią szanowną. Daj mi, wieprzu, opisy procedur i darujmy sobie szopki.

Świński ryj nieco spochmurniał, oblicze pana na włościach trochę sposepniało. Jak to, zamiast hołdu otrzymał chamskie odzywki? Barbara nie poczuła jednak ani zażenowania, ani satysfakcji. Emocje już nie doskwierały, lecz paliły, piekły jak rana posypana solą. Złość tylko wzmogła się, tym bardziej że Mochnacki z wyraźną pretensją w głosie zaczął jej robić wyrzuty.

– Pani Barbaro, proszę uważać na słowa. Ciągle jestem pani przełożonym i wymagam szacunku.

Wymaga szacunku? Wymaga starcia z tego paskudnego ryja wyrazu oburzenia. Najlepiej drewnianą pałką, ręką uzbrojoną w kastet. Nożem, obłędnie dużym nożem, który pokaleczy twarz. Wytnie trochę skóry, obetnie nos. Krew z ran pocieknie po policzkach, Mochnacki będzie piszczał, niezdolny nawet do wyartykułowania błagań o litość.

Barbara nie miała jednak noża. A gdyby miała, byłaby za słaba, aby go użyć. Słabsza, niższa i lżejsza niż Mochnacki. W tej chwili zdała sobie sprawę, że jedyne, co jej pozostało, to brutalne fantazje. Pochylić głowę przed władcą, złożyć hołd świniakowi. Przeprasić za chamskie zachowanie, poprosić o dalsze instrukcje. To tak cholernie niesprawiedliwe, zawsze będzie już musiała przeproszać i prosić mężczyzn. Jest kobietą i niezależnie od tego, jak dobre zdobyła wykształcenie, jak ciężko pracuje, to nigdy nie będzie taka jak oni. Jak jej ojciec, koledzy, jak pierdolony Mochnacki. Jak Michał.

Nie, pogodzić się z niższością nie można.

– Posłuchaj mnie, świniaku. Naprawdę, nie interesuje mnie...

– Barbara! Basia! Możesz do mnie podejść?!

Janek stał przy drzwiach do sali konferencyjnej. Mały i kruchy, z grubymi okularami, z teczką wypełnioną dokumentami, których nikt nie rozumiał. Zawołał Barbarę bardzo głośno, przerywając jej wściekłą tyradę. Jednak nie to zaskoczyło kobietę. Mochnacki, purpurowy i wściekły, otwierał już swój świński ryj, aby odpowiedzieć na atak. To również nie było niczym szczególnym.

Szef informatyków stał w wejściu, za nim ciągnął się długi korytarz biurowca. Większość pokoi w firmie opustoszała – zamknięte pomieszczenia, mdły blask szczątkowego oświetlenia. Rzędy drzwi tkwiły naprzeciw siebie po obu stronach korytarza. Na samym

końcu, tam, gdzie zaczynała się klatka schodowa, Barbara dostrzegła mężczyznę. Z tej odległości nie sposób było rozróżnić szczegółów twarzy. Dało się jednak zauważyć, iż przybysz trzymał rękę w kieszeni marynarki, lewą nogę nieco wysunął do przodu. Taka nonszalancka poza. Ubrany był nietypowo. Jakoś archaicznie, jak kierowcy samochodów na rajdach zabytkowych samochodów. Dwurzędowy garnitur, marynarka nieco wcięta do figury. Nic więcej kobieta nie zobaczyła, człowiek wycofał się, wszedł na klatkę schodową i zniknął z pola widzenia.

– Basia, chodź tutaj, to ważne!

A za nią Mochnacki wymachiwał piąstkami, starał się nadać swojemu ryjowi bardzo groźny wyraz. Nie wychodziło mu nawet ze średnio groźnym. Barbara ruszyła ku wołającemu ją kierownikowi IT. Ludzka świnia chciała ją zatrzymać, padło jakieś „chwileczkę”, zaraz pewnie usłyszysz „chyba musimy coś wyjaśnić...”. Ale to nieważne, nie ma znaczenia. Kim był ten człowiek?

– Chodź, musimy pogadać... Panie inżynierze, Basia zaraz wróci! Kwestia bezpieczeństwa informatycznego! – Janek wziął kobietę pod ramię, pociągnął na korytarz i zamknął za nią drzwi. – Dziewczyno, co to wyprawiasz?

Kim był ten mężczyzna? Złudzeniem? Wydawał się jednak realny, nawet bardziej niż wszystkie szczegóły otoczenia zauważone i wcześniej, i później. On tam stał, na korytarzowej wykładzinie, przez kilka sekund wpatrując się w Barbarę.

– O co ci chodzi, kurde? Chcesz mieć problem? Baśka, słyszysz mnie w ogóle?

– Co?

– Co ty robisz? Dlaczego jesteś taka chamska wobec Mochnackiego?

– Jaka... chamska?

– Całe popołudnie na niego warczysz. Potem nazwałaś go wieprzem i świniakiem. Dobierał się do ciebie czy co, kurde?

– Nie... tylko...

– Tylko co?

Pytanie okazało się trudne. Janek po prostu chciał znać przyczyny zachowania, którego był świadkiem, a Barbara nie potrafiła tego logicznie wyjaśnić. Czuli daleką złość na przełożonego, obrzydzenie do niego, i w dalszym ciągu rozpoznawała w sobie to nieznośne poczucie niesprawiedliwości. Mochnacki miał wszystko, czego kobieta nie będzie mieć nigdy. Lepsze stanowisko, lepszą płacę i lepszą płć. Tylko jak wytłumaczyć to innemu świniakowi? Janek nie był aż tak obleśny jak ta kreatura w sali, co nie zmieniało faktu, że on również dostał od losu korzystniejszy zestaw narządów rodnych.

– Nic. Po prostu go nie lubię – powiedziała w końcu Barbara. – Ten gnój zachowuje się jak koronowany władca, jego twarz wygląda jak czarny ryj knura. Co za fiut, oczekiwał ode mnie hołdu.

– Czarny ryj knura? Co ty gadasz, dziewczyno? Baśka, do cholery jasnej, słyszysz mnie w ogóle?!

Z tej perspektywy widać było jedynie niewielki kawałek klatki schodowej. Pomalowano ją niechlujnie, używając chyba różnych farb emulsyjnych. Niektóre fragmenty były więc ciemniejsze, inne jaśniejsze. Na tle tej chaotycznej mozaiki wyraźnie odcinała się zmontowana z ciemnej stali poręcz schodów. Wyglądała jak ręce, jak wychudzone członki jakiegoś nieszczęśnika, który rozpaczliwie chwyta się krawędzi przepaści. Takie nieskoordynowane ruchy, ostatni i wątpliwy ratunek przed runięciem w dół. W otchłań. Tam poszedł ten tajemniczy mężczyzna – na dół klatki schodowej.

– Janek, widziałeś go?

– Kogo, znowu?

– No tego faceta, w staromodnym garniturze. Tam stał.

Szef IT oddziału odwrócił się we wskazanym kierunku. Pusty korytarz, zmęczona zbyt wieloma obcasami wykładzina. Drzwi, z których lada chwila zacznie odchodzić okładzina. Światłówki na granicy swojej żywotności. Za ich niewyraźnym blaskiem czekał już mrok, bardzo spokojny tutaj. Zwykły i banalny, pospolita ciemność, jaka panuje we wszystkich biurach Europy po wyjściu ostatniej zmiany. Ale ten dziwaczny człowiek był tam. I jakoś jego obecność nie zniszczyła zwyczajności, tej samej, którą właśnie obserwował Janek.

– Barbara, nie wiem... kurde... zachowujesz się dziwnie.

– Janek, tam stał.

– Nie wiem, kurde, przemęczona jesteś, okres masz, ktoś ci kwasa do kawy wrzucił, nie wiem. Ja pogadam z Mochnackim, coś mu powiem, nie wiem, kurde, masz zły dzień. Coś takiego! Ty idź do domu. I tak już jest prawie szósta.

Pół minuty później Barbara schodziła tymi samymi stopniami, po których musiał przejść dziwny mężczyzna. Wolno stawiała kroki, ostrożnie, jakby obawiając się spłoszyć te resztki niezwykłości, którą przybysz musiał po sobie pozostawić. Jednak klatka schodowa uparcie pozostawała jedynie nieco zaniedbanym pomieszczeniem w biurcu. Żadnej wskazówki, żadnego śladu.

Dopiero na zewnątrz, gdy jesienny wiatr ciskał w nią deszczem, gdy przyjrzały się jej uliczne latarnie, Barbara po raz pierwszy dopuściła do siebie dość logicznie brzmiącą myśl. Nie było żadnego dziwnie ubranego mężczyzny. Po prostu miała halucynacje.

Po prostu wariuje.

Po otwarciu szuflady ręce wyjmowały każdą sztukę bielizny, wszystkie suknie, żakiety, koszule, co do jednej sztuki. Dłonie rozkładały złożoną odzież, oczy dokładnie się jej przyglądały. Po czym następowało złożenie ubrania ponownie w schludną kostkę i odłożenie go z powrotem. Dokumenty przechowywane w oddzielnej szufladzie zostały przeczytane bardzo uważnie. Przejrzano kasetkę z biżuterią, zrewidowano półki z książkami.

Barbara nie spała już od pół godziny. Spod przymkniętych powiek obserwowała, jak Michał dokonuje szczegółowej rewizji wszystkich jej rzeczy. Z każdą chwilą narastała w niej złość. Miała ochotę wstać, wrzasnąć na męża, wymierzyć mu nawet siarczysty policzek. Jak śmie? Jakim prawem? A przede wszystkim, dlaczego?

Powstrzymywała ją obawa, strach przed konfrontacją, przed zderzeniem ze złością męża. Przecież był silniejszy, głośniejszy, bardziej agresywny. Mężczyzna. Nie, nie można się zgodzić na coś takiego.

– Co ty, do cholery, robisz?

Zamykana szuflada zatrzymała się w połowie drogi. Smukłe palce ześlizgnęły się z jej krawędzi. Boże drogi, ale on był subtelny i delikatny, jednak nie zniewieściały. W tamtej chwili Barbara zdała sobie z tego sprawę mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Tkwiła w nim siła, typowa dla mężczyzn, którzy nigdy nie zapomnieli, kim są ani czego chcą. Skoro Michał nie przestał być sobą, dlaczego zachowywał się jak szaleniec?

– Pytasz się, co robię?

Barbara podniosła się do pozycji siedzącej. Dłoń zacisnęła w pięść, odrzuciła machinalnie włosy z czoła. Tak aby nie przeszkadzały. Jej ciało samo wiedziało, co robić, jak przygotować się na konfrontację.

– Skoro nie wiesz, co robię, czemu cię to tak denerwuje? Barbaro?

– Michał, coś się dzieje niedobrego. Z tobą, z nami...

– Owszem, moja żono, muszę się z tobą zgodzić. – Podeszedł do biurka, usiadł za nim.

– Robisz się chorobliwie podejrzliwy. Przeszukujesz moje rzeczy, nawet się z tym nie kryjesz. Wczoraj cały wieczór rzucałeś mi aluzje...

– Bezpodstawne, ma się rozumieć. Ciekawe, gdzie trzymasz listy do swoich fagasów. A może idziecie z duchem czasu i wysyłacie sobie maile pełne słodkich wyznań miłosnych?

– Jesteś chory, do cholery, chory!

- Ale hasło do maila zmieniłaś.
- Bo wymagają tego procedury w firmie!
- To dlaczego jesteś taka agresywna?

Wdawanie się w szermierkę słowną z Michałem było jak pojedynek na kopniaki z koniem. Barbara wstała z łóżka, podeszła do szafy. Zaczęła się ubierać pośpiesznie, ostentacyjnie ignorując męża.

– Nie odpowiedziałas na pytanie. Skąd ten opryskliwy ton w rozmowie o aluzjach i podejrzeniach?

Jak najszybciej wyjść. Nawet za cenę nieprzygotowania się, bez makijażu, bez śniadania i kawy pitej przy oglądaniu porannego programu TVN. Kobieta zaczęła ubierać się jeszcze szybciej, niedbale zakładać odzież. Pragnęła uciec z tej sytuacji jak ze złego snu.

Jak z koszmaru, który przyśnił się jej, tej nocy, kiedy Michał zaczął czytać poezje Ostafila.

- Śpieszysz się gdzieś?
- Wychodzę do pracy, Michał.
- Po co? Dlaczego tak zależało ci na tym awansie? Czemu wracasz zawsze później do domu?

Wzrastały emocje w głosie mężczyzny, irytacja dojrzała już w czystą wściekłość. Barbara pomyślała, że powinna jakoś załagodzić sytuację. Uśmiechnąć się, zażartować. Łagodnym i pełnym czułości głosem zapewnić, pełnymi miłości słowy wyjaśnić, że nie ma najmniejszych powodów, aby mąż mógł ją podejrzewać. Złożyć hołd jednym słowem.

– A tobie o co chodzi?! Co?! Odbija ci, normalnie ci odbija, Michał!

– Może o to, że zachowujesz się jak kurwa! Gdy się dowiem, że mnie zdradzasz, zabiję cię! Rozumiesz! Ja to czuję, ja widzę po tobie, jak się ruszasz, słyszę, gdy mówisz. Rozmawiałem wczoraj z ludźmi z twojej pracy... – Michał wstał, zrobił krok do przodu. Stał w dziwnej pozycji, jakiej nigdy dotychczas nie przyjmował. Włożył rękę do kieszeni swojej sportowej marynarki, lewą nogę nieco wysunął do przodu. Taka nonszalancka maniera. Barbara poczuła, że zaraz zwymiotuje. Cały świat wirował obłądną karuzelą.

– Co...?

– Wiem, że zadajesz się głównie z facetami z firmy! Nie pozwolę...

– Co ty teraz zrobiłaś?

– Zabiję cię, rozumiesz! A wcześniej potnę ci buźkę nożem. Wiem, jaka jesteś ładna... nikt inny nie musi. Kurwa! Jesteś zwykłą...!

Stukot obcasów na klatce schodowej, zapach zimnego powietrza. I głos Michała

z tyłu, za nią. Do Barbary docierały jedynie strzępy wrażeń, fragmenty tego, co powinna rejestrować, gdyby była w zwykłym, normalnym stanie. Gdyby nie kierował nią strach, kierował dosłownie, na zewnątrz, jak najdalej od zagrożenia.

Barbara uspokoiła się dopiero, gdy wybiegła na parking przed blokiem. Zdała sobie sprawę, że ma torebkę, lecz nie wzięła raportów, które miała zdać w firmie. Nie uczesała się, lecz wyczuła w kieszeni płaszcza kluczyki do samochodu. Była gotowa do drogi, pomimo swojego niechlujnego wyglądu. Gdzieś miała wyjechać, żona brzydka pomimo swojej piękności.

Jak w tym cholernym wierszu.

Wszystko, cała rzeczywistość, każda ich myśl i każde zachowanie.

Barbara, już spokojna, pewnym krokiem podeszła do samochodu. Odpaliła silnik i ruszyła. Nie skierowała się do firmy. Czekala ją godzinna podróż do najbliższego miasta wojewódzkiego. Musi odwiedzić miejsce, gdzie napotka więcej książek. Musi dowiedzieć się, z kim ma do czynienia, i czego upiór przemawiający przez wiersze od nich chce.

Budynek Biblioteki Uniwersytetu Rzeszowskiego w czasach, gdy powstawał, musiał urzekać nowoczesną konstrukcją, udogodnieniami dla niepełnosprawnych, swoją estetyką i funkcjonalnością. Otoczony przez inne, zbudowane w czasach siermiężnego socjalizmu gmachy uczelni, był zapewne jednym z pierwszych przejawów ambicji całego miasta. Oto mała prowincjonalna uczelnia wyższa miała stać się europejskim uniwersytetem na miarę XXI wieku. Tak jak nieistotne miasteczko na końcu świata miało stać się stolicą regionu z prawdziwego zdarzenia. Jednak od momentu postawienia budowli z ciemnego szkła i maszynowo kładzionych elewacji minęło dziesięć lat, Rzeszów obrósł w podobne obiekty. Naprzeciwko biblioteki, w miejscu niegdyś zajmowanym przez zdziczały parczek, powstało nowoczesne centrum biotechnologiczne, a w sąsiedztwie całego uniwersyteckiego kompleksu konkurencyjna prywatna szkoła wyższa wybudowała imponujący kampus. Wspaniały gmach otoczony przez inne wspaniałe gmachy już nie zachwycał. Dalej jednak budził zaufanie, sugerował bezpieczeństwo, obiecywał wiedzę.

Bezpieczeństwa Barbara potrzebowała, wiedzy poszukiwała. Wchodząc na schody obudowane z obu stron solidną barierą, wkraczając w automatyczne drzwi usłużnie rozsuwające się, gdy tylko podeszła pod ukrytą gdzieś fotokomórkę, kobieta rozmyślała o ironii całej sytuacji. Oto wkracza do budowli, gdzie mieszka prawie milion książek

zwykłych, aby poszukać informacji o jednej książce niezwyklej. Nawiedzonej. Być może wśród ludzi panuje taka sama proporcja, być może ona sama jest jedyną spośród miliona, którą nawiedza coś obcego, wściekłego, coś, co spisało się na kartkach marnego zbioru poezji.

Nie, wcale nie. Ona nie mogła być sama. W mieszkaniu pozostawiła drugą nawiedzoną osobę. Nawet bardziej, słowa wykrzywane przez męża ciągle tłukły się w myślach. Oskarżenia i groźby, kompletnie irracjonalne. Barbary nigdy nie zwyzywał żaden mężczyzna, aż do tego momentu. Michał nigdy wcześniej nie był agresywny. Aż do tego mglistego, ponurego poranka, gdy wrzasnął, że jeśli już dowie się, że go zdradza, to ją zabije. A wcześniej potnie buźkę nożem. On i tak będzie wiedział, jaka jest ładna, nikt inny nie musi.

Portier wziął od niej płaszcz, pracownik biblioteki udzielił informacji, że owszem, może skorzystać ze zbiorów, lecz jedynie w czytelni na miejscu. Barbara nie pragnęła niczego innego, a już na pewno nie przywleczenia do domu kolejnej książki. Po wyrobieniu karty (osoby spoza uczelni muszą zapłacić dwadzieścia złotych, proszę pani) bibliotekarz poradził, aby udać się do działu informacji naukowej. Tam jej pomogą. Tam odbierze zamówione książki.

Kolejne szklane drzwi, za nimi pomieszczenie pogrążone w półmroku. Dlaczego jest tak ciemno, przecież ściany w większości zajęte są przez gigantyczne okna. Wlewa się przez nie wątle światło jesiennego południa. Coś chyba je zabiera, wysysa, absorbuje jakaś delikatna, lecz konsekwentna ciemność. To przez te cholerne książki. Woluminy, tomy, broszury, w oprawach twardych i miękkich, liczące kilkanaście stron i po kilka tysięcy. Papierowe czarne dziury, chłonące wszystko wokół siebie.

– Czym mogę pani służyć? – Pracownik działu informacji naukowej chyba również poddany został działaniu książek. Szczupły, wręcz tak chudy, że niemal nierzeczywisty. Jak przydrożne słupy we mgle.

– Proszę pana... poszukuję informacji na temat polskiego poety. Artur Ostafil. Pisarz Młodej Polski chyba, wydał zbiór poezji na początku XX wieku. W internecie nic nie ma sensownego.

– Oczywiście, pomogę pani.

Oczywiście, pomógł Barbarze. Na monitorze komputera bibliotekarskiego pojawiały się kolejne repozytoria, bazy danych i bibliograficzne katalogi. Funkcjonowanie każdego z nich mężczyzna dokładnie tłumaczył. Ciekawe, czy wszystkim czytelnikom służy taką pomocą? Czy tylko atrakcyjnym kobietom tuż po trzydziestce? Słowa Michała o nożu i pięknutkiej buźce. To. Ten. Cholerny. Wiersz!

Pół godziny później na stanowisku, które zajęła Barbara, pojawiły się wybrane książki. Kobieta otwierała je z niechęcią. Oprawy, strony, czarny druk. Czcionki i ilustracje. Na „Młodej Polsce” Hutnikiewicza rozkwitły secesyjne kwiaty. Jaske-Choiński groźnie patrzył z obwoluty wznowienia jego „Dekadentyzmu”. Coś niebieskiego, trochę siniego, pewnie obłok albo morska toń wzięło w posiadanie okładki „Sprzecznych żywiołów: Młodej Polski i okolic”.

Jednak to wszystko okazywało się szukaniem na oślep. Barbara dowiedziała się, że Maria Feldmanowa, tłumaczka pierwszego wydania „Portretu Doriana Graya”, nieoficjalnie zajmowała się sekretariatem męża, znanego lwowskiego krytyka. Według niego modernści mieli wstręt do mieszczaństwa, lecz byli jego niedorodnymi dziećmi. Barbara nie potrafiła znaleźć żadnych przydatnych informacji. Artur Ostafil wymieniony został kilkakrotnie jako przedstawiciel dekadentyzmu. Debiutował we Lwowie w roku 1904. Kim był, czy napisał coś potem, tego podręczniki i encyklopedie nie mówiły. Jedynie w dwóch obszernych i szczegółowych opracowaniach biograficznych znajdowała się wzmianka, że zbiór poety przeszedł bez echa, w przeciwieństwie do skandalu i tragedii, która rozegrała się w związku z jego osobą. Skandal i tragedia, jakby ich mało było w biografii młodopolskich artystów. Jakże konkretnie, tego autor nie powiedział.

Zmęczenie i stres dały o sobie znać. Kilka godzin w bezruchu, spędzonych nad książkami też zrobiło swoje. Barbara czuła ból krzyża, promieniujący na całe plecy. Napięcie mięśni, dokładnie takie samo, jak po przebudzeniu się ze snu tej nocy, gdy podarowała Michałowi nieszczęsną książkę. Wspomnienia koszmaru wróciły, niewyraźne, zniekształcone przez inne, zapamiętane z jawy. Przeciągnięcie się na krzesło nie pomogło, podobnie rozmasowanie ramion.

Wrażenie, iż dalej znajduje się w sytuacji z koszmarne snu nasiliło się, gdy Barbara spojrzała na stertę publikacji, które w dalszym ciągu miała do przejrzania. Na samym jej wierzchu leżała książka z czerwoną okładką. Tą samą, która jej się przyśniła dokładnie tydzień wcześniej, Twarz jakby z witrażu, szczegóły narysowane grubą kreską. Mocno zarysowane oczy. Tym razem kobieta mogła przeczytać tytuł: „Tętno epoki. Miejsce i rola motywu krwi w literaturze Młodej Polski” Marka Kurkiewicza.

Z indeksu nazwisk wynikało, że Artur Ostafil został wspomniany jedynie na stronie trzysta sześćdziesiątej, w rozdziale „Namiętności i instynkty”. Barbara otworzyła książkę we wskazanym miejscu.

Podobnie w wielu wierszach lwowskiego poety Artura Ostafila

przelew krwi jest efektem poddania się własnym pragnieniom. Poezja ta przepelniona jest obsesjami skazującymi podmioty liryczne na kary, wymierzone za zbrodnie, których nie mogli nie popełnić.³⁷⁷

Barbara spojrzała na dół strony, tam, gdzie znajdowała się treść przypisu.

³⁷⁷Wszelkie informacje o poezji Ostafila przytaczane są ze źródeł pośrednich. Twórczość ta nie przetrwała do czasów obecnych, z wyjątkiem kilku mniej znaczących utworów publikowanych w prasie. Cały nakład debiutanckich „Poezji” został skonfiskowany i zniszczony wyrokiem sądu we Lwowie. Zob. Juliusz German, *Zazdrość, zbrodnia i plagiat. Sprawa Artura Ostafila i Henryka Dejmana w galicyjskiej prasie*, Rzeszowskie Zeszyty Polonistyczne 1992, z. 6, s. 245 i nast.

Skrót zob. oznaczał w tym przypadku nie tyle sugestię autora przypisu dotyczącą poszukiwania dalszych źródeł, co kategoryczny rozkaz. Chcesz wiedzieć więcej, poznać głębość otchłani, w którą wpadasz? To zobacz samo jej dno. Przeczytaj o tragedii i skandalu, które tworzą upiory.

Rzecz jasna, w bibliotece znajdowały się egzemplarze naukowego czasopisma wydawanego przez uczelnię przeszło dwadzieścia lat wcześniej. Zamówione przez elektroniczny katalog, zostało przyniesione niemal natychmiast. Barbara starała się szybko przewracać kartki, jednak szło jej to bardzo niezgrabnie. Ekscytacja i strach miały swoje psychofizyczne obawy: dłonie drżały, z palców wyslizgiwał się papier, ciężko się było skupić. W końcu pismo zechciało się otworzyć na stronie dwieście czterdziestej piątej.

Artykuł Germana okazał się monograficznym opracowaniem skandalu, który rozegrał się we Lwowie na początku XX wieku. Autor zebrał doniesienia prasowe oraz dostępne akta sądowe odnalezione w lwowskim i przemyskim archiwum. Barbara widziała w tekście coś więcej niż suche studium przypadku, przyczynek do historii prasy, młodopolskiej bohemy i obyczajowości mieszczańskiej. Dla niej był ostrzeżeniem, kolejnym krokiem w kierunku finału koszmaru i wyśnieniem jego przyczyn, lecz nie tłumaczył, jak się z niego przebudzić.

Artur Ostafil był młodym poetą. Zanim wydał swój debiutancki tomik, publikował w prasie. Jego wiersz znalazł się w ostatnim numerze krakowskiego „Życia”, jeden utwór

zawędrował nawet do prestiżowej „Chimery”. Artysta przyjaźnił się z innym literatem, Henrykiem Dejmanem. Dzielili ich wszystko: majątek (Ostafil pochodził z ubogiej rodziny, familia Dejmana miała kilka fabryk), poglądy (jeden sympatyzował z socjalistami, drugi z konserwatystami) czy religia. Łączyła natomiast miłość do jednej kobiety oraz ambicje literackie. Zofia wybrała Dejmana, wydawcy – Ostafila.

Publikacja „Poezji” zakończyła przyjaźń, rozpoczęła konflikt. Lwowscy dziennikarze, niezależnie od tego, czy byli szanowanymi krytykami literackimi, czy pismakami relacjonującymi sprawy sądowe, w identyczny sposób opisywali status bohaterów dramatu. Dejman nie miał talentu, miał natomiast pieniądze i wpływy. Nie mógł wybaczyć przyjacielowi sukcesu wydawniczego, tak jak tamten mu ślubu z Zofią.

Dejman oskarżył Ostafila o kradzież jego utworów i publikację ich pod własnym nazwiskiem. Pieniądze załatwiły świadków, a ci przed sądem przysięgli, iż byli obecni przy rozmowie, w trakcie której Henryk poprosił Artura o zaopiniowanie jego wierszy. Wręczył też rękopisy, które potem miały zostać opublikowane pod nazwiskiem pozwanego. Wydział cywilny c.k. Sądu Krajowego we Lwowie w precedensowym jak na owe czasy wyroku przychylił się do pozwu. Cały nakład książki miał zostać wycofany z księgarń i zniszczony, a od Ostafila zasądzono słone odszkodowanie.

Ostatnia sentencja wyroku nie mogła zostać wyegzekwowana. Upokorzony poeta, zhańbiony oskarżeniem o plagiat, skazany na ostracyzm środowiska, stał się z dnia na dzień bankrutem. Wydawca, który w związku z koniecznością zlikwidowania całego nakładu poniósł straty, zwrócił się do niego z roszczeniem regresowym. Ostafil ścigany przez wierzycieli osiadł w Jarosławiu, małym miasteczku w Galicji, gdzie przygarnęła go siostra. Nawet nie starał się znaleźć stałego zatrudnienia, pozbierać się jakoś, może zawalczyć o odbudowę reputacji. Po kilku tygodniach pobytu w domu siostry wyszedł nad ranem kompletnie pijany i powiesił się w miejskim parku.

Barbara dwukrotnie przeczytała ten fragment. Ostafil uciekł i zakończył żywot w Jarosławiu. Rodzinnym mieście jej oraz Michała. Jednak nawet ta informacja, groźna niczym pozytywna diagnoza onkologiczna, nie była końcem ponurej historii. Jej dalszą część Juliusz German snuł, relacjonując inne źródła. Nie przywoływał pism literackich ani kolumn plotkarskich. W końcowych partiach tekstu dominowały cytaty z sensacyjnych artykułów, reportaży sądowych i kroniki kryminalnej.

Po upadku swojego byłego konkurenta i przyjaciela Dejman nie starał się zrealizować swoich ambicji literackich. Nie opublikował nawet „Poezji” pod własnym nazwiskiem. Wydawcy nie chcieli ryzykować publikacji tytułu, który kojarzony był ze skandalem. Tym

bardziej, że pojawiły się pogłoski o nieuczciwym procesie. Henryk nie nacieszył się też szczęściem u boku swojej pięknej Zofii. Wręcz odwrotnie, zaczął podejrzewać żonę o zdradę. Podejrzliwość nabrała paranoicznych cech, kiedy znalazł dowody, iż miała ona romans z Ostafilem już po ślubie. Kobieta wypierała się autorstwa odnalezionnej przez męża korespondencji z jego byłym przyjacielem. Twierdziła, iż listów pełnych słodkich wyznań miłosnych nigdy nie widziała na oczy. Henryk nie dał jej wiary, zastrzelił ją pewnego styczniowego poranka 1905 roku.

Kolejny proces, tym razem w wydziale karnym cesarsko-królewskiego sądu. Wyrok mógł być tylko jeden, obowiązująca w Galicji powszechna ustawa karna z 1852 roku nie znała łaskawości dla morderców. Reporter sądowy, relacjonujący w mocno brukowym artykule wykonanie wyroku na zabójcy pisał, iż Dejman całą noc przed egzekucją spędził, rozmawiając ze swoim zmarłym przyjacielem. Oczywiście, współcześni uznali to za halucynację, skazany według nich mówił do zwidy, projekcji swojego poczucia winy.

Barbara miała co do tego poważne wątpliwości.

Artykuł kończyła wklejka, w której znajdowały się reprodukcje zdjęć ilustrujących tekst. Budynek sądu lwowskiego. Przedruki wierszy z czasopism literackich. Zajęcia stron z gazet, konserwatywny „Przegląd lwowski” z oburzeniem pisał o wybrykach bohemy, „Gazeta lwowska” z detalami opisywała kryminalny aspekt sprawy. Ostatnia fotografia przedstawiała dwóch mężczyzn i młodą kobietę. Barbara przez kilka minut oglądała męską postać. Artur Ostafil, stojący za plecami przyjaciela i jego żony, patrzył się na swoją ofiarę z reprodukcji archaicznego zdjęcia w kolorze écru.

Ofiarę? Barbara zamknęła czasopismo i odłożyła je na stos pozycji do zwrotu. Dlaczego ona ma być kolejną ofiarą tragedii sprzed stu lat? Niczemu nie zawiniła, nie miała nic wspólnego z dramatem oszukanego poety. Była tylko inżynierem i żoną bibliofila. Owszem, przeczytała kilka wierszy z nieszczęsnej książki. W tym momencie kobieta uświadomiła sobie, iż jej mąż przeczytał całość zbioru. I oddziaływanie spoza granicy czasu i śmierci na niego było zdecydowanie silniejsze. Barbara czuła nadprzyrodzoną obecność, wpływała ona na jej myśli i emocje, jednak kobieta zdołała zachować swoją osobowość. W przeciwieństwie do męża, który zachowywał się, jakby kompletnie oszalał.

I skąd wzięła się ta przeklęta książka w XXI wieku, skoro cały nakład został skonfiskowany i zniszczony? Być może autor artykułu mógłby to wyjaśnić. Barbara przejrzała jeszcze raz czasopismo. Krótkie notki biograficzne znajdowały się na końcu numeru.

Juliusz German – adiunkt na wydziale Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. Jego zainteresowania badawcze obejmują krytykę literacką polskiego wczesnego modernizmu oraz społeczny obraz artysty na przełomie wieków. Aktualnie przygotowuje rozprawę habilitacyjną *Wizjonerzy kontra filistrzy. Obraz bohemy w krakowskiej i lwowskiej prasie początku XX wieku*.

Jeśli facet dwadzieścia lat wcześniej pisał habilitację na WSP, to teraz powinien być uznanym profesorem na Uniwersytecie. Jednak informacje o kadrze wydziału na stronie informatycznej uczelnie nie zawierały nazwiska „Juliusz German”. Pozostał jeszcze jeden trop, Barbara postanowiła więc wrócić do Jarosławia.

Wstała, zaczęła znosić książki do stanowiska bibliotekarza. Zastąpiła mięśnie zaprotektowały ostrym bólem na konieczność podejmowania wysiłku. Wcale nie symbolicznego, papier okazuje się zawsze cięższy niż na to wygląda.

– Niech to pani zostawi, ja zaniosę. – Szczupły mężczyzna jakby zyskał na realności. Wydawał się już mniej przezroczysty, Barbara zauważyła więcej szczegółów jego postaci. Na swój sposób przystojny, z długimi włosami spływającymi na ramiona, z jakimś nieśmiałym uśmiechem, ze spokojną inteligencją w oczach.

– Proszę pana, szukam informacji o osobie, która kiedyś pracowała na tej uczelni. Juliusz German, był adiunktem.

– Jasne, już szukamy.

Kolejny uśmiech, neutralny gest, grzecznościowy, pozbawiony zalotności, a pomimo to sprowokował Barbarę do fantazji. Ten mężczyzna mógłby zabrać ją do ciepłego, dużego łóżka. Pościel gotowa, aby dać się ogrzać. Wychodziłby od niej nad ranem, pozostawiając zapach i nadzieję. Potem otwierałby listy, czytał w skupieniu. A gdzieś, bardzo blisko, czekałyby gotowe noże.

Ostafił ciągle przy niej jest. Barbara nauczyła się rozpoznawać jego myśli. Lepki głos szaleństwa w jej głowie. Co zatem musiało się dziać w głowie Michała?

– Cóż, faktycznie, taka osoba pracowała na filologii, jeszcze zanim WSP stała się częścią uniwersytetu. – Duża książka, wyglądająca na album okolicznościowy, spojrzenie na ekran komputera. – Mam listę publikacji, zajmowanych stanowisk. Jednak od 1992 roku chyba już tego pana u nas nie ma.

– Ma pan może jego zdjęcie? – Barbara wskazała na książkę.

– Jasne, niech pani spojrzy.

Faktycznie, album okolicznościowy wydany na początku lat dziewięćdziesiątych z okazji dwudziestopięciolecia uczelni. Grupa osób przed brzydkim budynkiem, garnitury i garsonki. Juliusz German, czwarty od prawej.

Barbara nie spotkała nigdy tego człowieka, lecz widziała już jego oczy, usta, jego twarz. A na pewno bardzo podobną. Dochodziła pierwsza po południu, jeśli natychmiast wyjedzie, może zdążyć.

Targ staroci na terenie zlikwidowanej jednostki wojskowej nie był chyba przez nikogo organizowany ani zarządzany. Kilkanaście lat wcześniej miasto uznało, że jedynym sensownym pomysłem na zagospodarowanie terenu opuszczonego przez Wojsko Polskie, które dopiero co przestało być ludowym, jest urządzenie tam targowiska. Przez pewien czas miejsce wzięły w posiadanie stragany z chińskimi ciuchami i budy z zapiekankami. Jednak z roku na rok mieszkańcy Jarosławia tanie ubrania coraz częściej kupowali w marketach, a zapiekanki przegrały konkurencję z kebabami. Na betonowanych płytach, po których niegdyś jeździły wojskowe stary, pozostali tylko sprzedawcy staroci i bibelotów, których oferty nigdy nie zastąpi żadna masowa sieć. Przychodzili co piątek, rok w rok, miesiąc w miesiąc, tydzień w tydzień wyprzedawać porcelanę, militaria, pamiątki po dziadkach. Oraz stare książki.

Barbara bardzo lubiła tutaj przychodzić, czasami potrafiła zwolnić się wcześniej z pracy, tylko po to, aby zdążyć przed zamknięciem targowiska. Niekiedy pozwalała sobie na zakup jakiejś drobnostki. Tutaj właśnie upolowała komplet numerów czasopisma „Kruk”, pierwszą edycję „Nowej Aleksandrii” Siekiery na płycie gramofonowej oraz zbiór poezji, wraz z upiorem, który je za życia napisał.

Plac otulały już ciemności, nadciągające dość powoli wraz ze zmierzchem. Działała co druga latarnia, sztuczne oświetlenie przegrywało z naturalnym mrokiem, co nielicznym kupującym chyba nie przeszkadzało. Ludzie wyglądali jak cienie, niewyraźne plamy płaszczy i kurtek. Poruszali się wolno, nieśpiesznie przeglądając stoiska.

Będą kupować kawałki nie ich życia. Ordery, którymi nie oni zostali odznaczeni, broń, którą nie oni walczyli. Klasery ze znaczkami zbieranymi przez kogoś innego, książki, które z dumą wiele lat wcześniej ktoś inny nabył do swojej kolekcji. Do Barbary dotarło, że tego typu transakcje są niczym innym jak pójściem na łatwiznę. Jej decyzja o przekupieniu

Michała również była pójściem na łatwiznę. Podarunkiem chciała załatwić sprawę fundamentalną, konflikt pomiędzy wolą mężczyzny a wolnością kobiety.

I Henryk Dejman, on również poszedł na łatwiznę. Pieniędzmi chciał zrekompensować brak talentu. Jednak jego kara, w przeciwieństwie do tego, co spotkało Barbarę, była adekwatna do winy.

Starszy człowiek, który sprzedał jej książkę Ostafila, tkwił na swoim miejscu, dokładnie w takiej samej pozie, jak tydzień wcześniej. Jego asortyment sprawiał wrażenie jeszcze bardziej chaotycznie dobranego i żalosego niż innych handlarzy. Nie poznał kobiety, gdy ta do niego podeszła.

– Przepraszam, pan German, prawda?

– Tak, czym mogę służyć? – Uprzejmy i spokojny. Pustka w oczach, jakieś zmęczenie słyszalne w głosie.

Nie można udawać, kluczyć, owijać w bawełnę, nie ma czasu. Barbara musi dowiedzieć się jak najwięcej, aby jak najszybciej znaleźć wyjście z koszmaru.

– Proszę pana, muszę jak najszybciej skontaktować się z pana bratem. Tydzień temu kupiłam książkę od pana, podejrzewam, że wcześniej należała od niego.

– Chce się pani skontaktować się z Juliuszem?

– To bardzo ważne!

– Brat nie żyje, proszę pani.

I w tym momencie, Barbara poczuła, że nie da sobie rady ze strachem. Uderzenie adrenaliny spowodowało przyśpieszenie pulsu, odezwało się tępym dudnieniem z tyłu głowy. Gorzki smak w gardle, może żółć lub zawartość żołądka podchodząca do przełyku. I ta przemożna potrzeba ucieczki. Na oślep, byle jak najdalej.

– Proszę pana... Jezu... ta książka. Jak on umarł, co się stało?

– A po co pani to wiedzieć?

– Ja muszę, rozumiesz... muszę czegoś się dowiedzieć!

Histeria, najwyraźniej słyszalna w głosie Barbary, zbiła z tropu staruszka. Nie zamierzał on jednak zwierzać się ze śmierci bliskiego.

– Jest to dla mnie krępujące. Naprawdę nie widzę...

– Powiedz mi, do cholery! To ty mi sprzedałeś książkę! Ja się boję, że oszaleję, mój mąż szaleje, coś do nas ciągle mówi, a teraz jedyny facet, który mógł wiedzieć, o co chodzi...

– Dobrze... dobrze już. Niech się pani uspokoi! Mój brat popełnił samobójstwo po wyjściu z więzienia! A wcześniej podpalił moje mieszkanie. To – mężczyzna wskazał na przedmioty leżące na blacie straganu – są resztki naszego majątku. Zbieram na remont... Czy

już może mi pani dać spokój?

Coś podziałało, może fakt, że mężczyzna podniósł głos, może to, że Barbara dostała potwierdzenie tego, co podejrzewała wcześniej. Upiór niszczył wszystkich żywych, którzy się z nim zetknęli. A konkretnie z jego książką.

– Proszę pana, wiem, że to bardzo trudne, jednak ja muszę dowiedzieć się szczegółów. Pana brat przecież był pracownikiem uczelni. Co się stało? Dlaczego... dlaczego trafił do więzienia? I... – długi wdech, musi być spokojna, przekonać faceta – jakie były okoliczności śmierci.

Sprzedawca staroci milczał. Zmienił nieco pozę, stał jakby na baczność, z rękami sztywno wyciągniętymi wzdłuż tułowia.

– To bardzo ważne. Mnie być może to samo spotka. Niech mi pan to wszystko wyjaśni. To sprawa życia i śmierci.

– I chce pani pewnie wiedzieć wszystko.

– Tak. Proszę.

– Dobrze. Dobrze, powiem pani wszystko. Juliusz, mój młodszy brat, wybrał studia polonistyczne. Ja poszedłem do Warszawy, do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych PZPR, on na WSP u nas, w Rzeszowie. Gdy system się zmienił, wydawało się, że on miał rację. Ja wylądowałem jako nocny stróż, on zrobił doktorat z dekadentów. Kilka lat po obronie doktoratu... Boże, jakie to straszne... coś mu się stało. Zaczął podejrzewać żonę o zdradę, mówić, że dziecko nie jest jego. To była paranoja, Alicja przyjeżdżała do mnie z płaczem. Trwało to kilka tygodni, po czym... po czym znaleziono je martwe. To znaczy Alicję i córeczkę. Juliusz zadźgał nożem swoją rodzinę. Wydaliśmy majątek na prawników, na lekarzy, łąpówki. Na lata w długi. Nic to nie dało, sąd nie przyjął wersji z niepoczytalnością. Dostał dożywocie, tylko dlatego, że Polska miała wtedy moratorium na karę śmierci. Juliusz siedział dwadzieścia lat, a ja starałem się pozbierać życie do kupy. Jak pani widzi, bezskutecznie...

Starzec przerwał na chwilę, aby poszukać czegoś w kieszeniach. Gdy w ustach pojawił się papieros, a w dłoni zapalniczka, zaczął swoją opowieść na nowo.

– Wyszedł, przyjąłem go. Co miałem zrobić? Taki strzęp człowieka. Dałem mu jeden pokój, sam spałem w kuchni. On poznosił tam swoje rzeczy, te sprzed dwudziestu lat. Przywiozłem je z domu siostry, ona nie chciała nas znać. Zastrana dewota, niby że ja stary ubek, a Juliusz morderca z krwią dziecka na rękach. Ale te szpargały trzymała. I wtedy coś mu się stało, nie wiem, cholera, może nie powinienem mu tego przynosić. Znalazłem go na podłodze, zapłakanego, mówi mi, że jakiś on ciągle wraca, że nigdy mu nie da spokoju. I że

ciągle znajduje tę książkę. Ja nie mogłem się nim zajmować, nie mogłem, naprawdę. Nocna zmiana, miałem rok do emerytury. Gdy wróciłem, przy mieszkaniu byli już strażacy i policja. Powiedzieli mi, że Juliusz chciał coś podpalić w mieszkaniu, spowodował pożar. A potem powiesił się. Część rzeczy spłonęła, część nie. To, co zostało, sprzedaję. Mieszkam u siostry w szopie. Tak to wygląda. Pomogłem pani?

Tylko pokiwała głową, nie była w stanie odpowiedzieć. Po dwóch sekundach, gdy przerażenie nieco odpuściło, zapytała:

– A pan... pan czytał tę książkę? Tę, którą kupiłam?

– Nie. A ma to znaczenie?

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Barbara odeszła, sama nie wiedząc, gdzie idzie. Mijała ludzi, w większości opustoszałe stragany, przepelnione śmietniki. Uchła cała nadzieja, koszmar został co prawda naświetlony, lecz nigdzie nie widać było wyjścia. Czyżby? Finałem całej historii Juliusza Germana było samobójstwo, jednak przed samobójstwem próbował on coś podpalić. Nie bez powodu.

Zanim wsiadła do samochodu i ruszyła do domu, Barbara zatrzymała się przy ostatnim czynnym stoisku, aby kupić nóż sprężynowy. Na wszelki wypadek, gdyby sposób, którego próbował poprzedni nieszczęśnik, jednak zawiódł.

W mieszkaniu znalazła jedynie rozpałkę do grilla. Pewnie nie była konieczna, jednak Barbara wolała mieć pewność. Cholerna książka musi doszczętnie spłonąć. Od niej się wszystko zaczęło, więc na niej musi się skończyć. Nawet jeśli nie odwróci to przekleństwa, to nikt inny tego nie przeczyta. Więc nikt inny nie narazi się na zazdrość upiora. Bo przecież o to w tym wszystkim chodziło.

Nie o zazdrość o kobietę, o talent, o chwałę. Po prostu zmarli zazdroszczą żywym życia. Jeśli te wiersze przywołują martwego poetę, to niech je strawi ogień.

W łazience śmierdziało naftą. Gdy do wanny, gdzie została wrzucona książka, wpadła zapalona zapalka, pomieszczenie momentalnie wypełniło się dymem. Strzeliły płomienie, najpierw niebieskie, potem żółte. Siny dym skręcał się i wił, pełznął ku kafelkom. Książka ginęła opornie, żółte strony czerniały bardzo powoli. Ostatni pewnie egzemplarz, cudem odnaleziony przez historyka literatury. Wolumin, który przeczekał dwadzieścia lat, aby ostatecznie zniszczyć mu życie.

Po kilku minutach książka ostatecznie spłonęła.

Barbara nie miała sił, aby sprzątnąć resztki. Powlokła się do pokoju, usiadła na łóżku. Czekala w napięciu, zastanawiając się, czy to definitywnie zamknęło sprawę... Po dwudziestu minutach tkwienia w takiej pustce, usłyszała zgrzyt zamka w drzwiach. Jej mąż wracał do domu.

Jedno spojrzenie na twarz Michała wystarczyło, żeby zorientować się, iż to jeszcze nie koniec.

– Witam cię, moja kochana żono. Chyba mamy parę spraw do omówienia.

– Michał, posłuchaj...

– Po pierwsze, dlaczego uparłaś się, aby przyjąć propozycję awansu? Przecież kobiecie jest trudniej w środowisku kierowniczym, gdzie jest dużo mężczyzn. Chyba że...

– Kochanie, posłuchaj, to obłąd, ale ja wiem...

– Ja też wiem! Chyba że towarzystwa mężczyzn się szuka. Po drugie, dlaczego od miesiący wracasz coraz później z pracy?

Zbliżał się do niej, jego wściekłość i odwieczna przewaga fizyczna, jaką mają mężczyźni nad kobietami. Nie miała przy sobie noża! Chryste Panie, broń została w torebce powieszona przy drzwiach.

– Po trzecie, dlaczego w ogóle już mnie nie pragniesz? Kiedy ostatni raz się kochaliśmy? Nie masz już potrzeb seksualnych? A może wręcz odwrotnie... Powiedz mi tylko jedno, proszę cię.

– Michał, błagam...

– Nie. Spokojnie. Ja jestem spokojny, widzisz przecież. Więc rozmawiamy.

Owszem, uzbroił się w ten specyficzny spokój, który skrywa wściekłość tuż przed wybuchem. Barbara rozejrzała się nerwowo. Michał odciął jej drogę ucieczki, stał dokładnie w drzwiach sypialni.

– Więc powiedz mi. Dlaczego taki mały, jebany, brzydki pokurcz? Co? Rozmawiałem z twoimi koleżankami i kolegami z pracy. Podobno najbardziej lubisz Janka, szefa IT. Podobno zawsze bierze twoją stronę. Jak sobie z nim dziś pogadałem, to też brał twoją stronę. Ale już nie będzie, wyperswadowałem mu tu. Dobitnie.

– Boże...

– Bóg ci nie pomoże, szmato! I ostatnia rzecz. Gdzie byłaś cały dzień? Bo... nie w pracy? Przecież puszczasz się hobbystycznie, nie zawodowo.

Nie mogła skłamać, pewnie Michał odwiedził jej firmę. Ale jak powiedzieć prawdę? Zadziałał impuls, Barbara zerwała się do ucieczki. Miała spore szanse, niewysoka, szczupła, zwinna kobieta prawie prześlizgnęła się obok mężczyzny. Ten jednak zdołał złapać ją,

pochwycił za włosy i rzucił na ziemię.

Pierwszy cios otrzymała w twarz, gdy usiłowała się podnosić. Odlewem, policzek wymierzony z całej siły. Następny poszedł kopniak, w podbrzusze, spirala bólu rozkręcająca się od żołądka. Drugi wycelowany został w głowę, cierpki smak krwi na wargach.

– Wiesz, kurwo, co to jest upokorzenie? Jest to symetryczne odbicie zdrady. A upokorzenie jest, można by rzec, naturalną konsekwencją ładnej buźki i gościnnej pizdy. Czego mamy się pozbyć, abyś wreszcie stała się wierna? Od czego mamy zacząć operacyjne wszczepienie wierności, od mordki czy szparki? Mów, jebana szmato!

Następny kopniak wylądował na żebrach. Coś tam pękło, coś obruszyło się i zapadło w głąb ciała. Barbara pomimo bólu usłyszała dźwięk rozbijanego szła. Nieco uniosła głowę, aby zobaczyć, iż jej oprawca trzymał w ręku pokruszoną butelkę po winie.

– Chyba jednak zaczniemy od twarzy. Ja i tak będę wiedział, jak piękna jesteś pod siatką blizn.

Poderwał ją nie zwierzęcy strach, lecz nagle zbudzona wściekłość. Nie może zgodzić się na bycie ofiarą. Miliony innych kobiet, które ginęły od paranoicznej zazdrości w pewnym momencie odpuszcza, przestaje walczyć o życie. Barbara poczuła, że musi walczyć o godność. Wstała i rzuciła się do ucieczki. Tym razem ręce mężczyzny pochwytyły bluzkę, w palcach został strzęp odzieży.

Jednak w drugiej ręce znajdowała się pokruszona butelka. Niebezpieczna broń, krawędzie szkła wryły się skórę pleców. Cios okazał się nieludzko bolesny, powietrze rozdarło wycie zranionej. Michał zachwiał się, upadł.

Małe mieszkanie, do torebki dzieliło ją raptem kilka kroków. Nerwowe poszukiwanie, pierwsza sekunda był cenna, druga miała wagę życia. Nóż zadziałał, ostrze wysunęło się z głośnym kliknięciem. Gdy Barbara odwróciła się, aby zadać cios, sama go otrzymała. Rany, cięcia, skaleczenia. Połowa twarzy zapłonęła bólem, krew zalewała oczy. Musiała więc ciąć na oślep.

Michał upadł z jękiem, wcale nie głośnym. Ostrze weszło gładko w jamę brzuszną, w ciepłe, miękkie ciało. Leżący na podłodze mężczyzna wierzgnął kilka razy.

Koniec.

Na kolanach, wśród krwi, Barbara uświadomiła sobie, że poeci mają rację. Jedynie mąż może wiedzieć, jak piękna jest żona. Wszyscy inni będą widzieć tylko monstrualnie poranioną, pokrytą siatką blizn twarz.

Podczołgała się do męża. Nie dawał znaku życia, wokoło ciała krzepła kałuża krwi. To już naprawdę musiał być koniec. Kolejny trup, następny dramat, lecz książka została

zniszczona. Teraz pozostało pozbierać życie do kupy. Musi wezwać pomoc. Po lekarzach przejmą ją prokuratorzy. Wiele bolesnych pytań, ale okoliczności powinny być dla wszystkich oczywiste. Skrzywdzona kobieta, chorobliwie zazdrosny mężczyzna. Obsesja Michała, przecież on zasugerował, że pobił Janka z firmy. Albo gorzej, co jednak przemawiało na jej korzyść.

Telefon na pogotowie, obojętny głos w słuchawce. Noc za oknem, obok stygnie ciało obłąkanego męża. Gdzieś wyje sygnał karetki, może jada jej pomóc. Za jakiś czas, gdy blizny na zewnątrz załatwi chirurgia plastyczna, a blizny wewnątrz psychoterapia, odezwie się do tego faceta z biblioteki. Noc za oknem, jednak gdzieś tam musi czekać dzień.

Na razie panowała ciemność, któreś z nich musiało w trakcie walki przypadkowo wcisnąć przycisk oświetlenia. Jedyne przez uchylone drzwi sypialni wlewało się światło. Barbara zaczęła tam pełznąć. Musiała, po prostu musiała zobaczyć swoją twarz. Na jedno oko nie widziała zupełnie, nie wiedziała, czy cios butelką je okaleczył, czy po prostu zakrzepnięta krew uniemożliwia otwarcie powieki.

Podniosła się na nogi przy łóżku, powstała z kolan, aby spojrzeć w lustro. Zobaczyła maskę pokrytą krwią, z pajęczyną otwartych ran. Strzępy skóry zwisały z czoła, nad brwiami ziała otwarta rana. Nie będzie już piękna. Na twarz każdej innej kobiety spojrzy ze znanym sobie uczuciem. Z zazdrością. Ciemność w jej życiu zagości na stałe.

Tak jak w szkle pomiędzy ramami lustra. Tak jak za jej plecami. Barbara odwróciła się powoli, lecz bez strachu, wiedząc, co zobaczy.

Artur Ostafil, ofiara zawiści, poeta zdradzony przez przyjaciół materializował się z ciemności. Podeszedł do niej, nonszalancki, z drwiącym uśmiechem pod nawoskowanymi wąsami. W rękę ścisnął tom swoich wierszy, który rzucił pod nogi kobiecie.

Barbara wiedziała, czego od niej chce. Przecież po śmierci męża to ona przejmie wydawnictwo.

OBŻARSTWO

ET
ANNO



W MALINOWYM CHRUŚNIAKU

Dagmara Adwentowska

Z odwiedzin u dziadków, tych nieskończenie długich, lepkich od skwaru wakacji dzieciństwa, najbardziej wryła mi się w pamięć niewyobrażalna obfitość jedzenia. Zapewne góry jajek, mięsa, ziemniaków i owoców były w rzeczywistości niższe, hektary ciast drożdżowych wypieczonych babciną ręką mniej rozległe, a strumień gęstego syropu z czarnego bzu i miodu z pasieki sąsiada nie tak niewyczerpany... Jednak rosnącemu, a więc ciągle głodnemu chłopakowi mnożyły się cudownie w oczach. To chyba cieszyło najmocniej – żarcia było tyle, że nie dałoby się go przejeść, choć można było próbować. I to właśnie robiłem.

W domu wydzielano mi porcje jak więźniowi, bo czasem ani na kartki, ani sposobem i kombinowaniem nie można było dostać niczego jadalnego w odpowiedniej ilości. Babcia Halina na mój przyjazd uroczyście zabijała dwie kury i gotowała rosół, i nie puszczała mnie nigdy od stołu bez dokładki. Półki sklepowe świeciły pustkami. Regały w spiżarni babciny uginały się pod ciężarem słoików, butelek i woreczków. W L. było wszystko to, czego brakowało w mieście, wystarczyło wyjść do sadu czy ogrodu i sięgnąć ręką; lub zejść stromymi, wyslizganymi stopami kilku pokoleń Niemców i dwóch pokoleń przybyłych zza Bugu Polaków schodami w chłód i ciemność przepastnej piwnicy. Tutaj peerelowski wieczny kryzys nie miał prawa wstępu. Ja zaś od razu po przyjeździe, ledwie zdążywszy umyć ręce w korycie przy studni, rzucałem się w obfitość smaków i zapachów jak płwak w wodę.

Moje ciało nauczyło się wówczas przedziwnego odruchu. Żołądek, ściśnięty jak węzeł przymusowym postem w mieście, rozluźniał się i zamieniał w dziurę bez dna tuż po tym, jak rzeźący ikarus mijał tablicę z nazwą wsi i trzęsąc się na występach kocich łbów, zjeżdżał w dół, między dwa rzędy krytych czerwonym gontem domów, obklejonych ciasno starymi sadami i niebieskimi oczkami stawów. Tylko u dziadków odczuwałem prawdziwy głód. Pozwalałem sobie go odczuwać, bo wiedziałem, że zaraz zostanie zaspokojony z naddatkiem.

W L. mój zdławiony apetyt budził się do życia, i okazywał się bezwzględna, niepowstrzymaną w swej żądzy bestią.

W kuchni dziadków, gdzie spędzałem najszczęśliwsze, bo syte wieczory dzieciństwa i gdzie chronilem się przed upałem w piekące popołudnia, czas stanął w miejscu w czterdziestym szóstym, na pięć minut przed tym, jak miejscowym Niemcom pozwolono zabrać po jednej sztuce bagażu i popędzono piechotą dziesięć kilometrów do sąsiedniej miejscowości, gdzie była stacja kolejowa. Tak opowiadała mi babcia Halina – że wszystko tu po Niemcach zostało. Gdy weszła do przydzielonego jej domu, na stole ciągle stał kubek z niedopitą kawą, a obok leżała nadgryziona kromka chleba ze smalcem. W spiżarni pełno było weków, pelargonie w doniczkach na parapecie nie zdążyły zwiędnąć, a w ogrodzie za oknem smętnie muczała niewydojona krowa. Niemieckie kiszone ogórki i mleczna krowa pozwoliły dziadkom przetrwać pierwsze chude lata na nowej gospodarce. Te weki i ta krowa były skarbem większym, bo prawdziwszym niż złote sztaby zrabowane Żydom i Bursztynowa Komnata, które ponoć hitlerowcy mieli ukryć w tunelach we wzgórzach za wsią i za którymi co jakiś czas różni przyjezdni dziwacy ryli w ziemi jak opętani. Tak z kolei mówił dziadek Stanisław, pykając z poniemieckiej fajki i kręcąc żołędzie na namiastkę kawy w odziedziczonym po Niemcach młynku – bo chyba tylko kawy i pomarańcze nie udało mu się wyhodować. Piliśmy potem tę kawę żołędziową w delikatnych porcelanowych filiżankach malowanych w owoce agrestu. Serwis Niemcy zakopali w beczce za szopą, ale dziadek odnalazł skrytkę, gdy kopał dół pod nową wygodkę. Starą zasypał, bo, jak opowiadał, brzydził się chodzić za potrzebą w to samo miejsce, co Niemce.

Brzydził się zresztą chyba ogólnie i najchętniej, gdy już chude lata minęły, wszystko w domu zdarłoby do gołych ścian i spalił, ale mu babcia Halina nie pozwoliła dobrych i użytecznych rzeczy zmarnować. Podobno przymknęła oko tylko na Biblię, nieprawdziwą, bo ewangelicką i po niemiecku spisaną, którą dziadek wyniósł do wygodki i powiesił na gwoździu. Czasem wspominał to Pismo Święte z rozrzewnieniem, zwłaszcza gdy mu przyszło porównywać jego cienkie, delikatne karteluski do „Trybuny Ludu”, której używaliśmy, gdy brakowało papieru toaletowego, też zresztą szorstkiego i niemilego w dotyku.

Toteż dzięki zapobiegliwości babci Haliny i temu, że to ona nosiła mentalne portki w małżeństwie moich dziadków, mogłem gibać się na prostym, acz solidnym krześle i grać

z dziadkiem w cymbergaja na potężnym kuchennym stole. Babcia podawała nam wtedy sok porzeczkowy i szarlotkę z papierówek ze starej jabłoni, która ocieniała południowe okna kuchni. Dziabąłem ciasto posrebrzaną łyżeczką z talerzyka, na którego spodzie widniał stempel z wroną. Babunia nie żałowała mi niczego, często otwierała więc w takich chwilach drzwiczki kredensu – gargantuicznego mebla z ciemnej dębiny, dźwigającego masę fajansowych szufladek na przyprawy i potężny zegar z rumianą dziewczynką niosącą koszyk malin wymalowaną na tarczy. Dobywała z przepastnych, mrocznych głębin puszkę z cukrem i hojnie posypywała mój kawałek ciasta. Dziadek marudził, że mnie rozpieści do reszty, a babcia dosypywała kolejne łyżeczki „swojemu wnusiowi chuderlaczkowi, zagłodzą go na śmierć w tym mieście”. Biała, słodka zaspą osypywała się z jabłecznej masy, a malinowa dziewczyna z tarczy zegara i jelonki z haftowanej makatki, podtrzymujące porożami napis *Guten Appetit!*, uśmiechały się do mnie zachęcająco, gdy jadłem.

Odwiedzić pradziadka Wojciecha chodziliśmy rzadko i zawsze miałem wrażenie, że babcia podejmuje te wyprawy niechętnie, jakby się do nich zmuszała. Nauczyłem się rozpoznawać, kiedy zbliżał się czas odwiedzin. Zawsze poprzedzały go ciche dni, pełne przesyconego pretensjami milczenia. Godziny wlokły się niczym strużka miodu ciekąca z łyżki, a każde rzucane słowo smakowało gorzko jak dziadkowa nalewka z zielonych orzechów, którą kiedyś dostałem do picia, gdy pochorowałem się z przejedzenia. Wreszcie padało hasło: „Nazajutrz idziemy do pradziadka Wojtka” i zaczynały się przygotowania. Babcia Halina wkładała do wiklinowego kosza gomółkę białego sera, pół chleba, pęto kiełbasy i inne pyszności, którymi mieliśmy raczyć się po drodze. Koszyk przykrywała lnianą chustą i stawiała w chłodzie na schodach do piwnicy, by był gotowy na rano. Wieczorem cięliśmy w ogrodzie asparagus, niebieskie kwiaty ogóreczników i żółte topinambury, potem na kuchennym stole przycinałem ich łodygi i obwiązywałem sznurkiem od snopowiązałki. Wstawaliśmy długo przed świtem i jedliśmy obfite śniadanie w ciemnej jeszcze i cichej kuchni. Babcia najczęściej smażyła mi naleśniki i polewała je tłustą śmietaną, żebym miał siłę iść za nią po wzgórzach.

Pradziadek Wojciech nie leżał na cmentarzu przy wsi, tak jak rodziny sąsiadów. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego musimy wspinać się na wzgórze i wędrować kilometrami, żeby położyć na jego grobie związane sznurkiem topinambury i ogóreczniki i zapalić świeczkę... A potem jeszcze czekać, aż świeczka się wypali. Stary cmentarz otaczały pola,

nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawiłby otwartego ognia obok wysuszonych już letnim słońcem, chylących się pod ciężarem kłosów łąnow zboża. Nikt prócz nas nie podejmował wypraw na odległe Żalne Wzgórze i wiedziałem, że babcia najchętniej też by z nich zrezygnowała. Podczas cichych dni jedyne, co wywarkiwiała, tonem ostrym i gorzkim jak nalewka na niestrawność, to pretensje do dziadka, że nic załatwić nie umie. I żądania, by przenieść wreszcie jej ojca, niech między swojakami leży. Dziadek Stanisław rozkładał bezradnie ręce, bowiem urzędnicy z gminy co prawda chętnie przyjmowali wędzone kiełbasy i mendle jaj przełożonych gazetą, ale zgody wydać nie chcieli. I tak co roku wstawaliśmy z babcią przed świtem, by przez pół dnia iść do pradziadka Wojtka, który miał pecha umrzeć tuż po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną i został pochowany na niemieckim cmentarzu.

Wędrowaliśmy wśród pól niespiesznie, ale wytrwale, w całkowitym milczeniu. Babcia niosła koszyk z prowiantem, a ja bukiet. Mniej więcej co godzinę siadaliśmy na miedzy i posilaliśmy się zabranymi specjałami, a trzeba przyznać, że na wyprawy na grób swojego ojca babcia zawsze przygotowywała coś wyjątkowo pysznego. Może nie wierzyła już w urzędniczą łaskę i chciała, by miejsce pochówku utrwaliło mi się w pamięci, abym nosił Wojciechowi topinambury i świeczki, gdy jej już zabraknie? Na pewno nie chciała, bym łąził po Żalnym Wzgórzu z pustym żołądkiem, bo mógłbym go napełnić czymkolwiek. Zawsze mnie przed tym przestrzegala, zanim zaczynaliśmy piąć się w górę, do brzoźowego zagajnika, który porósł po wojnie ewangelicki cmentarz. Pamiętaj, mówiła, nie bierz stąd niczego. Nie jedz owoców z krzaków. Najlepiej nie ruszaj i nie dotykaj wcale, wrócimy do domu, upiekę ci placuszki...

Łatwo jej było gadać, a mnie trudno słuchać. W końcu lepsze ulegalki w garści teraz niż placuszki wieczorem. Jednak słuchałem, choć niełatwo mi było. Groby między bladymi pniami brzoź każdego roku coraz mocniej zarastał malinowy chruśniak. Pędy wiły się i gęstniały, aż niemal całkowicie zakryły wszystkie mogiły prócz pradziadkowej. Wielkie, nabrzmiałe czerwona słodczya owoce lśniły między listowiem jak klejnoty, by zgnieć i opaść na ziemię, nieskosztowane przez nikogo. Chyba odziedziczyłem gospodarność i zapobiegliwość po babci Halinie, bo bolało mnie to marnotrawstwo. Jeszcze bardziej bolał i gryzł niezaspokojony apetyt. Pędy ociążałe od malin wyciągały się ku mnie kusząco, na owocach nawet w największy skwar szklily się krople rosy, a może soku, słodszy niż cukier z kredensu, niż cokolwiek na świecie. Chciałem być posłusznym dzieckiem, i czasem, gdy już nie mogłem wytrzymać, uciekałem ścieżką w dół, by u stóp wzgórza budować zamki z kamieni i patyków, dopóki babcia nie skończyła i nie zeszła, by zabrać mnie do domu. Słodki zapach malin ścigał mnie nawet tam i długo potem, poza granicę snu.

W chłodnej sypialni, pod obrazem Ostatniej Wieczerzy śniłem sny lepkie od ich czerwonej słodyczy i nie musiałem już słuchać babci. W moich snach jadłem bez końca i bez wyrzutów sumienia, a krwisty sok spływał mi po brodzie, plamił ubranie i ręce.

Są takie wspomnienia, które zdają się być snem, i to takie było, spowite w powietrze drgające od gorąca nad złotymi włosami dojrzałej pszenicy. Tkwiło mi w pamięci jednocześnie rozmazane i wyraźne, nie do odróżnienia od zmyślenia czy zasłyszanej od kogoś innego historii.

– Kłamiesz, kłamiesz, gówniarzu! – krzyczała babcia Halina. – Spójrz mi w oczy... Kłamiesz!

Szarpała mną we wszystkie strony, kazała pluć na spaloną słońcem trawę na miedzy, wreszcie złapała za przód mojej koszulki i przemocą powlokła w dół, gdzie stała przydrożna kapliczka z figurą bezimiennego świętego o twarzy strawionej przez deszcze i wiatr. Zmusiła, bym klęknął i błagał niebiosą o zmiłowanie nad moją grzeszną duszą. A ja przecież powiedziałem prawdę. Nie zrywałem malin na cmentarzu. Uciekłem bawić się u stóp Żalnego Wzgórza, by mnie zapach nie kusił, a owoce dostałem od dziewczyny, która szła miedzą. Miała żółtą bluzkę i spódnicę zaprasowaną w plisy, i włosy jasne jak kłosa pszenicy, spiętrzone w loki nad czołem i spływające na krągłe, opalone na czerwono ramiona. Uśmiechnęła się i pogładziła mnie chłodną dłonią po policzku... A potem poczęstowała malinami z koszyka. Tyle że byłem najedzony po gardło chlebem z serem i kiełbasą, i babcinym drożdżowcem z agrestem, nabrałem więc dwie garści owoców na potem i schowałem do kieszeni spodni. Dziewczyna nachyliła się i pocałowała mnie ustami czerwonymi jak maliny.

– *Guten Appetit!* – powiedziała i ruszyła dalej, kołysząc biodrami i trzymanym w ręce koszykiem.

Gdy babcia zeszła z cmentarza, owoce zdążyły się zgnieść i puścić czerwony sok, który przesiąknął przez materiał spodni. Ale nie zjadłem ani jednego. Zarzekałem się i przysięgałem babci i bezimiennemu świętemu z kapliczki, że nawet końcem zęba nie nadgryzłem cmentarnych malin, owoców zmarłych. Nie wiem, czy święty dał wiarę. Babcia nie uwierzyła i całą drogę powrotną, wiele kilometrów w górę i w dół po wzgórzach, prowadziła mnie za ucho. Gdy dowlokła mnie na podwórko, na moim ubraniu rozlały się czerwone plamy soku, jakbym został ranny i krwawił. Powtórzyła wszystko dziadkowi,

a dziadek zbladł, zacisnął zęby i zdjął wiszący za drzwiami szeroki skórzany pas.

Pierwszy odszedł dziadek Stanisław. On właściwie nie umarł, zrelacjonowała mi wtedy przez telefon lekko zawstydzonym tonem babcia Halina. On się zatrzymał. Nie chorował, nie zniedołężniał, zachowywał się jak zawsze. Wrócił z sianokosów, powiesił czapkę na kołku, napił się kwaśnego mleka i uciawszy sobie popołudniową drzemkę, już nie wstał. Babcie zgryzł rak. Przyjeżdżałem do szpitala tak często jak mogłem, trzymałem w dłoniach coraz szczuplejszą rękę i słuchałem pretensji, próśb i żądań. Zawsze tych samych. By zebrać sobie owoce z sadu, bo przecież już pora i żal, by się zmarnowały, a w tym mieście to zawsze wszystkiego brakuje.

Kiwałem głową i nie tłumaczyłem, jak bardzo czasy się zmieniły. Że teraz można iść do sklepu i dostać wszystko, czego dusza zapragnie, jeśli człowieka stać. Że można się zachlać i zażreć na śmierć, i że niektórzy z powodzeniem to czynią, na raz lub rozkładając proces na raty. Mnie ta konsumpcyjna orgia rozpoczęta w osiemdziesiątym dziewiątym nie dotyczyła. Otworzyć mogły się granice, otworzyć mogły się polskie sklepy na produkty z całego świata, otwierały się portfele, by to wszystko mieć i gęby, by to, co kupione, zeżreć... Mój żołądek pozostał zaciśnięty jak pięść. Zostało mi to z czasów dzieciństwa, jakbym przystosował się do kryzysowego wiecznego niedoboru i nie mógł przestawić się na czasy dobrobytu i obfitości. Nie pociągały mnie kolorowe opakowania na sklepowych półkach. Jadłem niewiele, rzadko i byle co, zmuszając się, by usiąść do posiłku. Nie czułem głodu...

Aż do momentu, gdy po śmierci babci Haliny pojechałem zabezpieczyć dom i za szybą samochodu mignęła tablica z nazwą L. W moim żołądku obudziła się uśpiona przez lata bestia i zawyla niemal z jakiejś pierwotnej uciechy i pożądania na widok wiejskiego sklepiku. Posłuchałem bez oporów jej zewu. Zatrzymałem auto i wkroczyłem dziarsko do blaszanego baraku, który pełnił w L. funkcje zarówno handlowe, jak i kulturalne. Po chwili upchnąłem do bagażnika cztery wypakowane do granic możliwości reklamówki i wróciłem jeszcze po sześciopak piwa.

Paczkę kabanosów otworzyłem jeszcze za kierownicą. Potem poprawiłem kielbasą i jagodzianką z lukrem, rozparty na ławce na zaniedbanym, zarosniętym podwórzu gospodarstwa dziadków. Zagryzłem kilkoma mirabelkami, krzewy akurat obsypały się owocami, i wkroczyłem wreszcie do cichego, pustego domu.

Do późna w nocy siedziałem w kuchni przy ciężkim, potężnym stole, zastawionym

wszystkim, co przywiozłem ze sklepu, i tym, co się jeszcze w spiżarni nadawało do jedzenia, błogosławione weki babci Haliny. Z tarczy zegara w kredensie uśmiechała się do mnie przykurzona dziewczyna o malinowym uśmiechu. Makatkowe jelonki wyblakły przez lata, ale napis *Guten Appetit!* ciągle był widoczny. Słuchałem radia, jadłem i było mi dobrze jak nigdy.

Rano nawet nie czułem się ociężały, choć lekko zasnęłam. Kupiłem w blaszaku wałkówkę na drogę, oganiając się od wiejskich pijaczków, i ruszyłem na przełaj przez pola ku Żalnemu Wzgórzu. To była wieczna pretensja i ostatnia prośba i żądanie babci Haliny – aby zabrać jej ojca na polski, katolicki cmentarz. Postanowiłem udokumentować na zdjęciach grób i jego okolicę, zanim zacznę suszyć głowy urzędnikom. Babcia chyba się w grobie obróciła, gdybym zamiast pradziadka przez pomyłkę kazał położyć przy niej jakiegoś Hansa...

Miedza wiała się wśród pól, wspinała się na pagórki i spadała w dół, ale ku memu zdziwieniu, na miejsce dotarłem bardzo szybko... Chyba tylko w dziecięcych wspomnieniach droga ciągnęła się w nieskończoność. Czyniłem jednak zadość tradycji i tak jak podczas wypraw z babcią, tak i teraz przysiadłem często na miedzy, by wyciągnąć z plecaka bułkę czy kielbasę i jeść.

Bezimiennego świętego powitałem jak starego znajomego. Nie zmienił się przez lata, porósł tylko bluszczem, który pokonał dystans od sąsiedniego drzewa i wspiał się na kolumnę, na której osadzono figurę. Żalne Wzgórze z kolei było niższe, niż pamiętałem, a zagajnik brzoź na szczycie zestarzał się, wybujał i zgęstniał. Stapałem ostrożnie, bo korzenie popodwazyły płyty nagrobne, przedzierałem się przez splątaną gęstwę malinowych pędów, miejscami skłębionych wyżej niż mój wzrost. Rozgarniałem kolczaste witki na boki, kalecząc dłonie w zagubieniu. Wszystko wyglądało inaczej, niż gdy byłem dzieckiem, i zacząłem poważnie się obawiać, że bez piły lub kosi, którą przerzedziłbym zarośla, nie odnajdę grobu.

Nagle spomiędzy liści spojrzęły na mnie oczy. Rzuciłem się w tył, przestraszony, ale zaraz wybuchnąłem śmiechem. To było zdjęcie. Z owalnej, nagrobnej fotografii patrzyła na mnie czarno-biała dziewczyna. Jasne włosy były spiętrzone nad czołem w grubych lokach i opadały na krągłe ramię. Uśmiechała się kusząco. Odgarnąłem zeschnięte brzoźowe liście z płyty. Greta Jäger. Zmarła, mając szesnaście lat, dwa lata przed wojną... Po prawdzie, to chyba miała szczęście. Wyzwoliciele z Armii Czerwonej nie przepuściliby takiej ślicznotce. Była naprawdę ładna, w taki świeży, słodki sposób. Poczulem ssanie w żołądku. Wyciągnąłem czipsy i piwo.

– Za ciebie, Gretchen. – Uniosłem puszkę w stronę zdjęcia. – Wieczne spoczywanie...

Nie widziałaś tu gdzieś może w krzakach mojego pradziadka?

Gretchen nie odpowiedziała, rzecz jasna. W smętnej ciszy cmentarza rozbrzmiało miarowe chrupanie czipsów miazdżonych moimi szczękami. W towarzystwie martwej Niemki zjadłem jeszcze dwie drożdżówki, poprawiłem pączkiem, czekoladowym batonem i opakowaniem wędzonego boczku. Od tego ostatniego zaczęło mnie suszyć, wypłem więc pozostałe dwa piwa. I to chyba one ostatecznie mnie zmogły. Wyciągnąłem się jak długi obok mogiły Gretchen, wspierając barki o korzeń brzozy, którym drzewo poszukiwało w grobie własnej strawy. Oddałem się błogiemu zmęczeniu i lenistwu sytości.

Zapach malin przyszedł do mnie jak kot. Niby nieśmiało, a jednak nachalnie. Niby przypadkiem, ale prosto do celu. Pozornie bez zainteresowania moim postępowaniem, a jednak domagając się uwagi i reakcji. Słodki i świeży, zmysłowy, kuszący... Otworzyłem oczy. Było już trochę za późno na maliny, ale na zielonym pędzie przy grobie Gretchen tkwił jeden jedyny owoc. Sięgnąłem po niego, odruchowo, by zaspokoić rozbuchany apetyt. Zawahałem się, lecz tylko na chwilę. Nie byłem już dzieckiem. Babcia Halina nie każe mi klęczeć przed kapliczką, a dziadek nie złoł tyłka pasem. Wyrosłem też już dawno z bajek o owocach należących do zmarłych, ziarnku granatu, które zgubiło Persefonę...

Dojrzały owoc odszedł lekko od szypułki. Było coś lubieżnego w sposobie, w jaki się z niej zsunął, by spocząć w mojej dłoni. Wnętrze maliny było wilgotne, zebrał się w nim sok. Wsadziłem do środka czubek języka, rozrywając delikatne tkanki. W ustach rozlała mi się nieziemski słodycz. Przymknąłem oczy. Najpierw spłynęła na mnie rozkosz, chwilę później – sen.

Nie dźwięk mnie obudził, ale bolesne poruszenie w moich własnych trzewiach. Zaniepokojony rozwarłem ciężkie powieki.

Było ciemno, głęboka noc. W mroku białe pnie brzoź i blada twarz stojącej nade mną dziewczyny. Miała jasne włosy spiętrzone w loki nad czołem, żółtą bluzkę opinającą krągłe ramiona i plisowaną spódnicę. W rękę trzymała wiklinowy koszyk, z którego pachniało świeżo i kusząco. Uśmiechała się słodko jak maliny.

– Gretchen...

– *Guten Appetit, mein Schätzchen* – rzekła martwa Niemka.

Kolczaste pędy, które przebiły skórę mojego brzucha i wijąc się, wystrzeliły w powietrze, łąsiły się do jej rąk jak pies.

G N I E W



MULO

Marek Zychla

Pierwszy raz dałem się zastrzelić we śnie, w jednym z tych bzdurnych, o Dzikim Zachodzie. Dostałem w szyję, po czym zapadła ciemność, a raczej wypełniła mnie w ułamku sekundy. Szczęśliwie z odsieczą przybyła jawa. Przebudziłem się, słysząc słowo: *rakl'o*. Poczulem odór regularnie zalewanych piwnic, zaś wskazówkowe wąsy zegarów drgnęły.

Wyrwałem się z podwójnego nieżycia; ze snu, który już w zasadzie pierzchnął i śmierci w nim. Wpatrzony w ciemne ściany myślałem tylko o jednym: zło, to z dzieciństwa, powróciło. Wyżywało się na starych blokach.

Z samolotu biegnę na autobus, a z niego do taksówki. Dopiero w niej mogę odetchnąć, bo nie gonią mnie godziny z rozkładów. Rozpinam kołnierzyk koszuli, prosząc kierowcę, byśmy pokrążyli trochę po centrum. Po kwadransie zaglądamy do osiedli i na przedmieścia, wbrew pozorom błędząc jedynie myślami.

Po dwóch godzinach mam dosyć; płacę. Taksówkarz, zachwycony zarobkiem, daruje sobie zbędne uwagi, wręczając mi wizytówkę wraz z życzeniami udanego pobytu. Opowiada z entuzjazmem o ogromnych przebudowach, jakim poddało się miasto, o nowych supermarketach i stacjach paliw. Niestety, nie mam na to czasu, dlatego przerywam ten monolog jak najcichszym trzaśnięciem drzwiami. Całe Żary, choć jeszcze o tym nie wiedzą, nie mają na to czasu.

Idę, zataczając pętle po osiedlowych podwórkach. Te zmieniły się zdecydowanie najmniej, lecz i im się porządnie dostało. Dojrzały wraz z nami, ustatkowały się, poznały mdławy smak samotności oraz ostry zapach formaldehydu o poranku – lokalny perfum z pobliskiej fabryki kleju.

Przyglądałam się blokom, ich makijażowi w kolorowe pasy i styropianowej nadwadze. Mieszkańcy osiedla snują się chodnikami, tak jak kiedyś wpatrzeni w czubki butów, a pewnie i gdzieś dalej, poniżej podeszew, gdzieś na sklepienie piekła.

A kiedy miałem dziesięć lat, miasto wydawało mi się takie stare, wieczne i zwyczajne. Nie do ruszenia. Rosłem sobie, zbyt wolno jak na własne wymagania, natomiast świat przyglądał się mi tysiącem par szklanych oczu pozbawionych betonowych powiek. Wiedziałem o tym. To dzięki sąsiadom czułem się bezpieczny.

Wystarczyło pozostawać w zasięgu okien – tych mniejszych, od kuchni, lub tych szerokich, dziurawiących plecy bloków, dodatkowo uzbrojonych w balkonowe ostrza. Podwórka przyciągały dzieci, ożywając wraz z ich śmiechem, wraz z tupotem małych stóp wciśniętych w buty po starszym rodzeństwie. Trawniki nadawały się do kopania piłki, zaś wierni kibice, z dożywotnio wykupionymi karnetami parapetów, stawiali się licznie, nie szczędząc gardeł. Śmieci wynoszono w wiaderkach, zaś kotom pozwalano wchodzić do piaskownicy – czego zresztą nie robiły, w obawie przed watahą kundli.

Marka nazywano naszym przywódcą. Każdy go lubił, jakoś tak samorzutnie, jak lubi się piątkowe wieczory czy filmy o UFO. Wyższy od nas, przy tym chudy niemal tak bardzo jak ja. Zwykle cichy, oszczędny w ruchach nie mniej niż w słowach. Wiecznie zamyślony, lecz przy tym pogodny. Chłopak, z którym liczyli się nawet dorośli, łącznie ze starym Turowskim, naszym największym (nie tylko fizycznie) wrogiem.

– Znowu waliliście mu piłką po oknach? – Marek podszedł do mnie i do Grzeška, próbując powstrzymać śmiech. – Powiedział, że wam nogi z tyłków powyrywa. A na twoim miejscu – spojrzał na mnie – unikałbym go przez parę dni.

– Sam zaczął – mruknął Grzesiek, drapiąc się po okazałym brzuchu. – Szedł i darł się, że może dzisiaj zbijemy mu szybę. Jakbyśmy w ścianę nie potrafili trafić.

Marek usiadł przy nas na betonowych schodach klatki. Grzesiek zaczął gwizdać muzykę z serialu o Hansie Klossie i jak zwykle wychodziło mu to fatalnie.

– Jak w domu? – Marek szturchnął mnie w ramię.

Nie chciało mi się o tym gadać, za to Grzechu postanowił mnie w tym zastąpić:

– Widziałem Tępszego wracającego z pracy. – Mówił o moim tacie. – Nawet na dzień dobry nie był w stanie odpowiedzieć.

– Twój zawsze chodzi trzeźwy? – wyręczył mnie Marek.

Ze swojej klatki wyszedł Kong, wsuwając kanapkę. W drugiej ręce niósł łąciatą futbolówkę, którą kopaliśmy już od dwóch lat.

– Pokazać wam taniec brzucha?! – Zabrał się za demonstrację, nie zważając na protesty.

Kong miał na imię Tomek i niczym się nie przejmował. Zawsze wymyślał największe głupoty, przodując w obleśnościach. To on nauczył nas wywijać powieki tak, że oczy wyglądały upiornie. Ze dwa razy większy ode mnie, jednak najmocniej się zaprzyjaźniliśmy. Trzeci z braci, a każdy sprawny jak wielka małpa. Nikt tak jak oni nie wspinał się po podwórkowych latarniach, o akrobacjach na trzepaku nie wspomnę.

Byliśmy zgraną paczką, tak to się wtedy mówiło. Przynajmniej najbardziej zgraną z paczek, w których zdarzyło mi się w życiu przebywać, pomimo że utknęliśmy w pudle z betonu.

– Założę się, że nimi rządysz – rzucił kiedyś do mnie pan Wróbel, właściciel osiedlowego blaszaka. – Takie kurduple mają łby na karkach.

Mylił się, mimo to nie wyprowadzaliśmy go z błędu. Grzesiek z Markiem wiedzieli, że strasznie mi się to podoba, a Kong i tak zwykle wgapiał się w wafelki kokosowe na wagę, zajęty przekręcaniem stalowych prętów oddzielających klientów od lady. Latem kupowaliśmy soczki w woreczkach foliowych, po czym szliśmy na pobliski plac zabaw, który łamał większość wymogów bezpieczeństwa jego dzisiejszych, obłożonych piankami odpowiedników.

Mieliśmy po dziesięć lat i tylko Marek był o rok starszy. Nie zadawaliśmy się zbyt często z dziewczynami. A może to one wołały trzymać się ze sobą? Zdarzało się nam o nich gadać, lecz bez wulgarności czy nazbyt romantycznych wynurzeń, w strachu przed potokiem docinek. Raz jeden ze starszych braci Konga wyciągnął ode mnie podobne wyznanie – na górze za blokiem, która zawsze będzie kojarzyć mi się z późniejszym upokorzeniem. Przyznałem się do zauroczenia pewną Zosią, śliczną Cyganką z klatki obok.

Po godzinie wiedzieli o tym wszyscy, mój cały świat. Pamiętam, jak niczego nieświadomy zbiegłem po schodach (jak zawsze zeskakując z czterech ostatnich stopni), wypadając wprost na zebrany przy ławce tłum kumpli, koleżanek – z drwiącymi uśmiechami na wiele tygodni przyklejonymi do twarzyczek – i na nią, Zosię, stojącą o krok przed tłumem.

Grzesiek krzyknął coś o gorących Cygankach, dał jednak spokój, spoglądając na ogrom mego zawstydzienia.

– Możemy pogadać? – zapytała dziewczyna, podchodząc bliżej, a ja wiedziałem, że moja podwórkowa przyszłość właśnie się kończy, że jestem spalony i do czasów liceum nie mam po co wychodzić z domu.

Zamknęliśmy się na klatce schodowej, gdzie policzki gasiłem chłodem. Wtedy Zosia zapytała mnie tak prosto z mostu, najzwyczajniej, choć wolałbym, żeby milczała na wieki:

– To prawda, że się we mnie zakochałeś?

Chyba coś odburknąłem, z pewnością wyjątkowo głupiego. Skłamałem, że mama woła mnie na obiad i uciekłem, pożerając butami schodki. Do dzisiaj słyszę echo tamtych uderzeń serca.

Przez następne dwa dni nie wyściubiłem nosa z domu, szczęśliwy, że mieliśmy weekend. Łudziłem się, iż taki szmat czasu – dwa dni dla dziesięciolatka to niemal wieczność – uspokoi prześmiewcze nastroje i odzyskam przyjaciół. Wgapiąłem się zza firanki w Marka, Grześka czy Konga przesiadujących na naszej ulubionej ławce pod klatką. O Zosi starałem się nie myśleć. Głupio mi było jak jeszcze nigdy wcześniej i tylko parę razy później, w tych momentach, kiedy psujesz coś w życiach mniej lub bardziej bliskich ci ludzi.

Gapiałem się, wzdychałem, najwidoczniej wywołując tym dziewczynę z mieszkaniowego lasu. Stanęła na dole, wraz z rodzicami oraz dwójką młodszych braci, tuż przy jarzębinie na wylocie podwórka; aż musiałem otworzyć okno i niebezpiecznie wychylić się. Zaryzykowałem dekonspirację, aby przepłoszyć najgorsze obawy; plotki, o których sobie przypomniałem.

Zosia się wyprowadza!, pomyślałem i w tym samym momencie wtoczyła się na podwórko ciężarówka, pokonała trawniki, okrążyła śmietnikową wiatę, by zatrzymać się z sykiem na samym środku betonowego kotła; tylnym kołem przytulona do piaskownicy.

Wystrzeliłem z mieszkania, nie przejmując się zamykaniem okna. Wybiegając z klatki, z trudem zmieściłem się na zakręcie.

– Wyjeżdża... cie – wydukałem, podchodząc do Zosi. – Wyprowadzacie się?

Uśmiechnęła się trochę smutno. Pokiwała głową. Wpatrywałem się w nią, w uroczą sukienkę, zapinaną z boku na dziesiątki guzików; w te czarne, uwięzione w kucyku włosy i splecione palcami dłonie.

Tymczasem jacyś mężczyźni wzięli się za noszenie mebli, karmiąc ciężarówkę kuchennymi szafkami.

– Gdzie teraz będziecie mieszkać? – zagailem.

– Gdzieś na Teligi – odrzekła, a ja skojarzyłem tę nazwę z jednym z najdalszych osiedli.

– Tam, gdzie poczta?

– Dalej...

Jej ojciec przeszedł obok nas. Zażartował sobie ze mnie, rzucając jakąś uwagę o kochliwości. Wgapiłem się w czubki kapci i wtedy mnie przytuliła, żegnając się w ten kobiecy, wzruszający sposób, kiedy ja stałem jak ten kołek w tym jednym miejscu, aż zniknęli całą rodziną.

Straszny był ze mnie tchórz.

Do momentu, kiedy zastrzelono mnie we śnie, miałem nadzieję, że już nigdy nie będę musiał przechadzać się po tym osiedlu. Powroty po latach brzmią cudnie w smętnych piosenkach. Smutniejemy w konfrontacji z rzeczywistością, która być może i bywa okrutna, jednakże tylko dla wypielegnowanych wspomnień.

Snuję się jak cień siebie samego sprzed lat. Zamknięto osiedlowy blaszak, by jego miejsce zajął supermarket – jak on się tu wcisnął? Nie ma też pewnie pana Wróbla, który nie potrzebował żadnego szyldu. Nikt nie stoi z piwką pod tym cholerstwem; wokół widzę rozświetlone apteki i butiki, gdzie wiecznie uśmiechnięci, choć piekielnie znudzeni pracownicy częstują biedaków kredytami. Zaglądam do środka przez obklejone plakatami wystawy, do tych wewnątrz dopieszczonych do granic przyzwoitości, którą wypadałoby zachować, spoglądając na resztę osiedla.

Nie mogę odpędzić dziwnego uczucia obcości. Miasto, pomijając podkolorowaną powłokę, nie zmieniło się aż tak bardzo, za to ja już tutaj nie pasuję, jakbym nażarł się tej światowości i nie tylko fizycznie wyrwał z tego miejsca, które na zawsze miało być moim domem. Niewykluczone, iż kiedy przyplywa noc, gdy Żary toną w mroku, bieda w parze z alkoholem ściąga na mieszkańców koszmary następnego dnia, przez co nie potrafią się wyrwać z tej katatonii nieszczęść przyprawionych przygnębieniem. Na wschodzie bez zmian, jak to mówią... Nie, nieprawda. Nikt tak nie mówi. Zbyt wielki to banał.

Potykam się o jedną z płytek chodnikowych, zły na siebie za nieuwagę, na którą nie mogę sobie pozwolić. Nie upadam jednak, cudem łapiąc równowagę, a wraz z nią kilka szybszych oddechów.

Skrótem (wydeptaną pośrodku trawnika ścieżkę pokryto kostką brukową) skręcam w swoje podwórko, przybliżając się do starego bloku, również z barwnymi tasiemkami wiązany na styropianie. Wchodzę w ten betonowy mikroświat, na podwórko opasane

kwartetem ścian: dwóch długich, a dwóch raczej krępych, każda z inną liczbą klatek, lecz z równie zaawansowanym trądzikiem okien.

Wiata śmietnikowa stoi w tym samym miejscu (wbrew modzie na zarost ogolona z krzaków). Całość przebudowano, wbito w cegły stalowe pręty, osiatkowano i zamknięto bramką. Śmieci mogą czuć się bezpieczne.

Trzepak – jedyny pewnik mojego dzieciństwa; ten punkt obserwacyjno-rekreacyjny z elementami użytkowymi – przesunięto! Niby nic, zaledwie o kilka metrów bliżej piaskownicy, mimo to naruszono świętość! Wściekam się gdzieś w środku, klnąc pod nosem.

– Psia mać, zawsze muszą się przypieprzyć.

Jarzębina pochyła się nad chodnikiem, wciąż trochę niższa od bloków. Siadam na nowej ławce, w nieszczelnym cieniu jej tysięcy listków i czekam. Nie słyszę dzieci, nie widzę psów, nie czuję zapachu trawy, lecz coś się na pewno wydarzy.

– Dasz radę, Piotrek. – Tomek zwany Kongiem ma ze mnie ubaw. – To przecież gówniarz.

– Duży gówniarz – mruknąłem. – Do tego rudy.

– Musisz – wtrącił się Grzesiek siedzący na oparciu ławki. – Inaczej nie da ci spokoju.

Rozmawialiśmy o dzieciaku mieszkającym nade mną. O ośmiolatku, który rósł szybciej od pożerającego kanapki Tomka. Najwidoczniej starał się dołączyć do naszej paczki, wybierając sobie dość nieciekawą, przynajmniej dla mnie, metodę. Próbował zająć moje miejsce... siłą.

– Krzychu jest dobry – zachwycił się Kong. – Zjechał BMXem po schodach z czwartego piętra!

– I zniszczył rower – prychnął Marek. – Wszyscy pomagaliśmy mu go później naprawiać. Bohater w sam raz dla ciebie, przygłupie.

Już następnego dnia doszło do konfrontacji z wrogiem, w dodatku ucieczka nie wchodziła w grę, z powodu siedzącej pod jedną z klatek grupki dziewcząt. Odbijałem piłkę o wiatę śmietnikową, czekając na kumpli. Ćwiczyłem podkręcanie, gdy zza wiaty wynurzył się dryblas z tym debilnym półuśmiechem na twarzy. Zatrzymał się przy trzepaku, po czym zaczął się na nim wieszać.

– Czego? – zaszczyciłem go tym słowem. – Chcesz dostać?

Chciał, przynajmniej na to wyglądało, bo roześmiał się bezpodstawnie. Ten rechot upokarzający, przepojony pewnością siebie, poodbijał się od okien, by spłynąć gniewem. Zamachnąłem się, zatrzymując dłoń zaledwie o parę centymetrów od jego policzka. Chyba nie spodziewał się, że zaatakuję. Stał skulony, z rękoma oderwanymi i zastygniętymi w połowie drogi od trzepaka do zagrożonej twarzy.

Ty się boisz, pomyślałem, szepcząc tak, by tylko on usłyszał:

– Następnym razem zaboli.

Odburknął coś i odmaszerował z zaczerwienionymi policzkami, żegnany parsknięciami dziewczyn oraz moim zdumionym wzrokiem. Wlepiąłem oczy w szerokie plecy chłopca, który był mi teraz bliższy niż ktokolwiek inny.

Przez następne dni całe podwórko huczało o mojej bojowości, robiąc z niedokończonego zamachnięcia wielorundową potyczkę z wielokrotnym nokautem.

W piwnicach pachniało dosłownie wszystkim, czyli tym, co w nich składowano. Za grubymi deskami przystrojonymi w solidne kłódki, tuż za umownym progiem – w pierwszej linii szurczego frontu – trzymaliśmy rowery, trochę przesunięte w głąb, tak żeby nikt nie poprzecinał opon czy nie powykręcał wentyli. W starych meblach lub na rachitycznych, przeżartych wilgocią półkach hibernowały słoiki, zaś w nich przetwory z owoców przytarganych wprost z ogródków działkowych.

Do zabawy służyły nam piwnice mojego bloku, lecz tylko po godzinach otwarcia magła (w tym naprzeciwko urzędowali heroiniści, z wózkarni robiąc swój klub). Znałem te podziemia lepiej niż własną kieszeń pełną drobiazgów, w których nikomu nie radziłbym grzebać. Znikałem tam podczas zabaw w wykopywanego. Stałem, oparty o ceglaną ścianę, wstrzymując oddech i zaciskając powieki, tak aby białka oczu nie zdradziły mojej kryjówki. Pamiętam dzień, w którym szukający już się ode mnie oddalał, przez co nadszedł czas na sprinterskie popisy.

Nie mogłem jednak odkleić się od ściany.

Co jest?, pomyślałem, starając się krzyknąć, jednak z ust nie wylatywały słowa.

– *Taki młodziutki, a usłyszał.* – Niskie dźwięki rozlały się wokół mnie, jakby każda z cegieł wypacała je wraz z chłodem. – *Biedny, zagubiony rakl'o.*

Przestraszyłem się tak strasznie, że zachciałem być odnaleziony.

– *Mogę ci pomóc, rakl'-eja! Sprawię, że to ciebie wszyscy zaczną się bać. Bohaterze.*

Słoiki najbliższych klitek zaczęły uderzać o siebie. Wtórowały im dzwonki rowerowe i kłódki. Trzaskały nieliczne okienka.

– *Będę tu na ciebie czekać.* – Po tych słowach zniknęły kałuże mroku. Wybiegłem jak strzała, pierwszy raz mając szansę wygrać z szukającym. Koledzy stali, gotowi do ucieczki, ja jednak przeskoczyłem piłkę, by ukryć się w najbliższych krzakach.

Ponownie zwyciężył strach. Potwornie chciało mi się płakać.

W nocy nie mogłem zasnąć. Lęk późno dał za wygraną. Zdrowy rozsądek przegonił go, zasłaniając się urojeniami. Wydarzenia sprzed kilku godzin tłumaczyłem sobie wybujałą wyobraźnią, zmęczeniem i głodem. Przed kumplami obroniłem się opowieścią o gigantycznym szczurze. W trakcie zabaw trafialiśmy na wyrośnięte monstra.

– *Przysnąłeś* – mruknąłem do siebie, przewracając się na ulubiony, lewy bok. Jedną dłoń władowałem pod ucho, drugą pomiędzy nogi. Podwinąłem kołdrę, robiąc z niej pierzasty kokon. Zwinąłem się w kłębek. Uspokoilem.

Zacząłem snuć standardowe marzenia, preludia do spokojnego snu. Wyobrażałem sobie, że łóżko jest statkiem kosmicznym, którym dryfuję po bezkresnej czerni, przyglądając się zaskoczonym gwiazdom, wielobarwnym planetom i dobrze wypieczonym księżycom. Jest ciepło, bezpiecznie, bezludnie, leniwie.

Bliski zaśnięcia przerzuciłem się na drugi z uspokajaczy, na wizje o bohaterstwie. Snułem komiksowe scenariusze ze sobą w roli głównej. O supermocach i mięśniach z hartowanej w zwycięskich pojedynkach stali. Peleryny, maski i symbole pasowały do mnie, a w nadludzkich zdolnościach mogłem przebierać jak w codziennych lękach.

Bohater, pomyślałem i w tej samej sekundzie nadleciały nad kołdrę słowa szeptane przez tysiące cegieł.

– *Staniesz się nim.* – Zawisły nad łóżkiem i wraz ze mną odpłynęły do najpaskudniejszych ze snów, takich, kiedy to wiesz, że śniesz, niemniej nie działają żadne ze znanych ci sztuczek na przebudzenie. Zaciskasz powieki, krzyczysz, potrząsasz głową, uciekasz, zanurzając się mocniej. Nie masz nad niczym kontroli.

– *Przyjdź do mnie* – słyszałem zza stad potworów. – *Będziesz odważny. Obiecuję.*

Obudziłem się wyczerpany jak nigdy dotąd. Drżałem z chłodu, który zawsze przynosi ze sobą panika. Coś błyszczało na granicy wzroku, przedzierając się przez mgłę zaspania lub

będąc częścią tej mgły. Powieki opadły i już miałem ponownie zasnąć, gdy ta myśl – o tym błysku, tej jasności nieostrej – zmusiła mnie raz jeszcze do kontrolnego otworzenia oczu.

Wtedy zamarłem. To, co widziałem, utknęło mi na zawsze w pamięci. Byłem dzieckiem, nie piłem alkoholu, nie paliłem papierosów, a narkotyki widziałem tylko w amerykańskich filmach (z wyjątkiem kompotu w strzykawkach starszych chłopaków).

Przede mną, w nogach łóżka, stała jasna postać, która nie rozjaśniała pokoju, która świeciła inaczej, bo do środka.

Pamiętam strach, który przebił poprzednie, włącznie z tym piwnicznym. Nie mogłem się poruszyć, długo wpatrując się w to przerażające, choć wcale nie potworne zjawisko. Nie wiem, ile czasu minęło, gdy wreszcie drgnąłem. Postać pokręciła głową, odpływając w stronę ściany. Zniknęła za tapetą.

Z czasem nabrałem do duchów dystansu, przeżywając rzeczy, przy których świetlista postać jawiła mi się w niemalże anielskich barwach.

Obiad w tamtych czasach składał się z dwóch dań, sporadycznie nagradzanych deserem. Zupę odgrzewałem sam i jadłem ją zaraz po szkole. Na drugie danie przychodził czas gdzieś po trzeciej, kiedy rodzice wracali po przepisowych ośmiu godzinach pracy. Tata się zwykle spóźniał, dręczony innym głodem czy raczej pragnieniem.

Tym razem mama usmażyła schabowe, których nie cierpiałem, bo zazwyczaj przy brzegach ciągnęły się jakieś żyłaste paskudztwa. Do końca życia nie zapomnę tego jednego zdania: „Zjedz chociaż kotlecika” – gdy wolałbym ziemniaki.

Tata pojawił się tego dnia pod koniec obiadu, czyli w miarę szybko i w zaskakująco niezłym stanie.

– Sąsiad nie żyje. Wtorkiewicz, ten pijaczek z dołu.

– Młody chłop. – Coś takiego powiedziała mama, o człowieku po pięćdziesiątce.

Długo o tym rozmawiali, tymczasem ja myślałem o świetlistym niby-cieniu ze środka nocy. Domyślałem się, przed czym sąsiad chciał mnie przestrzec.

– Nic mi nie będzie – modliłem się do niego wieczorem, wciśnięty w poduszkę. – Nie będę gadał z tym ceglastym mrokiem, panie Wtorkiewicz.

Piwnicy nie da się omijać przez wieki. Nie dało się nawet przez tydzień.

Zejście po słoiki przypominało wyprawę na dno piekieł. Drzwi skrzypnęły, wpuszczając do środka trochę światła. Ręką wymacałem kontakt. To była najstraszniejsza z czynności, której towarzyszyła myśl, że z drugiej strony sięga po moją dłoń inna, szponiasta.

Wcisnąłem pstryczek. Jasność rozlała się po suficie, z trudem docierając do podłóg.

Zszedłem z duszą na ramieniu oraz z wiaderkiem w ręku. Klucze dzwoniły mi w kieszeni, zęby pół metra wyżej. Nie spojrzałem nawet w stronę najmroczniejszego z zakątków, tylko szybko pobiegłem w stronę naszej klitki. Zapalka zaraziła knot gorączką, przez co zrobiło się przytulniej, cieplej i trochę mniej strasznie.

Wyciągnąłem rower, po czym oparłem go o jedną ze ścian. Wszedłem do środka, falującym cieniem kładąc się na półkach. Sięgnąłem po kompot, ogórki i dżem. Puste słoiki zostawiłem na wymianę. Poruszałem się szybko, trochę niepewnie, mimo to udało mi się niczego nie stłuc. Rower wrócił na swoje miejsce, kłódka z powrotem stanęła w jego obronie. Świeczka z oplutym knotem usnęła w pościeli z kurzu.

– *Wrócileś, rakl'-eja!?* – usłyszałem gdzieś spod podłogi.

Uciekłem. Porzuciłem wiaderko, a wraz z nim nadzieję na spokojne życie.

Ile minęło lat? Ile świąt, w ilu różnych miejscach? Przyglądam się klatce schodowej, której nie potrafię nazwać swoją. Wstawiono oszklone drzwi, beton przykryto brunatnymi płytkami, zaś całość odmalowano (dostało się nawet daszkowi, na który wchodziliśmy po piorunochronie i rurach; odmłodził, szczuplejąc od ciemnobrązowej farby).

– Jesteś. – W drzwiach staje rudowłosa gigant.

– Jestem. – Ruszam mu naprzeciw. – Opowiadaj.

Ściskamy sobie dłonie, klepiemy po silnych ramionach.

– Żyje się – wzdycha, przyglądając mi się uważnie. – Co wy tam wciągacie na takie mięśnie?

– Kreatynę i buster tlenu azotu – rzucam. – Takie w zastrzykach...

Ławki uzupełniono o brakujące deski. Siadamy tak jak kiedyś, na oparciach.

– I jak w tej Anglii, Irlandii, Francji i elegancji? – pyta przyjaciel.

– Jakoś leci, tylko nie da się uciec od własnego cienia.

– I cienia bloków.

– Szczęka – zaczynam, nazywając go nową ksywką. – Zaczęło się?

Kuli się trochę w sobie. Przez moment przypomina mi tego ośmiolatka spod trzepaka.

– Wśród nich był mój syn – wzdycha. – Nażarli się sporo strachu.

– Czy ktoś z nich...? – pytam, bojąc się dokończyć.

– Jeszcze nie, Koniku.

– Dawno nikt mnie tak nie nazywał.

– A jak teraz mówią?

– Peter.

Spogląda na mnie tym swoim wzrokiem.

– Strasznie pedalsko – stwierdza.

Śmiejemy się aż do łez. Wyciągam i podaję mu woreczek. Chowa w milczeniu.

Uśmiechy spływają z naszych twarzy w chodnikowe płytki.

– Nie wrócę tam! – krzychałem do mamy, mimo że ta starała się mnie uspokoić.

– Nie ma duchów, synku – powtarzała, zaklinając prawdę – a ja nie mam słoików.

Nie podobało mi się to, że żartuje, kiedy ja staram się nie rozpląkać.

– Duchy są – burknąłem. – Widziałem sąsiada.

– To o to chodzi. – Kucnęła przy mnie. – Słyszałeś, jak z tatą rozmawialiśmy?

– Nie jestem już dzieckiem – dodaję dla zasady.

– Jesteś, kochanie. I nie ma w tym nic złego.

Po długiej rozmowie razem zeszedliśmy po słoiki. Wiedziałem, że przy mamie ani cegły, ani podłoga się nie odezwą. Wiaderko stało tam, gdzie je zostawiłem. Puste.

– Złodziejstwo – westchnęła mama, otwierając piwnicę.

Pomogłem jej wystawić rower.

– Czasami strach ma wielkie oczy – dodała, gdy wspinaliśmy się po klatkowych schodach.

Jak denka od słoików, pomyślałem.

Zakluczyliśmy za sobą drzwi.

– Co to jest rakl'o? – zapytałem Marka.

Siedzieliśmy na ulubionej z ławek, wiatr przygrywał jesienne klimaty.

– Nie wiem. Jakiś piłkarz?

– Gdzie to usłyszałeś, chłopcze?! – Turowski wychylił się z okna. Wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż zwykle. – No mówię do ciebie! Odpowiadaj!

– Idziemy – szepnął Marek. Podnieśliśmy się z ławki.

Sąsiad w dalszym ciągu coś krzyczał, a ja wahałem się, napędzany strachem. Wybrałem mniejsze zło.

– Pogadam z nim – powiedziałem. Marek wzruszył ramionami i odszedł.

Turowski wrzasnął, że schodzi. Wróciłem na ławkę. Wkrótce w drzwiach od klatki schodowej stanął zniechęcony sąsiad.

– Nie zleje mnie pan za piłkę? – spytałem, gotując się do ucieczki. Nigdy jeszcze nie pozwoliłem mu podejść tak blisko. Machnął ręką, co mogło znaczyć w zasadzie wszystko.

– Gdzie to słyszałeś, synu?

Wykręcam się telewizją, aczkolwiek niespecjalnie mi to wychodziło.

– Cygański kochaś powinien więcej wiedzieć. – Wielki, łysy i niebezpieczny Turowski usiadł obok mnie. Żaden dorosły nigdy jeszcze do mnie tak nie mówił. Kompletnie nie wiedziałem jak zareagować.

– No co?! – wyrzucił z siebie. – Nawet ja słyszałem o tej miłości.

Jego śmiech przypominał kaszel.

– Parę lat temu zapytałeś mnie, dlaczego nie mam żony, pamiętasz?

Nie pamiętałem.

– Strasznie wścibski z ciebie gówniarz. Pasujesz do tej cyganerii.

– Chyba już pójdę – wydukałem przeproszająco.

– Siedź. Nie waż się ruszyć, kochasiu.

Posłuchałem.

– Rakl'o to chłopiec. W języku brudasów.

Milczę. Czekam na coś więcej.

– Gdzie to słyszałeś? – Turowski nachylił się nade mną. Pachniał wodą kolońską i mydłem. – To ważne.

– Nie zrozumie pan – zdecydowałem się na szczerość. – Nawet mama mi nie uwierzyła.

Sąsiad pokiwał głową. Wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot. Zwykły woreczek z ciemnego materiału, zawiązywany u góry czarnym sznurkiem.

– Włóż do niego największe skarby i noś zawsze przy sobie. – Po tych słowach złapał mnie za ucho i zaczął wykręcać. – A jak mi jeszcze kiedyś będziesz kopał piłką po oknach, to zatłukę.

Jęczę z bólu. Turowski odpuścił w momencie, w którym byłem gotowy krzyczeć.

– Unikaj brudnych świń – rzucił na odchodne.

Przyłożyłem dłoń do rozgrzanego ucha. Ze łzami w oczach podreptałem do swojej klatki. Nie spojrzałem nawet w stronę piwnicy.

Udawałem, że nie słyszę nawoływań.

– *Większość dobrych ludzi to ludzie źli, tylko z wyrzutami sumienia* – usłyszałem gdzieś na granicy jawy i snu. – *Nie daj się im omamić, rakl'-eja!*

Obudziłem się. Wstrząsnęły mną dreszcze, choć kaloryfer jak zwykle dawał z siebie dwieście procent normy. Spod poduszki wyciągnąłem woreczek od Turowskiego i długo zastanawiałem się nad tym, co do niego włożyć, a także jak coś takiego mogłoby mi pomóc. Nie miałem prawdziwych skarbów, no może oprócz tego jednego, od Zosi, po który sięgnąłem do szuflady biurka. Spinka do włosów, którą zgubiła kiedyś, grając z koleżankami w gumę, a której nigdy nie odważyłem się jej oddać, ląduje w płóciennym mieszkku. Dorzuciłem jeszcze zasuszoną czterolistną koniczynkę, najładniejszą buteleczkę po zastrzykach, żołnierzyka bez nogi, wiążąc całość czarnym sznurkiem.

– *Widzę, że już się mnie boją.* – Piwniczny głos dotarł do mnie, choć przecież mieszkałem na trzecim piętrze. – *Turowski naczytał się głupot. Zatrzymaj jednak to bajero. Może nam się przydać.*

– Kim jesteś? – szepnąłem z braku odwagi na krzyk.

– *Zabierz mnie do bloku obok. Zabierz, a wszystkiego się dowiesz. Obiecuj.*

Spojrzałem raz jeszcze na woreczek, na ścianę – w nadziei, że powróci świetlista postać i wybawi mnie z tych opresji.

– Boję się – przyznałem.

– *To zamknij oczy, rakl'-eja.*

Nie chciałem, mimo to wreszcie mrugnąłem. I to wystarczyło.

Stałem w piwnicy, nie czując ani strachu, ani stęchlizny. Nie sam, chociaż nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nie śmierdziało, nie pachniało, nie było mi ciepło czy zimno, w zasadzie moja obecność ograniczyła się tylko do wzroku.

– Nie zrobiłem nic złego. – Jeden z mężczyzn tłumaczył się przed innymi. – Dajcie mi, panowie, spokój.

– Niewinny Cygan – zaśmiał się ktoś, dobrze mi znanym głosem.

– Turowski – szepnąłem, podchodząc bliżej.

Wyglądał inaczej, młodziej. Na głowie sterczały mu jeszcze resztki włosów i tylko w oczach tliła się ta sama złość.

Dwóch kolegów wtórowało Turowskiemu śmiechem.

– Jeśli to jakiś problem, to zdemontuję kratę – odezwał się Cygan. – Chciałem tylko zagospodarować pustą przestrzeń.

– Cwaniaczek – ryknął jeden z mężczyzn, którego przed laty widywałem, pijącego moim tatą piwo pod blaszakiem. – Brudas.

– Gospodarny – dodał od razu drugi, w którym rozpoznałem zmarłego sąsiada.

Wydarzenia od tej pory potoczyły się błyskawicznie. Cygan, pchnięty kilka razy, oddał. Znokautował stojącego najbliżej napastnika i rzucił się na głównego wroga.

Wtedy w dłoni Turowskiego coś błysnęło na przekór piwnicznym ciemnościom.

– Nie! – krzyknąłem, niesłyszany.

Ostrze rozcięło mężczyźnie ramię. Krew spłynęła w rękaw bluzy.

– Co wy robicie? Tak nie można – powtarzał Cygan.

Turowski podszedł bliżej, by potężnym uderzeniem pozbawić go przytomności.

– Wtorkiewicz, przynieś linę – zarządził.

– Załatwiłeś rumuńskiego fiuta, Wiechu! – Podniósł się drugi z mężczyzn. – Nieźle mi przypierdolił.

Przez następny kwadrans przyglądałem się, jak krępują, kneblują i unieruchamiają ofiarę. Oprócz liny użyli kabli oraz szmat, a i parę drapiących gwoździami desek zamknęli w kokonie piwnicznych śmieci. Otworzyli jedną z klitek, wrzucając tam tę płataninę z mężczyzną w środku.

– Będzie śmierdzieć. – Wtorkiewicz pokiwał głową.

– Gówno tam będzie – warknął Turowski. – Zdechnie w ciągu godziny. Rano go wywieziemy. Czekam na was o piątej.

– W niedzielę? – zamarudził drugi z mężczyzn.

– Nawet mnie teraz nie ... – Przywódca nie dokończył. Usłyszeliśmy czyjeś kroki.

Mój ojciec schodził chwiejnym krokiem, z wiaderkiem objającym się od ścian i jego kolan.

– Kogo widzę?! – Turowski wpadł w udawany zachwyty. – Napijesz się z nami, Juleczku? Co się będziesz po piwnicy pałętał jak szczur jakiś.

Tata kiwnął energicznie głową. Wybelkotał coś, lecz z pewnością nikt go nie zrozumiał. Skupił się. Wysilek poruszał zmarszczkami jego twarzy.

– Zzisiaj somoje mieniny! – ryknął i wszyscy się zaśmiali. – Sstawiam!

Tata niczego nie zauważył, choć zdawało mi się, że spoglądał na mnie. Pozbył się wątpliwości kolejnym z energicznych potrząśnięć głowy. Wtorkiewicz zamknął kłódkę. Ruszyli schodkami na powierzchnię osiedla Moniuszki.

– Leżałem tam, czułem chłód i dławilem się własną krwią. Nie mogłem złapać oddechu. Strasznie się bałem, wymiotowałem i... – Obrazy rozmywają się. Słyszę tylko ten głos. – Przepęlniał mnie gniew, niemniej taki czysty, dodający sił duszy, gdy z ciałem już czas się pożegnać. Nie unosiłem się nigdzie, nie podążyłem w stronę żadnego ze światel, nie zasypiałem, nie odpływałem, nie odcinałem się od tego bólu. Zapadałem się za to. Rozlewałem, wsiąkając w cieplejszy ode mnie beton. Umierałem, nie tylko z tęsknoty.

Pamiętam ich miny o poranku. Skacowane ryje nalane świadomością, która przyszła wraz z otrzeźwieniem, prosząc o serię klinów. Szukali mnie, tylko nie mogli mnie dostrzec. Wszędzie, po całej piwnicy, w klitkach, walały się kable, deski i liny – te same, którymi mnie powięzali. I widziałem ich na wylot. Całe te upaprane dusze. I był z nimi ktoś jeszcze albo coś, co dopiero poczułem. Niby cień, niby odcisk paluchów zła. Cholerstwo potężniejsze od każdego z nas. Od żywych i od umarłych.

I z każdą tragiczną śmiercią to paskudztwo rośnie w siłę.

– Kto coś nawywijał? – pytam Szczękę.

– Grubsza sprawa, Konik. Staremu Standerze odwaliło, przez co został wdowcem. Znaczy nie na długo, bo i siebie na finiszu kropnął.

Chowam twarz w dłoniach. Nie chce mi się wierzyć, że zło miało aż tyle szczęścia.

– To załatwi Cygana – wzdycham. – To wylezie lub już wylazło.

Dobrze, że mamy niedzielę, pomyślałem, bo nie byłbym w stanie iść do szkoły.

– Co oni panu zrobili? – zapytałem najciszej, jak umiałem. – I czego pan ode mnie chce? Jestem tylko dzieckiem.

– *Wiem, rakl'-eja. Jesteś dzieckiem i nigdy bym cię o to nie poprosił, gdybym nie musiał. Nie żyję od wielu lat, za to przyglądam się mieszkańcom bloku. Zagaduję ich, zaczepiam, nawiedzam w snach i nigdy żaden z nich nie odpowiedział. Nawet za życia nie chcieli mnie widzieć.*

– To czemu ja pana słyszę?

– *Nie wiem. Może to twoja niewinność, dobroć? Może i wyobraźnia? Może chodzi o strach?*

– Dlaczego to zrobili?

– *Bo mogli. Ludzie robią wiele złych rzeczy z tego powodu.*

– Bo był pan Cyganem?

– *Tak i nie. Nieważne. Sąsiedzi popili, poczuli się sfrustrowani, źli, zmęczeni życiem, przestraszeni, zazdrośni, dumni, a pewnie i o wiele więcej. Gniew ma wiele imion. Najgorsze, że nie oni są naszym największym wrogiem. W piwnicy punktowca Turowskiego zagnieździło się czyste zło i rośnie w siłę. Nie potrafię się do niego dostać, a w betonie zdołałbym rozwinąć skrzydła. Zdołałbym go powstrzymać. Nie mogę jednak stanąć na dzielącej nasze bloki ziemi. To paskudztwo nie chce mnie u siebie widzieć.*

Mama weszła do pokoju, wyraźnie zaniepokojona. Zapachniało jajecznicą.

– W porządku? – spytała. – Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz.

– Modliłem się – palnąłem pierwszą myśl, jaka przyszła mi do głowy. – Pani katechetka kazała. Zadanie domowe.

Mama zaniemówiła, a ja próbowałem się nie roześmiać, tym bardziej, że słyszałem rechot piwnicznego towarzysza.

– Skończę robić śniadanie. – Najciszej w świecie zamknęła za sobą drzwi.

– Jak mam do pana mówić? – szepnąłem. – I jak mogę pomóc?

– *Mów do mnie, a jak, to już nie ma znaczenia. Zniosę nawet Cygana. – Znowu się roześmiał. – Pomóż mi wymyślić sposób, żeby się dostać do sąsiedniego bloku, nie dotykając skażonej ziemi. Deski, stal, beton, sznur z naszych piwnic są mi bliskie, dzięki sąsiedzkiej nieżyczliwości. Ziemią mnie nie przysypali, niestety. Masz świeży umysł, to na coś wpadniesz.*

– Dlaczego nie może pan dotknąć ziemi? Musiało być jej trochę w piwnicy.

– *Nie tej trawiastej, nie tej z głębszych warstw. Poza tym zło wsiąka nawet w beton, w człowieka, w kamień. Wszędzie odciska swoje piętno. Boi się mnie i nie wchodzi do naszych piwnic, co w sumie jest całkiem zabawne – śmieje się – bo właśnie mnie najbardziej przeraża. W bloku naprzeciwko rozgościł się niczym w piekle. Szkoda mi chłopaków z zagrypionego klubu...*

– Zagrypionego?

– *Nieważne* – mruknął Cygan. – *Wpadaj na pomysł i nie dręcz się niczym innym.*

– Już wpadłem – powiedziałem, uciekając na śniadanie.

Do pokoju wróciłem dopiero wieczorem. Przedstawiłem Cyganowi mój plan ze szczegółami drobniejszymi od piwnicznego kurzu. Długo milczał. Wiedziałem, że jest pod wrażeniem, a biedna mama, słysząc te ciągłe szepty, pewnie zaczęła się martwić, że zostanę ministrantem.

– Z czym mamy do czynienia? – pyta Szczęka, podchodząc wraz ze mną do punktowca. – Dowiedziałeś się czegoś na emigracji?

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Prosiłeś mnie o coś przed laty i dotrzymałem słowa. Wysyłałem do ciebie listy. Z czasem przeszliśmy na maile. Należą mi się wyjaśnienia.

– Wciągnąłeś zbyt dużo amerykańskich filmów. – Zaśmiałem się. – Prosisz, a będzie ci dane. Pamiętasz to drzewo, które przewrócił... wiatr?

– Wielką topolę, co pieprznięła na pół podwórka? Ta, co prawie nie miała korzeni?

– Tak. – Kiwnąłem głową. – Nie upadła wcale przez wiatr. Taka bardziej przyczyna niż skutek.

Spojrzałem na niego, nie potrafiąc powstrzymać się od śmiechu. Dołączył do mnie. Pewnie domyślił się, jak głupio wygląda. Opowiedziałem mu o Cyganie dopiero, gdy się uspokoił. Uzupełniłem historię sprzed lat o fragmenty, w których nie brał udziału i nie mógł nic o nich wiedzieć.

– Miałem już jedenaście lat i...

...jesień epatowała jesienią, a nie konkubinatem zimy z latem. Niewidzialny dziób się Cyganowi nie zamykał, jakby chciał nadrobić lata spędzone w piwnicznej samotności.

– *A jak coś ci się stanie?* – pytał. – *A jak nie doskoczysz? Jak się zawahasz?*

– Dachy są blisko siebie, w dodatku ten nasz jest trochę wyżej. Ze dwa metry tylko do pokonania – zapewniałem. – Zresztą Marek to zrobił i żyje, tylko go Turowski podkapował, przez co weekend przesiedział w domu.

– *Marek? Wasz przywódca? A może i on pomoże? Możemy go namówić. Wysoki jest, to szanse są większe. Nie wiem, czy zniosę, jak się coś tobie ...*

– Cygan! – warknąłem trochę zbyt głośno. – Pozwól mi się wykazać. Przynajmniej raz w życiu chcę pomóc. Obiecałeś mi bohaterstwo.

Milczał, długo milczał. W pewnym momencie pomyślałem, że sobie poszedł. Przestraszyłem się. Pewnie porzucił mnie i wybrał Marka. Zrobiło mi się strasznie smutno, choć jeszcze kilka dni temu oddałbym kieszonkowe, by już go nigdy więcej nie usłyszeć.

– *Przepraszam, rakl'-eja. Martwię się o ciebie.*

– To się nie martw. Lepiej powiedz mi, co robić.

– *Skoczyć i zabrać mnie ze sobą. Prościzna...*

– Z łatwizną... – westchnąłem, chowając woreczek w kieszeń.

Oprócz spinki i koniczyny dodaliśmy piwniczny gwóźdź, kawałek sznurka oraz kurz z cegieł, który upadł najniżej.

Z naszej klatki najłatwiej mogliśmy dostać się na dach, a po innych wolałbym nie myszkować. Pod włazem zamocowano stalową drabinkę, w dodatku żadna kłódka nie broniła dostępu do krainy anten i papy. To były czasy, kiedy dzieci bały się złości rodziców.

– Dam radę – szepnąłem, rozpoczynając wspinaczkę. – Tomkowa kanapka z masłem!

– *Mówi się bułka* – zażartował Cygan.

– Tomek nie jada bułek.

Z włazem poszło łatwiej niż z samą drabinką. Po minucie stałem na szczycie osiedlowego świata, przyglądając się progowi na brzegach wielkiego prostokąta dachu.

– *Będziesz musiał odbić się od przepierzenia.* – Pewnie miał na myśli ten próg.

Podszedłem do krawędzi. Poczłapałem raczej, bo z braku odwagi skończyło się raczkowaniem, pelzaniem i przebłyskami bezruchu.

– Wysoko – westchnąłem, przyglądając się wirującemu w mych oczach podwórku. – Strasznie wysoko... Nawet jarzębina jest w dole!

– *Nie musimy tego robić.* – Głos mojego tajemniczego przyjaciela wyraźnie drżał. – *Znajdziemy bezpieczniejszy sposób. Gwiazdy nie sprzyjają nam dzisiaj, rakl'-eja.*

Jakie gwiazdy, pomyślałem, bo mieliśmy jeszcze przed sobą parę godzin dnia. Zresztą, w życiu nie odważyłbym się na skok w środku nocy.

– Piotrek! – krzyknął ktoś z dołu, wrywając mnie z zamyślenia. – Czeka, świrze! Idziemy do ciebie!

Marek z Kongiem przyuważyli mnie i nic już ich nie mogło powstrzymać. Po minucie dwie pary trampków zadudniły na papie.

– No, tu się jeszcze nie bawiliśmy! – zachwycał się Tomek. – Trzeba dać znać Grześkowi! A może założymy tu klub?!

– Fajny dach – skwitował Marek. – Niestety, na oku starej.

– Moi mnie nie mogą zobaczyć – powiedziałem, dumny z wykazania się bystrością. – Musieliby się porządnie wychylić!

– Zapominasz o nieszczęśliwie nam panującej dozorczyńi Dankowskiej, o Turowskim i o Lamentowiczowej, co plotkarski język wynajmuje od diabła.

Staliśmy na szczycie betonowej góry i śmialiśmy się z tych słów odzianych w niższe tony oraz w potęgującą grozę intonację. Wiatr poruszał antenami, wplątywał się nam we włosy, rozsiewając względną ciszę.

– Po coś tu wlaź? – szepnął Marek, gdy Kong poszedł „powychylać się” dla zabawy. – Chcesz narobić nam kłopotów?

– Ja... – Nie wiedziałem, jak mu to powiedzieć. – Muszę... Musimy komuś pomóc.

– Ale wypas! – Tomek krzyczał, plując co jakiś czas z wysokości. – Pięć sekund!

– *Nie mów mi* – odezwał się Cygan. – *Nie zrozumie.*

Nie posłuchałem, opowiadając Markowi o tym, co słyszałem i słyszę, o jaśniejącym do zepsutego środka ducha sąsiada, o Turowskim i jego poczynaniach sprzed lat, o tacie, który pił od zawsze, również o mamie, która martwi się moją nagłą religijnością. Na koniec pokazałem mu woreczek ze skarbami.

– To nie jest dobry pomysł – rzekł. – Coś ci się może stać.

– *Mogę?* – usłyszałem i wiedziałem, o co Cyganowi chodzi. Zamknąłem oczy.

Ponoć zawisłem w powietrzu, unosząc się do wzrostu dorosłego. Ponoć oczy wypełnił mi spokój, zaś głos popłynął z zewnątrz, chociaż to ja otwierałem usta.

– *Nie bójcie się.* – Tomek z Markiem ponoć od razu się uspokoili. – *Musimy pokonać Mulo, który zagnieżdżył się w sąsiednim bloku. Jest rodzajem wampira, aczkolwiek nie żywi się krwią, tylko nieszczęściami, których w blokowiskach nie brakuje. Otumania i kieruje ludźmi. Krzywdzi tych, których kochacie. Tylko ja mogę go powstrzymać. Muszę się tam dostać dla dobra osiedla* – dodał. – *Ziemia przesiąkła złem, a ostatnie okruchy dobra można znaleźć jedynie w powietrzu. Nie powstrzymujcie Piotrka. Urodził się bohaterem.*

– On jest za mały, ja to zrobię – zarządził Marek. – Już kiedyś skoczyłem i nie pozwolę mu się narażać.

– *Wspaniały z ciebie dzieciak, jednakże tylko jeden rakl'o odpowiedział na moje wołania. Nie wolno mi igrać z losem.*

– Z całym życiem igram – odparł nasz lider, podchodząc bliżej. – Dlaczego nie można tego woreczka najzwyczajniej przerzucić? Przykro mi, lecz nie ufam ci, kimkolwiek jesteś. Żal mi ciebie, tyle że to nie wystarczy, by ryzykować życiem przyjaciela.

– *Ogień powstrzymasz wodą, ciemność rozpędzisz światłem, na zło zadziała jedynie dobro, a ja nie zawsze byłem czysty jak lza... Dopiero niedawno to zrozumiałem* – dodał. – *To on, Piotrek, musi mnie tam przenieść. Aż do najczarniejszych piwnic.*

– Pieprzysz – mruknął Marek, wyrwał mi woreczek z dłoni i pobiegł, zanim Cygan zdążył zareagować. Skoczył. Z młodzieńczą siłą odbił się od przepierzenia. Bez cienia wątpienia w każdym ruchu.

– *Nie może się udać...* – Podobno szepnął przeze mnie Cygan.

Wiatr zawiął (uderzył raczej), po czym zamarł, jakby wrzucając siłę wielu podmuchów w ten jeden, strącający chłopaka na ziemię. Woreczek, jak na złość, wylądował z powrotem na naszym dachu, niczym najczystsza drwina z naszych pomysłów i starań.

Krzyki wyrwały mnie z transu. Do wrzeszczących dołączył Tomek, tak by wleciały do chmur lub wyżej, choć przestałem wierzyć w niebo.

Nasz urodzony przywódca nie żył. Przez mój strach, przez jego odwagę, przez nasze i wasze nieszczęścia.

– Marek nie miał racji – mówię do Szczęki. – Miałem jedenaście lat, a on umarł dobijając do dwunastu. Wraz z nim upadło to drzewo, jakby coś wyszło z niego siły, wpompowując je w ten morderczy podmuch.

– Koniku, nie poradzimy sobie, jeśli Mulo ma taki pałec. Nie jesteśmy dobrzy.

– Nie znajdziesz, bracie, lepszych od nas. Nie tu. Nie odkąd uwolnił się wampir.

Tyle osób zadawało te same pytania przez pierdylion dni, że przestaliśmy na nie z Tomkiem odpowiadać. Chora wyobraźnia doprowadziła do wypadku. Już wtedy młodzieńcze występki zwalano na filmy sensacyjne i gry komputerowe, choć jak tu się czepiać Super Maria?

Najbardziej zabolęło mnie zachowanie mamy Marka, która się na nas nie złościła, chociaż jako jedyna miała do tego prawo. Bez wątpienia wiedziała, że jej syn nigdy nie robił niczego na pokaz.

– To wypadek – powiedziała po pogrzebie. – Przyjaciele Marka muszą żyć bez wyrzutów sumienia.

Złościłem się na siebie i na Cygana, nie wierząc, że wciąż tkwi we mnie jakaś dobroć. Drzewem zajęli się okoliczni mieszkańcy. Każdego dnia ubywało drewna – siekierki robiły swoje. Zapelniano wózki, przyczepy, zaś ogromnym pniem zajęto się na samym końcu, kiedy to wreszcie wezwano służby porządkowe miasta.

Rudowłosy Krzysiek zdążył jednak zrobić swoje. Zaskoczył mnie. I nie tylko mnie.

– Resztę pamiętasz. Bohaterze.

Szczęka patrzy na mnie, nie wiedząc, czy nie mam wciąż do niego żalu o tamtą jesień i wciśnięcie swoich pięciu BMXowych groszy.

– Namęczyłem się – wzdycha. – Poza tym to ty polazłeś z woreczkami do środka. Dzisiaj nie robią już takich rowerów.

– Dzisiaj nie wcisnąłbyś się nawet do czołgu – serwuję mu klasyczną mukę w ramię.

I znowu się śmiejemy. Tak jak kiedyś. Szczerze.

Cygan milczał, choć nie próżnował. Ktoś jeszcze usłyszał jego błagania. Ktoś dobry, z pewnością strachliwy, no i żądny przygód. Dzieciak pragnący uznania.

Najmłodszy z nas znalazł sposób, żeby dostać się do jednej z klatek bloku Turowskiego. Krzątał się koło zwalonego pniaka z gromadką innych szkrabów, które miały go za Boga. Układali gałęzie w stosy. Budowali tor przeszkód, którego nie powstydzilyby się dzisiejsze skateparki. Nikt na nich nie krzyczał. Sąsiedzi żyli wypadkiem Marka i nie chcieli zrzucić frustracji na resztę dzieci. Dachy zamknięto na najgrubsze kłódki, drabinkę skrócono, częściej zaglądano w judasze.

Gapilem się na niego z okna. Bezmyślnie, do czasu, gdy zauważyłem podobny do mojego woreczek na ośmioletniej szyi.

– Ty szczyłu! – syknąłem.

Powiedziałem mamie, że mam dość siedzenia w domu. Jej twarz pomieściła w sobie więcej treści niż niewypowiedziane słowa.

– Nic nie nawywijam, mam – zapewniłem. – Pobawię się z Krzyśkiem z góry.

– Jak się czujesz? – zapytała (nie wiem, który już raz).

– Lepiej – skłamałem, uzbrajając się w uśmiech. – Brakuje mi Marka.

Mama przytuliła mnie, niemal od razu wypuszczając z uścisku. Wyrwałem jak strzała Winnetou. Podeszwy bombardowały schody. Gumowo-betonowe staccato. Ręka w kieszeni gładziła materiał amuletu.

Nie ryzykuj, słyszę błagania Cygana i kładę woreczek na oknie schodowej klatki.

– A ten Krzyśka – szepczę zdenerwowany, zanim wybiegnę na zewnątrz.

– *Jest pusty. Chcieliśmy cię do nas przywołać.*

– Mnie wpuści – mówię do dorosłego Szczęki.

– I nie wypuści – dodaje on.

Podajemy sobie dłonie. Znikam w klatkowej paszczy o zepsutych zębach w postaci uszkodzonych przycisków domofonu. Nie tracę czasu na wątpliwości i bezsensowne zmagania z narastającym we mnie strachem.

Wchodzę do piwnicy. Każda z cegieł wydaje się na mnie czekać.

– Co wy robicie? – Kong pojawił się zaraz po mnie, z miną nie tyle groźną, co przeraźliwie smutną.

– Kończymy, co zaczął Marek – rzekłem z butą. – Nie musisz pomagać.

– Jesteś wariatem! – warknął Tomek i pchnął mnie z całej siły. Przewróciłem się. Szczęśliwie gałęzie zamortyzowały upadek.

Krzysiek stanął Kongowi na drodze. Przez ostatnie miesiące urósł bardziej niż my wszyscy razem wzięci.

– Spieprzaj – rzucił i nie zauważyłem w tym słowie ani drobinki strachu.

Tomek posłuchał. Pewnie rodzice zabronili mu się z nami zadawać.

– *To może się udać* – usłyszeliśmy głos Cygana. – *Drewno już osuszył z mocy. Nie da rady ponownie wykorzystać tych gałęzi. Nie chciałem, żeby Marek to robił...*

– Wiem – przyznałem. – Właśnie po tym wypadku tak naprawdę ci zaufałem. Trochę potrwało, zanim to zrozumiałem.

Wiedziałem, że coś tam jest i karmi się smutkiem oraz złem. Krzysiek zniknął w naszej piwnicy, a ja za nim. Wyciągnął BMXa, zappełnił woreczek skarbami i piwnicznymi fragmentami wskazanymi przez Cygana. Mój amulet schowałem mu do kieszeni kurtki.

– Widzimy się na tamtej klatce – powiedziałem, klepiąc go w ramię.

Poszedłem przodem, czując złość i frustrację Mulo, tak jak czuje się chłód o poranku. Szczęśliwie zabrakło już większych drzew, które mógłby wykorzystać (jarzębina rosla za daleko), natomiast moc płynącą z nieszczęść zachował pewnie do piwnicznych pułapek. Bałem się. Myślałem o Zosi. To zawsze mnie uspokajało.

W tym czasie Szczęka odwalił z BMXem cuda, o których podwórkowa brać mniejsza opowiadała przez następne tygodnie. Przeskakiwał z drewna na drewno, by wreszcie wylądować na betonie klatki. Podał mi oba woreczki, wracając do wiwatującej gromadki maluchów.

– Trzymaj się! – krzyknął, nie potrafiąc dłużej powstrzymać się od ucieczki.

Piwniczne drzwi same się otworzyły. Pachniało spadziowym miodem wymieszanym z czymś pozornie równie słodkim, lecz drażniącym przy głębszych wdechach. Nie zapalałem światła, nie musiałem. Schody tonęły w dziwnej poświacie – w wyblakłej pomarańczy i lekko zabrudzonej bieli.

– Przyniosłeś brudasa. – Głos niski, głęboki i kojąco delikatnie drżący wlatywał z najdalszych klatek. – Dałeś się przekonać Cyganowi?

I wtedy ujrzałem Mulo sunącego wzdłuż korytarza; powoli, dostojnie, z uśmiechem omijającym szeroko otwarte oczy.

– Nie zbliżaj się... – wydukałem. – Niech pan się do mnie nie zbliża!

– *Nie waż się ruszyć chłopca* – wtórował mi Cygan. – *Nie pozwalam.*

Położyłem woreczki na podłodze, chociaż wyczuwałem obecność Cygana, tak jak czułem ją wcześniej, w moim bloku. Rozlewała się czerwienią, wypierając biel, przyciemniając pomarańcz, rozjaśniając czerń, odpychając Mulo ode mnie.

– Ktoś musi wam to powiedzieć. – Piwniczny wampir zaśmiał się wyjątkowo żałośnie.

– To dopiero początek wspólnych przygód. I będzie chaos. Dla odmiany na samym końcu.

– *Opuść nas, rakl'-eja. Zostałeś bohaterem.*

– Do zobaczenia wkrótce! – usłyszałem jeszcze, wspinając się po siedmiu schodach.

– Będę przygotowany – szepnąłem, drugi raz w życiu zbierając się na odwagę.

Pożegnały mnie dźwięki zajadłej walki, przerywanej coraz krótszymi fragmentami ciszy. I tak przez następne dni oraz noce. Cygan cierpiał na zmianę z Mulo. Najwidoczniej utknęli w upiornym pacie. Dopiero po wielu tygodniach zdali sobie z tego sprawę. Zrozumieli, że gniew od wieków walczy z cierpieniem.

– *Pilnuję go* – słyszałem te słowa co jakiś czas, gdzieś w najgłębszych snach. – *Radzę sobie. Wykorzystuję złość.*

– Tak mu się wydaje – niosło się po ich powierzchni.

Z czasem i to ucichło, a my dorośliśmy. Nowsze problemy pozwoliły nam nie tyle zapomnieć, co oddalić się od piwnic, a z czasem i od podwórek (w moim przypadku od Żar).

To nie mógł być jeszcze koniec. Opuściłem Cygana skazanego na wieczną walkę w obronie ludzi, którzy i tak nigdy go nie szanowali.

Czy źle się z tym czułem? Paskudnie. Nie czułem się bohaterem.

– Wróciłeś. – Beton drga głosem tak samo cierpkim, jak przed laty.

Nie odpowiadam. Rozglądam się, zaś wzrok powoli przyzwyczaja się do ciemności. Nie dostrzegam już wszechobecnej czerwieni, nie wita mnie również biel.

– Mam dla ciebie same złe wiadomości.

Spoglądam na sufit i zamieram. Pomarańczowe pasy wiją się na nim niczym kłębowisko wychudzonych węży. Niektóre odrywają się, wkraczając w trzeci wymiar. Dołączają do nich bracia z podłogi.

– Nie zastałeś Cygana w domu. – Zło potwierdza moje obawy. – Mogliście mnie wtedy pokonać. Słaby byłem, natomiast wy posłaliście dobrego dzieciaka na śmierć!

Rozplatom woreczek. Skarby lądują na mojej dłoni. Węże cofają się, za to pojawia się Mulo w obdartej bieli. Czerwone smugi – pamiątka po gniewnej, cygańskiej duszy – wgryzły się w jego rękawy.

– Nażarłeś się – szepczę, kładąc przedmioty na podłodze (jeden po drugim; bez strachu i bez pośpiechu).

– Nie pokonasz mnie sztuczkami brudasa. – Mulo siada tuż obok. – Moc nie tkwi w przedmiotach, wyrośnięty chłopcze.

Słyszę, jak otwierają się drzwi jednej z klatek i ciężko stawiane kroki spływają ze stopni.

– Jestem, panie – odzywa się ktoś, o kim nigdy nie potrafiłem zapomnieć. Machinalnie chwytam się za wykręcone przed laty ucho.

– Dobrze się spisałeś. Nie będę cię już potrzebował.

– Panie?

– Zgłodniałem. Nie każ mi czekać.

– Rozumiem, panie. – Turowski mówi to martwym głosem.

Mężczyzna sięga do kieszeni kurtki po ten sam co przed laty nóż. Spogląda na mnie z zaskakującą pewnością siebie, chociaż dobrze wiemy, że nie ma szans w walce ze mną. Jest stary i powolny, a ja wycisnąłem ze swojego ciała więcej, niż było mu genetycznie dane.

– Ostrzegam – mówię, w miarę spokojnym głosem. – Nie zawaham się.

Turowski splota na podłogę i przerażająco szybko wbija sobie ostrze w grdykę.

Krwi jest mniej niż na filmach, mimo to widok nie należy do przyjemnych. Turowski upada na twarz, nóż zanurza się jeszcze głębiej i zbiera mi się na wymioty. Mulo wyczuwa mój strach.

– Chyba ci się nie spodobało? – parska, w jednym skoku zbliżając się do zwłok sąsiada. Nachyla się nad jego plecami, szeroko rozwierając szczęki. Przestaje przypominać człowieka (wygląda bardziej na jakąś mieszankę drapieżnych gadów i upiornych zjaw). Pomarańczowe, mgliste pasma wzlatają z martwego ciała w kompletnej ciszy. Nie wytrzymuję, żołądek kurczy się w uścisku obrzydzenia. Pozbywam się śniadania zmieszanego z kwasem.

– Wybacz, że nie używałem sztuców. – Mulo śmieje się, przyjmując znów w miarę ludzką postać, a ja powoli dochodzę do siebie. – Taki dobry, wyrośnięty chłopczyk, a taki wrażliwy! Jakby nigdy nie poplamił sobie łapek złem. Nie jesteś taki niewinny, co?

Wyczuwam w tobie pikantny smutek oraz słodkawy zapach zdrady i... – Zawiesza głos gdzieś pod samym sklepieniem piwnic. – Nasz chłopczyk zasmakował w przemocy! Cyganie! Żałuj, że tego nie doumarłeś! Twój Rakl’o próbował się zabić!

Drwi ze mnie jeszcze przez chwilę, kończąc pogadankę jednym zdaniem:

– Nie da się żyć, nie lubiąc samego siebie. Prawda?

Milczę, gotując się do kontrataku, do wytrząsania rękawów z kart, którym wprowadzie daleko do asów, lecz razem są w stanie wytrącić wroga z równowagi. Już mam zaczynać, kiedy na piwnicznej scenie pojawia się nowa postać. Z najbliższej mi klitki spada kłódka, otwierają się drzwi, lecz bez oczekiwanych zgrzytnięć. W tle słyszę gwizdanie, którego nie słyszałem od lat. Wspomnienia ruszają lawiną.

– Zapomnieliście o nim! – Mulo najwidoczniej świetnie się bawi. – Nie dołączył do was na dachu, nie bawił się z wami nigdy później, nie żartował, nie drapał się po brzuszysku. Wszyscy o nim zapomnieliście. Nawet Cygan!

Grzesiek zmienił się nie do poznania, choć nigdy nie dorósł i nie postarzał się. Stał przy mnie z zapaloną świeczką w wyciągniętej do góry ręce. Wosk skapywał mu na przedramię, grubymi sznurami unieruchamiając łokieć. Spłynął do połowy ramienia, a pojedyncze jego nitki sięgnęły nawet twarzy – wciskając się w nozdrza, zaklejając oczodoły, uszy i usta.

– Grześ chce ci coś powiedzieć – odezwał się Mulo. – Śmiało, Grzesiu, wyrzuć to wreszcie z siebie.

Chłopak podchodzi do ściany, płomieniem osmalając pustaki. Grube litery łączą się w słowa:

– „Ojciec pijak” – odczytuję nie bez trudu.

– Och, a gdzie jest Marek, żeby mógł cię teraz wybronić?!

Z duszą na ramieniu podchodzę do Grześka.

– Przepraszam cię, stary. – Słowa więzną mi w gardle. – Nawaliliśmy... Ja nawaliłem.

Świeczka gaśnie, a mój przyjaciel z dzieciństwa upada. Wosk topnieje, rozlewa się wokół jego wymizerowanego ciała, zatrzymuje się przy czubkach moich butów i ponownie zastyga.

– Nie jest mi już więcej potrzebny – wzdycha Mulo. – Potrzebowałem tarczy przed tym twoim Cyganem, inaczej dawno by mnie załatwił. Jeśli zastanawiasz się, czy to twoja wina, to pozwól, że ci pomogę i jak najbardziej potwierdzę te przypuszczenia.

Staje nad ciałem chłopca, powtarzając procedurę sprzed kilku minut – z niedawnej uczty nad zwłokami Turowskiego. Po wszystkim długim językiem sunie po ciele Grzeška, zbierając ostatnie okruchy pomarańczowości.

– Nacierpiał się. Nacierpiał za twoje szczęśliwe dni i noce. Myślę, że potrzebował w swoim krótkim życiu kogoś takiego jak ja. Uczta z niego to czysta rozkosz.

– Jesteś potworem – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Zapłacisz za to.

– Teraz! – krzyczę, a Mulo patrzy na mnie jak na wariata.

Nic się nie dzieje. Wampir z zainteresowaniem przygląda się mojemu oczekiwaniu.

– Pozwolisz, że teraz ja zapewnię ci kilka atrakcji? A może nawet i kilkaset...

Zapalają się światła i znowu kroki na schodach zaznaczają się spokojnym rytmem. Słyszymy sapnięcia, słyszymy nawoływania:

– Piotruku? – Kobięcy głos targa struną z przeszłości. – Jesteś tam?

– Jestem! – krzyczę, wychodząc sąsiadce naprzeciw.

Mama Marka zmieniła się, postarzała i posmutniała przez te lata. Drobna staruszka wita się ze mną serdecznie. Biała postać wampira blednie, nabiera przeźroczystości, lecz bez śladu niepokoju na twarzy.

– I on tu jest? – pyta staruszka, spoglądając na dwa martwe ciała. – Ten chłopczyk ...
– Łzy spływają po policzkach. – Nikt mi nie wierzył. Sama straciłam pewność. Miałaś rację z tym złem, Piotruku. Mów, co mam zrobić.

– Nigdy nie mogłem jej ruszyć – stwierdza wampir, podchodząc do mamy Marka. – Stara, biedna Krajewska. Pełna smakowitych cierpień.

Wygląda, jakby tańczył wokół niej, wdychał ten cały smutek.

– On tu jest? – pyta kobieta. – Chyba go czuję. Cuchnie lub raczej pachnie miodem.

Sięga do kieszeni, po czym kładzie na podłodze łatę ze starej piłki Marka – tej, którą najdłużej graliśmy. Pomagam jej się wyprostować i odprowadzam w kierunku wyjścia.

– Tym razem nie wygrasz, potworze – mówi sąsiadka. – Chłopcy się tobą zajmą.

Znika na schodach, gasną za nią światła, zostaje tylko ten ponury blask Mulo.

– Samą łatą raczej nie pogramy. – Wampir nabiera mocy. Odzyskuje pewność siebie.
– Co teraz? Moja kolej?

Nie daje mi czasu na odpowiedź (reszta kart wciąż czeka na wyłożenie, kiedy pierwsze grzmotnięcia mieszają się z okrzykami bólu).

– Co ty robisz? – pytam i wybiegam czym prędzej na zewnątrz.

Większość okien kwartetu bloków stoi szerokim otworem, sukcesywnie kolejne odklejają się od framug. Obok mnie ląduje ciało jakiegoś nastolatka, z bloku naprzeciwko wyskakuje para staruszków, w dodatku po lewej, z najwyższego z pięter, młoda kobieta wyrzuca niemowlę. Ciska nim o daleką ziemię.

– Co robicie?! – drę się, nie będąc w stanie przekrzywić krzyków bólu tych, co nie mieli szczęścia zginąć na miejscu.

Biegnę w stronę piaskownicy, bezmyślnie, ze strachu. Mieszkańcy niższych pięter pojawiają się na dachach domów. Coraz więcej ludzi skacze, przez co mżawka samobójców przechodzi w ulewę, czy raczej grad, a do studzienek spływa mocz wraz krwią – pomarańczowe strużki. W jednym z piwnicznych okienek dostrzegam rozradowaną twarz Mulo.

Żywi sąsiedzi dołączają do martwych oraz umierających. Kolejne ciała spadają na poprzednie, a przyblokowe ogródki toną pod warstwami ubitego, ludzkiego mięsa.

– Nie daruję ci! – wołam, choć nie mam pomysłu na dalszą walkę.

– *Spinka... Przyjaźń... Miłość... Krew...* – udaje mi się usłyszeć jakiś pogłos dolatujący z mojego bloku. Ostatnie przesłanie od Cygana. Pojedyncze słowa, umykające z piwnicznych okien wraz ze strzępami duszy, z resztką moich wspomnień o nim, z naszym wspólnym poświęceniem przyjaźni.

– Dziękuję – szepczę do tych umykających resztek.

I nie pamiętam już starego przyjaciela.

Zło zdaje się nie mieć granic. Setki ciał wciąż leżą się z kurków okien, tymczasem ja cierpliwie czekam, aż przedstawienie dobiegnie końca.

– Możesz wrócić – odzywa się wampir ze swoich okienek. – Przystaję się wygłupiać.

Krzyki cichną, tysiące pomarańczowych smug, tych niby-węży, sunie w stronę Mulo, wsiąkając się w betonowe ściany.

Wracam do piwnicy, by stanąć przy swoich skarbach.

– Nie jestem dobry – przyznaję, kucając. – Kiedyś byłem. Byliśmy. – Siadam, opierając się o jedną ze ścian, między palcami obracam spinkę Zosi. – Nażarłeś się, tylko co

dalej, Mulo? Skąd popłyną do ciebie kolejne z nieszczęść? Pozbyłeś się bydła. Po co ten pokaz sił? Masz przecież przewagę...

– Nie doceniasz mnie, wyrośnięty chłopcze. – Wampir siada naprzeciwko. Nasze stopy prawie się dotykają, lecz ich nie cofam. – Całe osiedle będzie należeć do mnie, by wreszcie, pewnego dnia, może i całe Żary? A wystarczyło, żebyś wtedy skoczył i walczył u boku tego, którego nigdy nie będziesz pamiętał.

– Mam nadzieję, że nie pokonasz miłości. – Pokazuję wampirowi spinkę. – Ani przyjaźni czy poświęcenia. Gniew mogłeś. Gniew słabnie z czasem. Każdy, tylko nie mój – dodaję w myślach.

– Nie tak szybko. Do kompletu brakuje ci Konga – śmieje się wampir, spoglądając na przedmioty. – Nie przyniosłeś pamiątek o każdym z was.

Kiwam głową, podnoszę się, podciągając koszulkę.

– Pierwszy raz się mylisz, Mulo – mówię, demonstrując dość komiczny taniec brzucha. – Jesteśmy.

Chwytam spinkę, rozciągam tak, by przypominała długi, miejscami pofalowany gwóźdź. Wbijam ją sobie w dłoń. Krople krwi spadają na podłogę, na skarby, na Grześka, a także na wosk, który znowu topnieje.

– Kocham was. – Zanurzam spinkę we własnej szyi (raz za razem, aż zdumiona mina wampira znika, aż dopada mnie czerń).

– Wróćcie do mnie – ucieka z moich ust wraz z życiem zaklętym w bąbelkach krwi.

Wpierw ciemność oraz cisza przełamane powiewem wiatru. Później ten głos, który reanimuje pamięć.

– *Zrobiłeś to, rakl'o!* – krzyczy Cygan. – *Wróciliśmy do początku! Znalazłeś sposób!*

Stoję na dachu, z otwartego włazu wychyla się głowa Marka, a Kong pokrzykuje coś za nim. Pewnie ponagla przyjaciela, który dostał trampkiem w głowę.

– Lecimy – szepczę, ściskając woreczek.

I biegnę tak szybko, najszybciej w życiu, tak jak to tylko dzieciaki potrafią. Dach skraca się z każdym krokiem, lecz ja nie dopuszczam strachu do siebie – tłumię go wspomnieniami nieszczęść, które nie nadejdą, jeśli tylko zrobię to, o co mnie Cygan (przed laty, czyli dziś) prosił.

Skaczę. Nie jestem już sobą, ani tym starszym, ani tym młodszym. Jestem jedynie cieniem siebie. Potężnym, ponieważ pozbawionym czegokolwiek, co mógłby stracić.

Ląduję na drugim dachu, zapadając się w nim, a Cygan wraz ze mną – jak dwie fale światła (krwistoczerwone, grube) prujemy przez sklonowane pietra, przez te miniatury salonów podwieszane kasetonami i nonsensownie nazywane dużymi pokojami. Przez kuchnie wielkości światowych toalet, aż do piwnic, do wciąż starego Mulo, który nie może mnie i przyszłości pamiętać.

Atakujemy ze wszystkich stron, każdą cegłę, każdą drobinę kurzu, barwiąc biel, dusząc pomarańcz, nie tracąc sił. Wgryzamy się w beton, wsiąkamy w glebę, rozwalamy kłódki, uwalniamy dobro, kruszymy wosk, przywracamy Grzeška i wspomnienia o nim światu. Mój gniew ma moc!

Wampir odchodzi bez słowa. Umyka z całym złem i pewnością siebie, która go zabiła. Otula mnie ciemność i uciekające z dopplerowskim efektem słowa Cygana:

– *Jesteś bohaterem.*

Tłum wylewa się z klatek. Wrzaski zlepiają się w jeden rwetes, podczas gdy moja krew spływa szczelinami chodnikowych płytek, moczy ziemię, wczepia się w korzenie jarzębiny, topi mrówki i podlewa żdźbła traw.

– Taka bezsensowna śmierć – ktoś powtarza jak niewygodną mantrę.

Niektórzy spoglądają na to, co po mnie zostało, skryte pod kurtkami dorosłych. Inni spoglądają coraz częściej w górę, na krawędzie dachów, gdzie byliśmy tak blisko nieba.

– O Boże – zawodzi moja matka, a ja tak bardzo chciałbym jej powiedzieć, że może być ze mnie dumna, że jej synek okazał się być bohaterem, że to tylko czysta matematyka, takie życie za życie, jeden za drugiego lub klasyczny jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Teraz Marka kolej, żeby poznać dorosłe życie. To zawsze była jego kolej.

Lata mijają, jarzębina rok w rok rodzi owoce – te botanicznie pozorne, choć przecież takie niepozorne. Częściej czerwone i zdrowe, rzadziej pomarańczowe i słabe (zdecydowanie cierpkie), a ptaki wraz z dziećmi roznoszą je po okolicznych podwórkach.

W ten sposób trafiamy do piwnic – do betonowych kotłów – gdzie wciąż walczyliśmy i gdzie wygrywamy, byście żyli bezpiecznie, aby wasze nieszczęścia spływały do wnętrza ziemi i nigdy stamtąd nie wracały.

A skąd biorą się Mulo?

To proste. Ludzie czasem zabijają, nie grzebiąc zwłok.

LENISTWO



MIĘDZY INNymi LENISTWO

Olga Rot

Pan Ephraim Noel Hope właśnie zastanawia się, jak popełnić morderstwo. Znajduje się obecnie w tym specyficznym stanie ducha, w którym myśl o zbrodni staje się źródłem perwersyjnej rozkoszy podobnej do tej, jaką odczuwa, gdy roi sobie o tym, co mógłby uczynić z Molly P., gdyby mógł być pewnym swojej bezkarności. Oba te marzenia dzieli od spełnienia przepaść głęboka jak rozpacz wypełniająca duszę pana Hope. Tak się tylko bawi potwornością swoich rojeń, obraca je i obwąchuje jak koszulkę, którą w myślach porywa i unosi, przepojoną niewinnym zapachem młodego ciała.

Ponieważ w tej chwili pan Hope nie ma nic pilnego do roboty, pozwala swojemu umysłowi zataczać się od wyłaniających się spod granatowego mundurka piegowatych ramion Molly P., do wizji samego siebie nad stygnącymi ciałami ofiar. W jaki sposób miałyby one zejść ze świata, tego póki co pan Hope nie ustalił. W zależności od tego, w jakim stanie ducha się znajduje, również i wizja jego zbrodni ulega osobliwym metamorfozom i wypaczeniom. Raz jawi się jako czyn nieomal chrześcijański, litościwe ledwie skrócenie agonii; czasem też przeciwnie, pan Hope szaleje z rzeźnickim nożem, nurzając się we krwi niczym kapłan aztecki ściskający w dłoni bijące serce ofiary. Furda jednak jak, skoro pan Hope nie był jeszcze zdecydował, kogo miałyby zabić. W groteskowych rojeniach morduje swoją głupią, otyłą żonę, jej zgrzybiałego Papusia, czasem oboje naraz, czasem dorzuca do tego dom, dzielnicę, a kilkakrotnie nawet i całe miasto. Marzy sobie, że niczym zwiastun apokalipsy przejdzie ulicami, niosąc śmierć i zniszczenie, rozbije w perzynę dom swój i sąsiadów, a na gruzach podrygującego w ostatnich konwulsjach świata obejmie łkającą Molly P., zarazem przerażoną ogromem kataklizmu i na wpół omdlałą wskutek nagłego paroksyzmu młodzieńczej lubieżności.

Czarowne mrzonki pana Hope nie mają większych szans na urzeczywistnienie. Jest to

bowiem człowiek patologicznie bierny, pogrążony w nieokreślonym oczekiwaniu i poczuciu własnej krzywdy. Gardząc mniejszymi i nienawidząc większych od siebie, ubieganie się o zaszczyty uważa za niegodne. Z drugiej strony, gdy przy rozdawaniu ich zostaje pominięty, uskarża się na niewdzięczność, złośliwość, kumoterstwo i wymierzone przeciwko swej osobie szykana. Wżeniwszy się w rodzinę majątną i poważaną, zmuszony jest gnieździć się z krowiastą małżonką w trzech pokojach na piętrze domu teściów. Cóż, że mieszkanie jest jasne, przestronne i w pełni umeblowane, zaś dostarczane z kuchni posiłki obfite i rzadko zimne, skoro pani Hope dysponuje większą gotówką niż jej mąż, który własnego kapitału właściwie nie posiada?

Wszystko to pan Hope odczuwa i cierpi w milczeniu. Faktem jest, iż w przeszłości szukając ujścia dla gnębiących go uczuć, poczynił próbę zdyscyplinowania małżonki; ta ociężała dama stawiała jednak opór czynny, podbiła mężowi oko i postraszyła go Papusiem. Zdruzgotany pan Hope całą swoją żalność skierował na dno swego serca, skąd niekiedy podnosi się ona falą złości. Z czasem jego twarz nabrała lekko musztardowego odcienia i zastygła w wyrazie tak nieprzyjemnym, iż trudno jest doszukać się w niej dawnej świeżości i pewnej nawet urody. Niegdyś z powodzeniem trudnił się sprzedażą detaliczną, wraz z komplementami sprzedając klientkom mydełka, pudry, wody kolońskie i inne atrybuty damskiej kokieterii. Gdy jednak pojawiły się rozbieżności między utargiem deklarowanym a zawartością kasy, pan Hope uniósł się honorem, strzelił dyrektora w pysk i subiektem być przestał. Przez kilka miesięcy odbijał się od jednych drzwi do drugich, sprzedając grzebienie i skarpety, rejestrując transporty węgla, nawet roznosząc kanapki i opróżniając popielniczki na dansingu. Małżeństwo z córką bogatego kamienicznika miało ostatecznie zamknąć rozdział pikolactwa i nadszkakiwania klientom; a tymczasem chała, kolejne rozczarowanie, kolejny sztylet w sercu, kolejny guz na skroni od ciosu sztachetą złośliwego losu. Miast w fotelu dyrektorskim pan Hope musiał zasiąść na składanym krzeselku młodszego asystenta, co w praktyce oznaczało konieczność chodzenia od jednego lokatorskiego mieszkania do drugiego, wyłudzenia czynszu, wymieniania żarówek, przepychania zlewów i tysiąca innych przykrości. Ludzie, którym Papuś wynajmuje mieszkania w swoich kamienicach, zwykli dobierać sobie sublokatorów, instalując ich pokątnie w pokojach przechodnich czy w rogu izby za skromnym przepierzeniem ze starego prześcieradła. Cała ta domowa ekonomia psuje krew i nerwy pana Hope, który musi rozliczać wszystkich mieszkańców z czynszu, uiszczanego bądź nie. W takim wypadku zmuszony jest rozstawiać swoją przenośną kancelarię często wprost na schodach i oddzielać plewy od zwietrzałego ziarna, roztrzasać, kto jest ile winien, co robić, gdy lokator płaci, a najemca nie, wygrażać, tłumaczyć, prosić

i łagodzić spory, a dwukrotnie nawet zapobiegać rozlewowi krwi. I wszystko to za obraźliwą wręcz pensję, ledwie starczającą na zakup koszuli, by przykryć wychudzony grzbiet. I czasem jeden czy dwa kieliszki jarzębiaku u pani Hull.

Pan Hope ma prawo czuć się bardzo nieszczęśliwym. Szczególnie, iż harmonogram, który dziś rano znalazł na swoim biurku wraz z jadłowicie uprzejmym liścikiem od szefa kancelarii, informował, iż tego dnia należy odwiedzić domy w nadzwyczaj nieprzyjemnej okolicy, mianowicie przy South River Street i Beggars Point. Trzy z ośmiu stojących w tym kwadracie kamienic należą do Papusia, w każdej zaś gnieździ się ponad setka najemców. Co do faktycznej liczby lokatorów, pan Hope woli nawet nie zgadywać. Podobnie jak stara się nie oddychać przez nos podczas całej wizytacji. Istna Wieża Babel, a cuchnie jak stajnia Augiasza. A ten dureń, Jerry Bronson, wymyślił jeszcze, żeby urządzenia sanitarne instalować nie na podwórzu, jak Pan Bóg przykazał, ale w budynkach, na korytarzach, a nieczystości odprowadzać przez rury do kanałów. Wyrazy uznania, panie Bronson, ale przecież rury się zapychają! A co pan myśli zrobić z zatrutym powietrzem unoszącym się w tych pańskich przybytkach higieny? Po umieszczeniu jednego ustępu na piętro wystarczy tydzień, ba, trzy dni wystarczą, by wytworzyły się jadowite miazmaty, przez które cały dom zapadnie na tyfus. Panie Bronson, pan raczy żartować!

W swojej kanciapce pan Hope nie ma nawet własnego biurka. Szlachetny ten mebel przypisany jest do funkcji, nie osoby, i służy obecnie jeszcze jednemu asystentowi, panu Brutusowi Pike, za magazyn, śmietnik i środek komunikacji z panem Hope. Nie dalej jak wczoraj pan Hope musiał odrywać służbową notatkę od blatu, do którego przykleiła ją na amen plama bardzo słodkiej herbaty, którą pan Pike zwykł popijać w pracy. Obecnie z obrzydzeniem stwierdza, że łokieć marynarki uwalany ma jakąś tłustą mazią zielonkawej barwy, pokrywającą również szeroką smugą blat biurka. Pan Hope, przekonany, iż jedynie boska interwencja jest w stanie ocalić życie panu Pike, popluwszy obficie, własną chusteczką ściera ze zhańbionego mebla piętno obcej osobowości.

Pan Hope z nadzieją rozgląda się po służącym mu za biuro pokoiku, szukając wzrokiem czegoś, co pozwoli mu jeszcze przez chwilę posiedzieć w suchym cieple, zanim trzeba będzie wcisnąć na głowę kapelusz i ruszyć wśród zimnego deszczu na obchód kamienic. Skromne umeblowanie wydaje się być jednak w porządku, podobnie jak równa sterta dokumentów piętrząca się na metalowej szafce na kółkach na prawo od okna. W tej chwili wzrok pana Hope rozjaśnia się, ponieważ stojącej na parapecie rachitycznej paprotce wyraźnie przydałoby się podlanie. Pan Hope z namaszczeniem, po kropelce odmierza porcję wody i na tej czynności przyłapuje go pan Pike. Uchyliwszy drzwi, wsuwa do środka głowę

na wyjątkowo długiej szyi, a ujrzawszy pana Hope, pochylonego nad paprotką, parska krótkim i cienkim, nerwowym śmiechem.

– Pan się zawsze tak ze wszystkim pieści, jakby się pan bał, że jedna kropla za dużo zabije tę pana roślinkę. Nuże, niech jej pan naleje od serca, daj pan, o tak.

Podchodzi do pana Hope i chce wyjąć mu z dłoni dzbanuszek z wodą, ale ten przyciska naczynie do piersi jak nowo narodzone dziecko i warczy:

– Niech pan da spokój, o co panu chodzi? Niech pan się lepiej zajmie własnymi sprawami, znowu pan tak zaświnił biurko, że mnie by było wstyd taki chlew po sobie zostawiać.

– Ja tu nic nie widzę – mówi cienko pan Pike, rzucając okiem na nieszczęsny mebel.

– Bo już zdążyłem po panu posprzątać! – grzmi pan Hope. – Słowo daję, zwierzę lepiej potrafi o czystość zadbać, a pan, pan przychodzi, wyciąga te... te swoje pa-pasztety i m-musztardy, zre pan przy biurku, chlew robi i l-ledwo co rączką zetrze i na te, okruszki dmuchnie, i myśli, że ma posprzątane, a tak to, proszę pana, nie będzie, bo to jest biuro, a nie, proszę pana, o-obora!

Pan Pike pokrywa się ciemną czerwienią.

– Uważaj no pan, bo ja, pan widzi, od zwierząt się wyzywać nie dam i czynnie znieważyc mogę, że pan tylko weźmiesz i bekniesz, i się nogami nakryjesz!

– Taaak? Ciekawe...

Pan Hope zaciska dłonie w pięści, ale nie podnosi ich do oczu pana Pike, ponieważ mimo iż obu charakteryzuje pewna żyłasta siła, wcale nie jest pewien swego zwycięstwa. Niedobory odwagi pana Hope rekompensują duże pokłady rozsądku, a te w obecnej sytuacji nakazują mu poniechać bijatyki. Poprzestaje na dumnym odrzuceniu w tył swej niemal arystokratycznej głowy i wydęciu warg w zupełnie arystokratycznym grymasie.

– Nie mam zamiaru marnować więcej czasu na takie bz-zy-zdury – oświadcza, wycofując się z godnością. – Ostrzegam jednak, że nie będę tolerował takiego za-a-chowania. Jeszcze raz proszę, by zechciał pan zachować czystość, panie Pike, nie tylko pan tutaj pracuje. Następnym razem poskarżę się teściowi, że uniemożliwia mi pan pełnienie moich obowiązków.

Pan Pike mruga swymi bladoniebieskimi oczami ryby i parska cienkim śmieszkiem.

– Oczywiście, panie Hope. Najmocniej przepraszam, panie Hope. – Nagle, jakby coś sobie przypomniał, wyjmuje z wewnętrznej kieszeni marynarki złożony na dwoje jasnoróżowy arkusik papieru. – Byłbym zapomniał, pański teść prosił mnie, by przekazać to panu.

– A cóż to jest? – pyta pan Hope, biorąc do ręki karteczkę.

– Zdaje się, że małe, maluteńkie dodatkowe zleconko. Miałem się tym zająć, ale jak pan widzi, ja właśnie kończę na dzisiaj i wygląda na to, że spada to na pana, panie Hope. Jak pech to pech. Moje uszanowanie.

Składa uniżony ukłon i ulatnia się, pozostawiając za sobą strzępek machorkowego swądu. Pan Hope dopisuje jego nazwisko na liście osób, na których w swych upiornych rojeniach wykonuje wyrok śmierci, i jednocześnie zapoznaje się z treścią różowego bileciku.

Wagner St. 12, ins. san., K5, własc. Bell, Lothar L., DZISIAJ.

Pan Hope po raz kolejny czuje, jakby Bóg zabawiał się ciskaniem weń zgniłymi jajami swych dopustów. Skrót K5 oznacza nieprzyjemności ciężkiego kalibru, począwszy od odrażających woni, poprzez robactwo, a kończąc na stojącej w nasłonecznionym miejscu beczce pełnej fermentujących kości wieprzowych. Do jej usunięcia pan Hope zmuszony był kiedyś wynająć rakarzy, nikt inny nie chciał bowiem podjąć się tego zakrawającego na samobójstwo zadania. Wspomnienia upiornej woni, jaką wówczas przesiąkło jego eleganckie odzienie, prześladowały go jeszcze długo potem, wywracając zawartość żołądka do góry nogami. Z melancholijną rezygnacją skazańca pan Hope obecnie sam ze sobą idzie o zakład, obstawiając, jakie przyjemności czekają go dzisiaj. Każda kolejna pozycja przypomina zstępowanie w głąb dantejskiego piekła. Kiedy osiąga poziom skutego lodem jeziora Kokytos, porwany nagłym gniewem wciska na głowę kapelusz i rusza na swą pokutną pielgrzymkę po kamienicach Papusia.

Pan Hope niewątpliwie ma pecha. Wędrując od drzwi do drzwi, przypomina sobie wszystkie, do których niegdyś stukał w poszukiwaniu posady. Większość otwierała się na szerokość dłoni, a z powstałej szpary łypało nań podejrzliwe oko. Podobnie i teraz, do których by nie zapukał, odpowiada mu albo głucho milczenie z nagłą ogłuchłych mieszkańców, albo warczenie, nie wiedzieć, zwierzęce czy ludzkie. Te drzwi, które przed nim otwierano, wiodą do mieszkań ubogich i zaniedbanych, w których próżno szukać środków na opłatę czynszu. Ci mieszkańcy, którzy mogli liczyć na pomoc własnym przemysłem żyjących córek, chwytają pana Hope za łokieć i szeptem obiecują zapłacić, z nawiązką zapłacić, ale później, jutro albo pojutrze. Dwukrotnie same panienki uśmiechają się do pana Hope, proponując przyjacielską przysługę w zamian za urzędową, i byłby się nawet zgodził, gdyby nie odraza, jaką napawają go posłania, na które go zapraszano. Wypisuje dziewięć ponagleń, przyjmuje sześć pisemnych deklaracji zapłaty oraz łapówkę w zamian za puszczenie

w niepamięć nielegalnej szulerni zakonspirowanej w jednym z mieszkań. Trochę mu się humor poprawia, ponieważ podarek jest wcale przyzwoity i miło szeleści, wsuwany do pugilaresu. Gdy jednak pan Hope przypomina sobie o czekającej go wizycie przy Wagner Street, na nowo staje się człowiekiem głęboko nieszczęśliwym.

Opuściwszy bramę domu numer osiem przy South River Street, dokonuje kolejnego niemiłego odkrycia. Mżawka, do tej pory o tyle przykra, że pokrywająca szkła okularów wilgocią i zbierająca się kapką na czubku nosa, zdążyła w międzyczasie przejść w lodowaty, ulewny deszcz, siekący z ukosa po nogawkach przechodniów. Pan Hope wzdycha ciężko i rozkłada swój czarny, nieco sfatygowany parasol. Jest to aparat rozmiarów tak nieporęcznie imponujących, że obija się o wszystkie gzymy, szyldy i ombrelki mijanych przechodniów, co znacznie utrudnia poruszanie się po wąskich chodnikach. Ze wszystkich stron ściekają na pana Hope strużki wody, nogawki spodni kleją mu się do łydek, w obuwiu – eleganckim i zupełnie niemal nowym – chlupocze lodowata powódź. Pan Hope po raz kolejny tego dnia wyobraża sobie, jak wpycha Papiusiowi do gardła w bilonie te sto osiemdziesiąt cztery dolary miesięcznych poborów, następnie włamuje się do jego sejfu i ucieka na Barbados lub gdziekolwiek indziej, gdzie byłoby sucho i ciepło. Tymczasem, jak na złość, przejeżdżający mimo automobil ochlapuje bok pana Hope, gdy zaś nieszczęsny opuszcza parasol, odruchowo zasłaniając się przed nadciągającą falą, z rynny nad jego głową bucha nagły strumień brudnej wody i nadgniłych liści. Ręka boska i ulewa usunęła szczęśliwie z drogi pana Hope wszystkich awanturników, małe dzieci, bezpańskie psy i żebraków; w swym obecnym stanie ducha stwarza poważne zagrożenie, i gdyby teraz właśnie wypadło mu spotkać małżonkę, Papiusia czy choćby pana Pike, niewątpliwie dałby upust przepelniającej go furii.

Siódma Dzielnica lata swej świetności ma już dawno za sobą. Niegdyś zapełniały ją wcale schludne robotnicze mieszkanka i warsztaty. Od dwóch dekad lęgną się tu jednak na potęgę szcurze klany imigrantów, z których najspokojniejsi noszą w rękawie rzeźnicze noże, a watahy niedorostków gwałtem lub podstępem zdobywają środki na najtańszy destylat. Pan Hope zaciska dłoń na rączce parasola, gotów użyć go zarówno przeciwko ulewie, jak i nagabywaniom uliczników. Ci jednak pokryli się po bramach, z których płyną gęste obłoczki machorkowego dymu i plugawe przekleństwa, wygłaszane po dziecięcemu jeszcze piskliwymi głosami. Pan Hope mija dom Taupera, w którym mieści się wyjątkowo obskurna speluna z wyszynkiem, za nim zaś stoi stary dom, śmieszny w swym odosobnieniu niczym ostatni ząb w szczęce. Wysoki i wąski, poczerniały, pokryty obumarłym pnączem, o szerokich schodach pamiętających odległą, szlachetniejszą przeszłość, stoi dom numer dwanaście przy Wagner Street. Mimo całego wysiłku woli pan Hope jest w stanie dostrzec ani przelatującego

nad spiczastym dachem ptaka, ani poruszenia liści porastającego frontową ścianę kapryfolium. Pan Hope nigdy nie uważał się za człowieka strachliwego – ostrożnego, a i owszem – obecnie jednak dziwny dreszcz przebiega jego przemarznięte krzyże. Wcale nie uśmiecha mu się wizyta przy Wagner Street 12. Kołnierzyk koszuli nagle staje się dziwnie ciasny. Pan Hope ledwie zdołał wcisnąć podeń palec, by rozluźnić nieco pętlę krawata.

Wspinając się na schody, z każdym stopniem nadyma się bardziej swą urzędową powinnością i autorytetem, tak iż stając pod drzwiami, musi ze świstem wypuścić z płuc powietrze, w przeciwnym razie gotów by pęknąć lub zemdleć. Pośrodku drzwi szczyrzy zzieleniałe kły kołatka w kształcie lwiego łba; pokrywa ją dziwna, fosforyzująca lekko pleśń, której pan Hope dotykać się brzydzi i zamiaru nie ma. Stojąc na progu, wyraźnie wyczuwa słodkawy odór, przenikający przez mur desek i cegieł. Przez chwilę zastanawia się się, czy łomotanie w drzwi rączką parasola nie byłoby aby zbyt dużym nietaktem, dochodzi do wniosku, że tak, i postanawia posłużyć się administratorskim kluczem, gdyby wejście okazało się być zawartem. Drzwi jednak ustępują bez najmniejszego skrzypnięcia, co nawet nieco pana Hope dziwi. Uznawszy jednak, że będąc pracownikiem, emisariuszem i zięciem Papusia, w jednym z jego domów jest właściwie jakby prawie u siebie, wstępuje w zięjący wilgocią i grzybem mrok sieni.

Podłogi we wszystkich mijanych pokojach wyłożone są gazetami, nigdzie jednak pan Hope nie dostrzega innych śladów remontu. I ściany, i sufity pokrywa nieregularna sieć brunatnych zacieków, znanych panu Hope z lat kawalerskich, gdy pomieszkiwał w podobnie zaniedbanych miejscach. Mija kolejne załomy korytarza i kolejne pokoje. Większość z nich zamknięta jest na głucho. Nigdzie ani śladu lokatorów, wszędzie unosi się narastający słodkawy odór.

– Pomarli wszyscy czy jak? – mruczy do siebie pan Hope na wpół jedynie w irytacji, na pół zaś – w przestachu.

Korytarz wreszcie się kończy i pan Hope odsuwa słodko woniejącą materię przesłaniającą wejście do kuchni. Jest pusta, nie licząc kilku najniezbędniejszych sprzętów i stołu, na którym stoi parująca filiżanka wypełniona dziwną, czerwonawą cieczą. Pan Hope, z właściwą sobie nonszalancją człowieka przekonanego o bezwłasności darów bożych, zasiada na krześle i przysuwa do siebie filiżankę wraz z jej zawartością. Kręci nią lekko; z dna unosi się kilka poskręcanych listków przypominających pajęcze odnóża. Unosi filiżankę do ust, lecz zanim bierze pierwszy łyk, przez drzwi kuchenne wchodzi otulona fioletowym szalem dość młoda jeszcze kobieta. Idzie, szeleszcząc jak mysz bosymi stopami wśród zaściewających podłogę gazet. Zupełnie nie dostrzegając obecności pana Hope, biegnie po

ścianach i sprzętach czubkami cienkich palców, a gdy dociera do stojącego w kącie kredensu, pochyla się nad nim, eksponując sterczące kości kręgosłupa i przetrząsając pospiesznie szuflady. Gdy odwróciwszy się, staje twarzą w twarz z niespodziewanym gościem, z jej zapadłej piersi wydobywa się krótki okrzyk, w którym równie wiele jest zaskoczenia, co czystej zgrozy.

– Skąd pan tu...?!

Cokolwiek trzymała w dłoni, wcisnęła to już pospiesznie pod szal, a na jej twarzy drga krótko spazm bólu.

Pan Hope wraz z powietrzem wciąga w płuca całą swoją godność urzędnika.

– Nazywam się pan Hope – rzecze wyniośle. – Pani wie, domyśla się zapewne, dlaczego się do państwa pofatygowałem?

Przez chwilę na bladych ustach kobiety podryguje nerwowa odpowiedź. Opanowuje się jednak. Potrząsa popielatą głową, nie ufając do końca głosowi. Brwi pana Hope wędrują na sam szczyt jego czoła, gdy rozdąwszy szeroko swe szlachetne nozdrza, wciąga w nie haust przesyconego słodkawym odorem powietrza.

– Właściwie powinienem rozmawiać z panem Bellem. Czy pani jest z rodziny? Małżonka może?

Jej mysi pyszczek wykrzywia się nieco w gorzkim półuśmiechu. Pan Hope zna i takie uśmiechy, i kobiety, które je przywdziewają, na tyle dobrze, by bez trudu odgadnąć, iż pytanie to, pozornie tak proste i niewinne, trafiło jak strzała w odsłoniętą słabiznę konkubinatu.

– Ja... ja prowadzę dom dla pana Bella – mówi cicho. Nagle, jakby żgnięta pod żebro, podrywa głowę i wypala: – Czy coś się stało, proszę pana, bo ja... bo pan musi wiedzieć, że Lothar, to jest, pan Bell, to jest wspaniały człowiek, złoty, najuczciwszy, w ogóle on już nie wychodzi z domu, pracuje i pracuje, szlachetny człowiek, najszlachetniejszy...

– Niewątpliwie – zgadza się pan Hope z umiarkowanym zainteresowaniem. – Musiałbym się z nim rozmówić, szanowna pani. Możliwie osobiście.

– Ale on jest bardzo zajęty.

– Zmuszony jestem nalegać.

– Proszę pana – nagle, choć wciąż wylęknona, przypuszcza kontratak. – Pan Bell teraz jest ogromnie zajęty pracą, o której mało komu się w ogóle śniło i nie wolno mu przeszkadzać. Jeśli to faktycznie coś ważnego, niech pan powie mnie, a ja mu przekażę. Może nawet w ogóle nie trzeba go będzie martwić, a ja tutaj i tak się wszystkim zajmuję i zarządzam.

– Szanowna pani – zaczyna pan Hope, ale natychmiast uznaje, że nie ma sensu się

spierać. Jeśli źródło odrażającego smrodu leży w materii utrzymania domu, gospodyni mogła być nawet bardziej kompetentną od właściciela. Ponadto wcale nie przywykła do wszechobecnej, odrażającej woni, wręcz przeciwnie, z każdą chwilą stawała się ona coraz bardziej nieznośna. Najchętniej wcisnąłby tej mysiej damulce nakaz kompleksowej dezynfekcji i uciekł jak najszybciej. Wie jednak, że nie może tak postąpić. Wymaga się odeń efektów, co w praktyce oznacza wczolgiwanie się pod meble i wyciąganie za ogon zdechłych szczurów. Mimo to tutaj, cokolwiek leżało i zdechło, cuchnie tak okropnie, że pan Hope gotów jest machnąć ręką na wszelkie wytyczne, byle jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem jadowitych miazmatów. Wzdycha ciężko nad swą niedolą i próbuje raz jeszcze.

– Szanowna pani, jako gospodyni tego domu jest pani niewątpliwie świadoma, że nie wszystko jest tutaj takie, jak być powinno. – Twarz kobiety ponownie rozciąga się w niemym grymasie przestachu. – Sama pani rozumie, że nie możemy ignorować doniesień, zwłaszcza gdy jestem zupełnie przekonany, że zachodzi tutaj ryzyko skażenia całej okolicy. – Odchyła się na krześle i marszczy brew. – Ja panią zapytam wprost. Co. To. Za. Potworny smród? No, niech pani nie udaje, że nie wie, o czym mówię. Śmierdzi, aż oczy łzawią, rurą wybija czy co?

– To... to kanalizacja – wydusza gospodyni. – Mamy awarię... otwarty odpływ, to jest, proszę pana, smród fekaliiów.

– Fekaliiów? – Brew pana Hope zrównuje się z linią wypomadowanych włosów. – Pani raczy żartować. Ja się takimi rzeczami zajmuję nie od wczoraj, moja pani, i ja wiem, że żadne gówno tak nie śmierdzi. To jest, szanowna pani, ewidentna i niezaprzeczalna woń trupa.

Kobieta zamyka oczy i głośno wciąga w płuca jadowite powietrze.

– Niechże mi pani oszczędzi tego, co tam pani teraz właśnie obmyśla – irytuje się nagle pan Hope. – Pani dobrze wie, o co mi chodzi. Coś w pani domu zdechło, może nawet kilka cosiów. Proszę mi pomóc to usunąć i na tym się skończy cała rzecz.

– A... konsekwencje?

– Jeśli materia ścian nie została uszkodzona i budynku nie trzeba będzie rozbierać, nie mamy powodu do wyciągania konsekwencji. Tym bardziej, że pan Bell ma dobrą historię lokatorską, czynsz w porządku, z góry na pół roku opłacony. Ściągnie się ludzi, wyczyszczą, co trzeba, oczywiście na koszt pana Bella, i na tym zamkniemy sprawę.

– Pan... pan nie jest z policji? – dziwi się jeszcze bardziej niż przedtem.

– Nie, szanowna pani, nie jestem. – Pan Hope obciąża na sobie poły marynarki, wyraźnie dając do zrozumienia, iż znaczy tutaj więcej niż jakikolwiek przedstawiciel prawa. – Ja tutaj reprezentuję właściciela tego domu. Jestem administratorem – kończy z taką

godnością, jakby oświadczał, iż jest emisariuszem Świętego Oficjum.

Kobieta wyraźnie się odpręża. Strząsa z ramion niewidzialny ciężar, odchyła głowę i uśmiecha się do pana Hope, o dziwo, wcale, ale to wcale ładnie.

– Skoro tak, to niech mi pan powie... – Podchodzi bliżej i przysiadła na krawędzi stołu.

– Niech mi pan powie, czy nie dałoby się zrobić tak, że my sami usuniemy to coś, co śmierdzi, ja i pan Bell, a pan nie będzie się musiał tym więcej martwić, tylko pan odnotuje, że to już jest załatwione?

– O ile dobrze rozumiem, pani oczekuje ode mnie, żebym ja się dopuścił formalnego matactwa?

– Ależ wręcz przeciwnie! Ja po prostu wychodzę panu naprzeciw, robiąc panu uprzejmość za uprzejmość. Panu będzie wygodniej, nam będzie wygodniej. Wystarczy, żeby pan wpisał do dokumentów, że to już jest załatwione. Co za różnica, dzień wcześniej czy później? I tak dzisiaj już by pan ludzi nie zebrał, a jutro będą z samego rana. Albo niech pan napisze, że nas pan nie zastał. A w trzy dni góra problemu nie będzie.

Pan Hope przekrzywia głowę i wpatruje się ironicznie w rozmówczynię. Ta z każdą chwilą staje się jakby mniej mdła i nijaka, jakby serce wraz z krwią zaczęło tłoczyć w jej owadzie ciało jakiegoś nowego, niepojętego temperamenta i magnetyzmy. Ona powtarza jego ruch i stają naprzeciw siebie jak lustrzane odbicia uprzejmego zdziwienia. Odór jest nieznośny.

– Dosyć – mówi ona w końcu. – Nie znoszę udawania i niejasnych sytuacji. Jaka kwota pana usatysfakcjonuje, w zamian za pana fatygę, panie... Hope?

Usta pana Hope rozciągają się w szerokim uśmiechu płaza. Wymienia sumę, dwukrotnie wyższą od oferowanej mu przez właścicieli nielegalnej szulerni. Gospodyni zgadza się natychmiast. On wyjmuje swój służbowy rejestr i w odpowiedniej rubryce odnotowuje: „Właściciel poinformowany, problem zlikwidowany”, po czym składa pod nim autograf i podkreśla miejsce, w którym podpisać ma się pan Bell. Gdy gospodyni wychodzi z pokoju, by przynieść podpis oraz książeczkę czekową, pan Hope klnie się w myślach, że nie stało mu odwagi zażądać więcej. Od słodkawego odoru łzawią mu oczy.

Kobieta wraca, ściskając w długich, przezroczystych niemal palcach pióro i książeczkę. Oddziera kremowy blankiet i podaje go panu Hope. Ten rzuca przelotnie okiem na nazwisko, nieco dłużej delektuje się równym rzędkiem błękitnych cyfr wyrażającym wartość jego lenistwa.

– Czy wszystko w porządku? – pyta ona.

– Jak najbardziej. – Pan Hope wsuwa czek do kieszeni. – Podziwiałem pani nazwisko, panno Faith. Pasuje do pani.

– Pani Faith. – Gospodyni mruży oczy, po czym podchodzi powoli do wyjścia, dając mu do zrozumienia, by uczynił to samo. – Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe tego, co powiem.

– A co mi pani powie?

– Że mam nadzieję nieprędko pana znowu zobaczyć.

– Och, absolutnie nie – śmieje się cicho Pan Hope. – Ja również najchętniej nie widywałbym wcale naszych lokatorów, nawet tak uroczych. – Kłania się lekko. – Zechce pani przekazać panu Bellowi wyrazy mego najszczerzego uszanowania.

Wychodząc, odkleja od podeszwy kawałek gazety. Ujmuje go w dwa palce i bez słowa podaje pani Faith, zdając się nie widzieć rdzawej plamy na drżącym papierze.

W domu pana Hope czeka kolejna przykrość. Jego głupia i krowiasta małżonka stanowczo żąda, by garnitur pana Hope bezzwłocznie spalić. Słodkawy odór przeniknął też jego włosy i wżarł się w skórę. Pan Hope niechętnie, lecz dokładnie szoruje się mydłem, pudruje i obficie skrapia wodą kolońską. W rezultacie tych zabiegów z oczu ciekną mu strumyczki łez, a niezależnie od nich pani Hope eksmituje małżonka do jednego z pokojów gościnnych.

Budząc się weń następnego dnia rano, pan Hope ma wrażenie, jakby przyszło mu spędzić noc na żywym krokodylu. Łóżko, choć wcale przyzwoite i w schludną pościel przyobleczone, przesiąkło posępnym zapachem nieużyteczności, który drażnił przez całą noc szlachetne nozdrza pana Hope wonią kurzu i morskiej trawy. Ponadto okno pokoju gościnnego wychodzi nie na cichy ogród różany, lecz na prostopadły do ulicy głównej zaułek, przez całą noc nawiedzany kolejno przez szczury, bezpańskie koty, psy, włóczęgów i znowu szczury. Do tego nad ranem przewaliła się burza, siekąc w szyby strugami deszczu i rozdzierając powietrze pojedynczym hukiem gromu. Leżąc na twardym, obcym łóżku, wbija pan Hope załzawione, bezsenne oczy w sufit i myśli to o pensjonarskich, brązowych pończochach suszących się na sznurze, to o fioletowych szalach otulających kościste ramiona, to o szarawym kołnierzyku pana Pike i jego pożółkłych od machorki palcach. Gdy wreszcie udaje mu się na chwilę zapaść w lekki, niespokojny sen zajęczy, słyszy szelest myszy wśród papieru i kapanie brunatnej cieczy z gwieździstego pęknięcia w suficie. Sen ten, przykry i wytchnienia niedający, męczy pana Hope na równi z dniem ubiegłym, tak że rankiem budzi się zeszywniały i wyczerpany, jakby nie tylko poprzedniego wieczora zupełnie się był nie

kładł, ale i przez kilka z rzędu poprzednich. Poranek wkrada się pod ciężkie powieki pana Hope stalowoszarym światłem wpadającym przez białe firanki, a w jego uszy – donośnym jak artyleryjska salwa waleniem w drzwi. Czując, jakby głowa miała lada chwila odpaść mu od karku i stoczyć z łóżka na podłogę, pan Hope ryczy jak schwytyany we wnyki odyniec, by mu dano święty spokój i dozwolono jeszcze przez chwilę powalczyć o strzępek ulatującego snu. Równie dobrze mógłby protestować przeciwko słońcu, które przebiło się przez poranne mgły i wygoniło z łóżka najpierw kucharkę, a zaraz po niej Szarlotę; to niezgrabne pannisko w purytańskim uniformie pokojowej, jednak szerokie od ramion po kolana, kładzie właśnie na nocnym stoliku tacę z kawą i grzankami.

– Jeśli pan zaraz nie wstanie, minie się pan z Panem – mówi po chwili, wrywając panu Hope spod głowy zmiętą poduszkę. – A Pan starszy powiedział, coby pan zaraz wraz do roboty leciał, bo ponoć strasznie coś ważnego się stało.

– A co nie mówił? – pyta nieszczęśliwy pan Hope, wbijając zęby w lekko szerniałe pieczywo.

– Nie – odpowiada Szarlota bez cienia zainteresowania. – Tylko coby pan się nie ociągał, tylko zaraz leciał, bo jak nie, to on panu tak Pan starszy robi, że pan się będzie cieszył, jak pan będzie mógł w biurze z przeproszeniem popiołki ryjem, to jest, buzią czyścić, tak kazał powiedzieć. A ja to bym panu radziła też tak zrobić, bo po prawdzie, to tak złego Pana starszego to ja jeszcze nie widziałam, a ja tu na posadzie jestem jak Pani młodsza jeszcze panienką drobną była.

– No to faktycznie długo – mruży pan Hope. Przywykł już przy rytuale porannego wstawania drogą okrężną mijać archipelag kształtów pani Hope, nadal jednak wypełniał go zabobonny lęk, iż któreś nocy mogłyby go pochłonąć zwały dzielącej z nim łoże galaretowatej kobiecości. Mając w zasięgu wzroku szerokie, acz osobliwie kanciaste biodra Szarloty, a w pamięci inne, chłopiące niemal, skryte pod spódnicą nie czarną, a granatową, pensjonarską, z zakładczkami i śnieżnobiałą lamówką, pan Hope doznaje niemiłego poczucia ukrzywdzenia. W tym samym czasie jego małżonce kawę podaje Jeannie, nieomal dziewczątka zupełne, z tych bardziej wesołych i łachotliwych. Pan Hope jakoś nigdy nie miał ani ciekawości, ani ochoty sprawdzić, czy Szarlota ma łaskotki, choć okazji po temu miałby aż nadto – usługiwała mu z osobliwym zacięciem bony wycierającej nos trzydziestoletniego oseska. Teraz, obróciwszy się ku niemu, stoi. Splótłwszy ręce na płaskiej piersi, wbija w pana Hope żółtawe oczka, wzrokiem, postawą i bijącą od niej falą potępienia wyganiając go z łóżka. Zwlekając się zeń możliwie najwolniej i z miną wyrażającą cierpienie najwyższe, pan Hope bolesnym pulsowaniem w skroni odbiera rytmiczne stukanie gruzłowatego palca

służącej: tik-tak, tik-tak. W chwili, gdy otwiera usta, by wyprosić ją z pokoju, Szarlota oznajmia z naciskiem:

– Jak ja bym była panem, to ja bym tego najlepszego garnituru nie ubierała. – I wskazuje spiczastym podbródkiem na wiszący na drzwiach garderoby pokrowiec. Pan Hope spogląda na nią ciekawie, jasnym było bowiem, że Szarlota jak zwykle wie więcej, niż mówi. Zanim jednak zdążył zapytać, ta wycofuje się do swej skorupy: – Błoto takie, że za kolana chlapie, a i cuś się chyba znowu na deszcz zanoszą.

W tej chwili złocisty promień słońca przebija się przez chmury i oświetla jej znoszone, choć wypastowane trzewiki. Pokojowa wzrusza ramionami, zabiera tacę i wychodzi, jak zwykle nie domykając za sobą drzwi. Pan Hope możliwie długo i wnikliwie analizuje kwestię ubioru, po czym uświadomiwszy sobie, że i tak innym nie dysponuje, wdziewa na grzbiet najlepszy, ślubny i po prawdzie nieco już przyciasny garnitur.

Papusia udaje się panu Hope w domu nie zastać. Starszy pan, nie mogąc doczekać się zięcia, polecił Szarlotcie przekazać panu Hope, że jest do niczego. Szarlota przekazuje i z krzywym uśmiechem pyta, czy będzie odpowiedź, na co pan Hope nie uznaje za stosowne odpowiadać.

W biurze nikt na pana Hope nie czeka. Z wyjątkiem woźnego, który był, ale gdzieś się chwilowo ulotnił, o czym świadczyła stojąca w dyżurce niedopita szklanka parującej herbaty, pomieszczenia są puste i ciche, jakby nie tylko tego dnia, ale i w ogóle nigdy nikt tutaj nie bywał. Pan Hope czuje, jak niby deszcz spływa nań fala bezsilnej złości, a zaraz po niej zrozumienie i w rezultacie – ukojenie. Puste biuro oznacza brak przełożonych, kolegów, a nade wszystko brak pana Pike, a co za tym z kolei idzie, biurko idealnie czyste, takie, jakim je wczoraj zostawił. Spokój rozkwita w jego duszy niczym kwiat o rozłożystych, białych płatkach i zasłuchany w ich miły szmer wchodzi pan Hope do swojej kanciapki, wzdycha głęboko i sam sobie mówi: dzień dobry, panie Hope. Zanim jednak zdążył rozsiaść się wygodnie za swoim – lśniącym, a jakże – biurkiem, nastawiony na długi dzień obijactwa, drzwi uchylają się i w szparze ukazuje się rozczochrana głowa woźnego.

– Święci pańscy, dobrze, że pan jest – sapie stróż, wciskając w ślad za głową resztę swej obszernej postaci. – Pan nie ma pojęcia, co tu się od samego rana dzieje. A co ja mówię od rana, od nocy, czwarta godzina, słyszę, że ktoś się do drzwi dobija, myślę, ki diabeł, otwieram, a tu taki wypłosz nedorostek, wrzeszczy, że się pali. Ja się go pytam, gdzie, ale

niece, już poleciał, nie masz szczeniaka. Sam jestem, nie wiem, lecieć, biuro zostawić, też niedobrze, no to czekam. Rano, świtem, wpada tutaj pan Dyrektor, zły jak sam diabeł, wrzeszczy, żeby mu tu teraz-zaraz wszystkich ludzi pościągać, bo szambo wy..., wybiło, znaczy się. Ja nie rozumiem, jakie szambo, jak palić się miało, znaczy się, że w nocy się paliło. A na to pan Dyrektor, że wszystko naraz, i pożar, i szambo, i boskie skaranie, i że pana to jak zobaczy, to panu urwie nogi razem ze, z przeproszeniem, jajami. No i mnie tu kazał czekać, sam poleciał, aż pan nie przyjdzie, ale jak pana tak długo nie było, to i ja poleciałem, bo mnie zawezwali, alem się w drodze minął, to i jestem....

– Panie woźny – jęczy pan Hope, tyle z tego słowotoku rozumiejący, iż się wielka chryja zdarzyła i winę za nią po części i do pewnego stopnia przypisuje się właśnie jemu. – Niechże pan się uspokoi i po kolei mi powie, co się stało, gdzie się stało, gdzie są wszyscy?

– A jak, gdzie mają być, jak nie na Wagner Street? Pan jak jechał, to nie słyszał nic? Całe miasto tam wali, jakem tu wracał, to mnie ze cztery patrole mijaly, a to przecie był kawałeczek tylko. Ja panu radzę, pan niech się zbierze i też leci, bo mnie się widzi, że pan Dyrektor to tego tak łatwo panu nie daruje, a tak to może będzie chociaż, że się pan wziął i przejął.

– Niech mi pan zawezwie dorożkę – wzdycha z rezygnacją pan Hope. – A rachunek pan poleci na biuro wystawić.

Nie dodaje, że od teraz raczej będzie musiał na nowo liczyć się z każdym wydanym groszem, o ile w ogóle uda mu się jakoś uniknąć ciężkiej ręki Papusia.

Dorożka nie dojeżdża nawet do domu Taupera. Już w połowie ulicy zostaje zatrzymana przez patrol policji, którzy stanowczo zawracają wszelkie pojazdy mogące utrudniać przemieszczanie się wozom służb miejskich. Legitymacja pana Hope podziałała o tyle, że kolejne kilkaset metrów musi on przebyć w asyście uzbrojonej eskorty. Skierowano go do oficera dowodzącego operacją. Jest to człowiek wysoki, barczysty, lecz dziwnie wysuszony i w chwili obecnej – z trudem hamujący ziejącą furię.

– Pan! – wrzeszczy na widok pana Hope, po czym chwyta się za kołnierz, jakby sam siebie przytrzymał za obrożę. – Pan jesteś... administrator! Tego domu! Wagner Street 12!

– Moje nazwisko Hope. – Kłania się pan Hope, lekko spłoszony tym nadmiarem wykrzykników. – Przybyłem, jak tylko otrzymałem wezwanie.

– O-ootrzymałem wezwanie, słyszane to w świecie, jak ty-yy-lko otrzymał, prawda,

wezwanie! – rozdziera się oficer. – Panie! Wiesz pan, co tu się dzieje?! Co! Ja! Tutaj! Mam?! – Każde słowo wyrzuca z siebie jak gwizd z przytkanego czajnika. – Dom był, domu nie ma! To znaczy jest, a jakże, jest! Stoi! Tam stoi! Po drugie piętro we krwi i gnoju!

Pan Hope jest wstrząśnięty.

– Na miły Bóg, przecież wczoraj, jak jeszcze tu byłem... – zaczyna, ale w tym momencie oficer nie wytrzymuje. Rzuca się w przód, chwyta pana Hope za kołnierz i trzęsie nim jak szmacianą lalką.

– Słyszcie-eee-liście, ludzie?! – wizga przez zęby. – On tu wczoraj był! Był! I poszedł! Bydłę!!! – Wydawszy z siebie dodatkowo kilka mniej zrozumiałych dźwięków, czerwienieje jeszcze bardziej i zdaje się stać już na progu ataku apopleksji. Zamiast tego jednak wrzeszczy: – Boże, Boże!!! – I wlecze pana Hope za róg domu Taupera. Tam stawia go na ziemi i bez słowa wskazuje w stronę domu numer dwanaście przy Wagner Street, a raczej tego, co zeń zostało.

Widziany z odległości budynek ten przypomina obecnie brzydki, skrzywiony domek dla lalek. Frontowa ściana zniknęła, w sposób niemal obsceniczny odkrywając przekrój wszystkich pomieszczeń wewnątrz – oraz ich zawartość. Po opartych o podłogi drugiego piętra drabinach strażackich biegają w górę i w dół ludzie, co jakiś czas spadając na ziemię, nie znalazłszy ni oparcia w bliźnich, ni dość siły w sobie. Schody, po których dnia poprzedniego wchodził pan Hope, zniknęły, ustępując miejsca szerokiej i głębokiej wyrwie, co jakiś czas rzygającej gęstą, rdzawo-brunatną mazią. Kłębiący się wokół domu numer dwanaście ludzie czynią straszliwy jazgot, ktoś płacze, ktoś się śmieje, ktoś modli, ktoś wygłasza straszliwe bluźnierstwa. W jednym z pokoi na parterze miga panu Hope śmiertelnie blada twarz pana Pike, w innym drżąca głowa Papusia. Poranny wiatr podrywa szpalty gazet w powietrze, gdzie kłębią się jak śnieg lub wielkie, białobrunatne ptaki, by po chwili opaść na ziemię, na dom i na zgromadzony tłum. Smród bijący falami od budynku przekracza wszelkie wyobrażenia koszmaru; panem Hope targają suche, gwałtowne torsje.

Oficer ściska pana Hope za ramię i wlecze w kierunku domu, ludzie zaś rozstępują się przed nimi jak przed zarazą. Pan Hope zaciska powieki, by nie dostrzegać rozmazanych szczegółów – bezgłowe korpusy, dziewczęce ręce zaciśnięte na pętli w suficie, nogi, ręce, głowy, kiszki, czy to kiszki, czy ja naprawdę widziałem kiszki? – nie może jednak nie słyszeć dźwięków wdzierających się do jego uszu, mimo iż wypełnia je dziwny, obłąkańczy szum. Oficer chwyta pana Hope za kark i omal nie wpycha mu głowy do rzygającej szlamem, krwią i bezwstydnym odorem wyrwy.

– Naprawili to, widzisz? Pozbyli się tego, widzisz?

Padające znad głowy pana Hope światło dzienne wydobywa z ciemności coś, co wygląda jak wielka, groteskowa purchawka, gwieździcie rozwarta w obscenicznym geście obnażenia.

– Żaden piec nie wytrzyma takiego ciśnienia, kanał nie działa, więc huzia do pieca, widzisz, widzisz?! Ale TO się nie pali, o nie, TO się nie pali, nie w domowym piecu, widzisz, czy ty to widzisz?!

– O Boże, wystarczy, już wystarczy! – jęczy coś ustami pana Hope, jednak wbijające się w jego szyję palce nie ustępują.

– Czy to cię przeraża, mój drogi przyjacielu? A to jeszcze nic, to dopiero początek, mamy tego więcej, znacznie więcej!

Pan Hope czuje, jak więcej rąk chwyta go za ubranie i wciąga na drabinę. Kurczowo czepia się prętów, płacząc i prosząc, by już nie, już nie. Czyjeś ciężkie buciory opadają raz za razem na jego palce, miażdżąc je i łamiąc, i pan Hope wstępuje po drabinie na piętro, niesiony nie wiedzieć, czy siłą obcych ramion, czy krzykiem tłumu skandującego:

– Patrz! Patrz! Patrz!

Szpakowaty, potwornie blady lekarz w szpitalnym kitlu wyzierającym spod eleganckiego płaszcza opiera się o ścianę, jakby wywlekany na lewą stronę atakiem gwałtownych torsji. Tuż obok niego stoi zniszczona aparatura do transfuzji krwi. W kałużach brunatnej cieczy leżą rozrzucone opasłe tomiska medyczne, niektóre – otwarte – prezentują drgające w cuchnącym powietrzu pióropusze białych stronic i kolorowych rycin. Obecni na miejscu policjanci podtrzymują jeden drugiego, starając się jednocześnie przesłonić coś, co znajduje się w rogu pokoju. Na komendę eskortującego pana Hope oficera rozstępują się, dopuszczając ich obu bliżej. Na szerokim łóżku leży coś o cienkich jak gałązki nogach, na których nie drga nawet jeden mięsień. Lewe ramię jest zmiążdżone i wygięte pod dziwnym kątem, podobnie jak sterczące z klatki piersiowej zebra. Nie wiedzieć, czy bardziej słysząc, czy też wyczuwając nową czyjąś obecność, to coś odwraca w kierunku pana Hope twarz, z której połowa stanowi odrażająca, pulsująca miazga kości, tłuszczu i krwi.

– Zdaje się – wydziera się ze zmiążdżonego gardła. – Że pan chciał się ze mną widzieć.

Pan Hope byłby krzyknął, ale nie może opanować swoich ściśniętych grozą płuc. Potrafi tylko gdakać jak przerażony kurczak:

– C-co-co-c-c-c-cooo.

– Nie co, a kto, szanowny panie – mówi głośno oficer. – To jest pan Lothar Bell, najemca domu przy Wagner Street 12, z którym ponoć rozmawiał pan w dniu wczorajszym.

– Ghaaa – nie wiedzieć, czy potwierdził Lothar Bell. Nagle jakby zapada się w sobie, a z jego gardła dobywa się straszliwe rżenie, które odrywa od ściany lekarza. Nie zbliża się on jednak do łóżka; rzuca jedynie okiem na Lothara Bella i mówi, przesłaniając usta rękawem:

– To agonia, panie kapitanie, czy to... gulp! – wstrząsa nim spazm, ale udało mu się go opanować. – Czy to konieczne, żeby jeszcze tu...? – wskazuje ruchem głowy na zataczającego się pana Hope.

– To zajmie tylko chwilę, panie doktorze – odpowiada z dziwnym, szerokim uśmiechem kapitan. – Ten pan jest administratorem tego budynku i jak wynika z jego raportów, zna go doskonale, rad bym się zatem z nim skonsultował odnośnie kilku drobnych, drobnusieńkich szczegółów, które...

– Ghaaaa! – bulgocze Lothar Bell. –iiiiith.

– Naturalnie, wedle życzenia. – Kłania mu się kapitan. – Pani Faith nie może nam asystować, obawiam się, że jest obecnie nieosiągalna, wyłączona, uziemiona, w piwnicy. – Usta kapitana rozciągają się tak szeroko, jakby lada chwila miały pęknąć. – Wielka szkoda, ponieważ to wyjątkowo pomocna kobieta, prawda, panie Bell? Wręcz nieoceniona, jeśli chodzi o sprowadzanie podfruwajek na wasze małe... zabiegi. Zechce pan zwrócić uwagę, panie Hope, jak się za to profesjonalnie zabrali, wszystko jest, sprzęt taki, że i w Chrystusowym Sercu takiego nie mają, biorca, jak pan widzi, jest, a dawców załatwia nieoceniona siostra Faith. Aż szkoda, że nie wyszło, swoją drogą, doktorze, czemu nie wyszło, gdzie popełniliśmy błąd?! – krzyczy z tragiczną emfazą.

– Na Boga, kapitanie, to, co pan robi, jest... nieludzkie! – charczy lekarz, macając na ślepo w poszukiwaniu oparcia. Jeden z policjantów przytrzymuje go i sadza na skraju łóżka Lothara Bella.

– O, to, to, bardzo dobre słowo, nie-II-udzkie. – Kapitan przez chwilę rozkoszuje się wibracją zatrutego powietrza w swoim gardle. – Nie jestem lekarzem, panie Bell, ale coś mi się wydaje, że na to, by krew dziewczątka przywróciła wieczną młodość i urodę, trzeba by być transylwańskim księciem-wampirem, a nie obłąkanym paralitykiem z Wagner Street. Simpkins! – woła nagle, a jeden z kręcących się po domu policjantów wtyka głowę do pokoju i pyta:

– Tak, panie kapitanie?

– Ile ich naliczyliście?

– Jak dotąd... osiemnaście. Ale nie przekopaliśmy jeszcze całej piwnicy.

– Dziękuję wam, Simpkins – mówi kapitan, wodząc wzrokiem od Lothara Bella do

pana Hope. – Jak dotąd osiemnaście, osiemnaście, a może i dziewiętnaście, co, panie Bell? A może i dwadzieścia, panie Bell? A może i cały gros, panie Bell? No, jednego nie mogę wam odmówić, konsekwentny z was facet.

– Faaa... – chrypi Lothar Bell – iiiiiith...

– To już nie jest ważne, kto komu pomagał, a kto kogo popychał – warczy kapitan, a przez maskę upiornego ukontentowania wreszcie przebija się mniej obłąkańczy gniew. – Osiemnaście dziewczynek, jak świnie w rzeźni, na haku, żeby skurwiel mógł chodzić, a potem w kanał, jak... jak... – zatrzymuje się na chwilę, szukając w pamięci innego słowa, mniej obraźliwego dla pamięci ofiar, lecz równie hańbiącego dla sprawcy. Rzuca się w miejscu, szarpie panem Hope i zaczyna okładać go z całej siły po plecach policyjną hikorową pałką.

– Tyś wiedział, bydlaku! – charczy przy tym. – Tyś wiedział! Wiedział!!!

– Nic nie wiedziałem! – wyje pan Hope z podłogi. – Ja nic nie wiedziałem!

– Gówno!!! – ryczy kapitan, zamachując się pałką tak potężnie, że byłby pana Hope zabił, gdyby nie rzuciło się nań kilku policjantów i nie wytrąciło mu broni z ręki, przytrzymując go w obezwładniającym uścisku. Pan Hope odpełza i kryje się za nogami doktora, ten jednak odpycha go z obrzydzeniem. Kapitan tymczasem wrzeszczy dalej, plując śliną i pokrywając się na twarzy głębokim fioletem: – Nie wiedział, a wziął trzysta pieprzonych dolarów! Tyle dla ciebie były warte, bydlaku, piętnaście dolarów za dziewczynkę. Piętnaście, piętnaście!!!

Pan Hope dostaje spazmów. Jego głowa zaczyna dziwnie podskakiwać, wyszczerza zęby, jakby chciał gryźć, a spomiędzy nich świszczą niezrozumiałe dźwięki.

– Żzzziiii-eee...! – wypluwa, z trudem pokonując opór własnych mięśni. Klęcząc, wyciąga w przód obie ręce o połamanych palcach i zaczyna nimi rozpaczliwie machać, jakby chciał opędzić się nie tylko od obelg kapitana, od niego samego, od policjantów, ale i od całej tej grozy i ohydy, od tego pokoju, od Lothara Bella, od ryku tłumu i ryku wewnątrz jego czaszki, od smrodu krwi i zgnilizny buchającej zewsząd i z niego samego, od wpatrujących się weń martwo oczu Molly P., wiszącej na haku pod sufitem.

– Hope! – słyszy znajomy, cienki głos. W pierwszej chwili myśli, że to ona sama, że jej białe wargi drgnęły, a on tego nie zauważył. Gdy jednak po raz drugi słyszy, tym razem z bliższej odległości, przeciągłe „Hooope!”, wie już, że to nie Molly Pike. Rozpoznaje łamiący się, piskliwy głos Brutusa.

Pan Pike potyka się na ostatnim stopniu i do sypialni Lothara Bella wpada zgięty w pół, niczym zwierzę przebierając rękami po ziemi dla utrzymania równowagi. Odnalazłszy wzrokiem skulonego w nogach łoża Ephraima N. Hope, wydaje z siebie dziki, ostry wizg. Pojedynczym susem pokonuje dzielącą ich odległość i rzuca się na niego niczym kot na struchlałą mysz. Hope w ostatnim odruchu samoobrony wyciąga przeciw niemu obie drżące dłonie, już nawet nie po to, by go odepchnąć, ale ledwie odsunąć się od niego. Pan Pike chwytą go za kołnierz, przyciąga do siebie, omal nie dusi w uścisku. Przez zaciśnięte zęby stara się wypluć ostatnie oskarżenie, tryska jednak jedynie gęstą śliną na jego twarz. Odpychając go z odrazą i zarazem nie mogąc go wypuścić, tłucze jego głową o ramę łóżka, deski podłogi, ściany, buty oniemiałych policjantów, szarpie nim jak wściekły pies, usiłując rozszarpać go, zmiażdżyć, zadusić.

Nagle jego palce tracą całą siłę. Nie czuje ani ciężaru Hope, ani ciepła jego krwi na dłoniach. Hope wyslizguje się jak ryba i wymachując bezradnie rękami, spada tyłem w ziejącą ciemnością i fetorem przepaść, wprost do piwnicy, w gwieździste pęknięcie w bulwiastym brzuchu pieca. Poderwane podmuchem porannego wiatru szpalty gazet wirują w powietrzu niczym śnieg lub wielkie, białobrunatne ptaki, by po chwili opaść i ciasnym kręgiem otoczyć rozerwany piec, sposobiąc się do uczyty.

NOTKA O AUTORACH:

Dagmara Adwentowska

Redaktorka i korektorka m.in. w magazynie *Histeria*, *Szortalu* oraz prasie drukowanej o przeróżnym zasięgu, tematyce i mocy rażenia; wśród tego bogactwa tytułów miesięcznik dla lekarzy gastroenterologów był zaiste najmniej egzotyczny. Czasami napisze także coś własnego i sprawdza, czy jej dobrze poszło. Jej opowiadania można znaleźć w *Histerii*, *Szortalu*, antologiach: *Teorie spisków*, *Fantazje zielonogórskie IV*, *Elgacon II*, *Horror na Roztoczu: Insomnia*. Beznadziejnie zakochana w Stefanie Grabińskim – i kilku innych polskich autorach grozy, których nazwisk nie poda, bo współczesne obiekty platonicznych westchnień jeszcze żyją.

Piotr Borowiec

Studiował prawo na Uniwersytecie Rzeszowskim, na co dzień pracuje w firmie konsultingowej. Ojciec Alicji i Julii, fan klasycznej literatury grozy i muzyki rockowej. Jest stałym współpracownikiem bloga *Okiem na Horror*, na którym w 2014 roku w konkursie Horror na Debiut jego opowiadanie *Czwarte użycie noża zajęło* II miejsce. W 2015 roku za *Tam, gdzie mieszkają szczury* otrzymał nominację do Nagrody Polskiej Literatury Grozy im. Stefana Grabińskiego. Swoje teksty publikował w magazynach *Krypta*, *Histeria*, *Grabarz Polski*, *Brama* oraz na *Szortalu*, a także w antologii *Horror na Roztoczu 2*. W 2015 roku nakładem wydawnictwa Gmork ukazał się zbiór opowiadań jego autorstwa *Wszystkie białe damy*.

Paweł Cieliczko

Magister historii, doktor literaturoznawstwa, założyciel Fundacji na rzecz Badań Literackich, autor przewodników literackich po Warszawie i Poznaniu, miłośnik Poznania, który w tym mieście każe swoim bohaterom popełniać najstraszliwsze zbrodnie i przeżywać największe uniesienia. Autor nagrodzonych przez jury opowiadań *Horror domu Raczyńskich* oraz *Noblowski cyrograf*, przez czytelników magazynu *Histeria* wybrany Histerykiem miesiąca.

Przemysław Karbowski

Rocznik 78. Z wykształcenia filozof, z zawodu operator maszyn paczkujących, po godzinach literat-amator. Laureat konkursu wydawnictwa Craiis na opowiadanie fantasy. Publikował w *Nowej Fantastyce*, *Fantastyce. Wydaniu specjalnym* i antologiach tematycznych. Z upodobaniem pisze opowiadania do *Histerii*. Miłośnik historii, piłki nożnej, muzyki, alkoholu i swojej Żony (kolejność przypadkowa). Mieszka w Żorach na Śląsku, ale mentalnie siedzi gdzieś w Wielkopolsce. Wielki Polak po prostu... Skromny, wspaniały...

Agnieszka Kwiatkowska

Urodzona w 1978. Dwukrotna laureatka konkursów literackich magazynu *Histeria*. Publikuje również na *Szortalu*, w *Bramie*, w *Drabble na Niedzielę*, *Okiem na Horror*, *Misterium Grozy*. Finalistka konkursu na dokończenie powieści J. Zajdla *Drugie spojrzenie na planetę Ksi*. Redaktor w magazynie internetowym *Drabble na Niedzielę*. Pasjonatka Włoch, wielbicielka sów i dobrej grozy.

Olga Rot

Urodzona w 1990 roku na Śląsku. Z wykształcenia, pasji i przekonania humanistka, czytelniczka i kolekcjonerka historii niesamowitych. Autorka kilkunastu opowiadań z dziedziny grozy, weird fiction oraz fantastyki. Prywatnie posiadaczka czarnego kota i imponującego księgozbioru, w skład którego wchodzi klasycy literatury, słowniki języków martwych oraz podręczniki z zakresu medycyny sądowej.

Marek Zychła

Urodzony 26 marca 1980 r. w Żarach. W 2007 roku ukończył studia na Wydziale Biologii UAM w Poznaniu, po czym wyemigrował do Irlandii, gdzie założył rodzinę i mieszka do dzisiaj. Pracuje jako księgowy, kadrowy i opiekun osób niepełnosprawnych w KCAT Art&Study Centre w Callan, w hrabstwie Kilkenny, w wolnych chwilach pisując opowiadania, które można znaleźć w szeregu antologii, jak chociażby w *Pokłosiu* (Gmork, 2015), *Teoriach Spisków* (Craiis, 2013), *Toystories* (Morpho, 2014) czy cyklu *Horror na Roztoczu* (Alter Manes, 2014). Pisuje zazwyczaj humoreski lub grozę.

7 HISTERYCZNYCH AUTORÓW ZMIERZYŁO
SIĘ Z 7 GRZECHAMI GŁÓWNYMI.
TAK OTO POWSTAŁA ANTOLOGIA
I ODPUŚĆ NAM NASZE WINY.

Poprzez średniowieczny Mediolan i rozbitą dzielnicowo Polskę, do zniszczonych bloków skrywających cygańskie tajemnice i słonecznych wspomnień dzieciństwa na wsi. Pomiędzy tańczącymi, hipnotyzującymi postaciami i wśród cieni ponurej metropolii dorównującej klimatem najlepszym filmom noir, aż po czasy współczesne i konflikt między humanistą a umysłem ścisłym, mężem i żoną, historią sprzed lat a teraźniejszością – wszędzie tam prowadzą czytelnika historie siedmiu grzechów głównych.

Michał Stonawski – pisarz, Misterium Grozy

Pycha. Chciwość. Nieczystość. Zazdrość. Obżarstwo. Gniew. Lenistwo. Dajcie się opętać historiom, których tematem przewodnim jest siedem grzechów głównych. Wkroczcie w świat, gdzie ludzkie słabości, emocje, przyzwyczajenia i wady przeradzają się w przerażający finał. Świetne opowiadania i obiecujący twórcy to gwarancja wciągającej lektury, która pozostanie Wam w pamięci na bardzo długo.

Sebastian Sokołowski – Okiem na Horror



WIELKIBUK.COM

MAGAZYNHISTERIA.PL